Aby nasze myślenie o Kościele,
nasze istnienie w nim
stało się głębsze

RADA SZKÓŁ KATOLICKICH

Aby nasze myślenie o Kościele, nasze istnienie w nim stało się głębsze

Materiały edukacyjno-formacyjne
z XXVIII Forum Szkół Katolickich
oraz z konferencji dyrektorów z roku 2017

Warszawa 2018

Przygotowanie tekstów: Biuro Rady Szkół Katolickich
Korekta: Małgorzata Terlikowska
Skład, łamanie: Anna Smak-Drewniak

Wydano staraniem Rady Szkół Katolickich
z udziałem środków Renovabis

Tekst dostępny w wersji elektronicznej
na www.rsk.edu.pl

ISBN 978-83-7864-250-3

Wydawnictwo AA
ul. Swoboda 4
30-332 Kraków
www.religijna.pl, klub@religijna.pl

Rada Szkół Katolickich
Skwer Kard. S. Wyszyńskiego 6
01-015 Warszawa
www.rsk.edu.pl, biuro@rsk.edu.pl

Wprowadzenie

Materiały edukacyjno-formacyjne z XXVIII Forum Szkół Katolickich oraz z konferencji dyrektorów z roku 2017 zostały zebrane pod wspólnym tytułem: „Aby nasze myślenie o Kościele, nasze istnienie w nim stało się głębsze". Słowa tytułu pochodzą z myśli soborowej Arcybiskupa Karola Wojtyły[1]. Chcemy, aby ta myśl nam towarzyszyła i była motywacją w osobistej i wspólnotowej formacji.

Publikowane teksty wykładów i konferencji zostały wygłoszone do nauczycieli i dyrektorów szkół w kontekście 300-lecia Koronacji Jasnogórskiego Wizerunku Matki Bożej, Patronki szkolnictwa katolickiego w Polsce oraz w kontekście wyzwań dla wychowania i kształcenia dzieci i młodzieży w dzisiejszym świecie.

Szkoła katolicka jest w tej uprzywilejowanej sytuacji, że oprócz pragmatycznych wymagań, programów i podręczników ma naturalne odniesienie do Ewangelii, nauczania Kościoła i świadectwa świętych. Szkoła katolicka realizuje bowiem misyjny nakaz Chrystusa: „Idźcie i głoście".

Szukamy wciąż sposobów i form wychowania i kształcenia adekwatnych do potrzeb dzieci i młodzieży. Publikacja zawiera cenne propozycje i jasny kierunek w zakresie doskonalenia się nauczycieli szkół katolickich. Zachęcamy do głębszej przyjaźni z Maryją – uczennicą Pana i medytacji Jej drogi życiowej.

---

[1] Abp Karol Wojtyła, *Poznanie prawdy o Kościele warunkiem soborowej odnowy*, w: *Odnowa Kościoła i świata, Refleksje soborowe*, Kraków-Rzym 2011, s. 220.

Nie możemy przemilczać w pracy wychowawczej antropologii Jana Pawła II. Prawdziwe wychowanie, w tym poprzez kształcenie, to kształtowanie sumień naszych uczniów.

Proponujemy wejście do „szkoły" Benedykta XVI z jego mądrością i duchowością oraz prostotą przekazu.

Nauczyciel szkoły katolickiej potrzebuje dziś wyjątkowego rozeznania, mądrości i odniesienia do żywych źródeł, aby wypełnić wobec swoich uczniów misję, do której został powołany.

Ks. Bp Andrzej Czaja

Idźcie i głoście. Realizacja nakazu misyjnego Chrystusa dziś

Trzeba zamieniać dotychczasowy Kościół kultury chrześcijańskiej w Kościół wyraźnie misyjny (...) – „nie będzie to możliwe bez poczucia odpowiedzialności wszystkich wiernych za głoszenie Ewangelii, bez podkreślania przez nich swej tożsamości oraz bez tworzenia przestrzeni wspólnotowego przeżywania wiary".

*

„Ludzie, choćbyśmy im nie głosili Ewangelii, będą mogli zbawić się na innych drogach dzięki Miłosierdziu Bożemu. Ale czy my sami możemy się zbawić, jeśli zaniechamy jej głoszenia z powodu gnuśności, lęku, wstydzenia się Ewangelii" (Paweł VI, *Evangelii Nuntiandi* nr 90).

Ewangelizacja potrzebuje ludzi solidnie uformowanych, z rzetelną znajomością istotnych treści naszej wiary i ze zbudowaną na niej zdrową duchowością. Stąd potrzeba bycia uczniem. Maryja jest tego pięknym przykładem.

*

W dziele ewangelizacji nie można zapominać o ciągłym przywoływaniu Ducha Świętego i otwieraniu się na Jego działanie. (...)

Wszystko trzeba zaczynać od ugiętych kolan, od adoracji Najświętszego Sakramentu, komunikowania Pana, kontemplacji Jego oblicza.

*

„Misja zaczyna się zawsze w sercu przemienionym przez miłość Boga, o czym świadczą niezliczone historie świętych i męczenników, którzy na różne sposoby poświęcili swoje życie służbie Ewangelii" (Benedykt XVI).

*

Prawdziwa wiara w Syna Bożego, który przyjął ciało, jest nieodłączna od daru z siebie, od przynależności do wspólnoty, od służby, od pojednania z innymi. (...)

Jeśli ludzie pragnący Boga, mający głód Boga, a takimi są też nasi wychowankowie, nie znajdą w Kościele duchowości, która ich uzdrowi, wyzwoli, napełni życiem i pokojem, i która jednocześnie wezwie ich do solidarnej komunii i misyjnej płodności, to zostaną w końcu oszukani przez propozycje, które nie humanizują i nie przynoszą chwały Bogu.

Ks. Bp Andrzej Czaja

Idźcie i głoście. Realizacja nakazu misyjnego Chrystusa dziś

Tytuł mojego przedłożenia to „Idźcie i głoście. Realizacja nakazu misyjnego Chrystusa dziś". Jak wcześniej papież Benedykt XVI, tak obecnie papież Franciszek zwraca uwagę na to, jak przemiany kulturowe, których jesteśmy świadkami, skutkują rozwojem na naszych oczach mentalności i stylu życia, które nie uwzględniają Ewangelii. Można powiedzieć, że Kościół znajduje się w sytuacji bardzo przypominającej czasy apostolskie. Jest bowiem zanurzony w obcej mu kulturze. Trzeba zamieniać dotychczasowy Kościół kultury chrześcijańskiej w Kościół wyraźnie misyjny i stąd konkluzja: „nie będzie to możliwe bez poczucia odpowiedzialności wszystkich wiernych za głoszenie Ewangelii, bez podkreślania przez nich swej tożsamości oraz bez tworzenia przestrzeni wspólnotowego przeżywania wiary". Korzystam tutaj z takiej konkluzji, którą wyprowadzili biskupi w czasie zgromadzenia plenarnego Rady Konferencji Biskupów Europy w 2011 roku. Wypowiedź ta zyskuje na znaczeniu w aktualnym kontekście także tego trudnego problemu otwarcia się Europy na uchodźców. Odnosząc się do wędrówki ludów z czasów rzymskich, nie trudno dojść do wniosku, że chrześcijaństwo i dziś nie zginie, choćby miała upaść zachodnioeuropejska kultura. Jest jednak jeden warunek, chrześcijanie muszą się obudzić, przezwyciężyć ospałość wiary i otępiałość umysłu, umocnić swą tożsamość i stać się mężnymi świadkami Chrystusa i Jego Ewangelii. Nade

wszystko trzeba obudzić w sobie zapał ewangelizacyjny. Przecież wszyscy mają prawo przyjąć Ewangelię, a my chrześcijanie mamy obowiązek jej głoszenia, nie wykluczając nikogo. Nie jak ktoś, kto narzuca nowy obowiązek, ale jak ktoś, kto dzieli się radością, ukazuje piękną perspektywę, wydaje upragnioną ucztę. Kościół nie rośnie, pisze papież Franciszek, przez prozelityzm, ale przez przyciąganie. To jest szczególnie ważna podpowiedź odnośnie do stylu Zwiastowania, ale także jego doniosłości.

1. Potrzeba więcej misyjnego zaangażowania

Papież Paweł VI w adhortacji *Evangelii Nuntiandi* tłumaczył: „Ludzie, choćbyśmy im nie głosili Ewangelii, będą mogli zbawić się na innych drogach dzięki Miłosierdziu Bożemu. Ale czy my sami możemy się zbawić, jeśli zaniechamy jej głoszenia z powodu gnuśności, lęku, wstydzenia się Ewangelii" (nr 90, *Evangelii Nuntiandi*). Nie możemy więc lekceważyć nakazu misyjnego Chrystusa: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody". Święty Jan Paweł II wielokroć podkreślał, że należy troszczyć się żywo o przepowiadanie skierowane do stojących z dala od Chrystusa, gdyż jest to pierwsze zadanie Kościoła, który jest ze swej natury misyjny. W tym samym duchu papież Franciszek mówi, że nie możemy dłużej pozostawać w biernym oczekiwaniu i w regularnym praktykowaniu wiary. W adhortacji *Evangelii Gaudium*, do lektury której bardzo was zachęcam, w numerze 27. papież stwierdza: „Marzę o opcji misyjnej zdolnej przemienić wszystko, aby zwyczaje, style, rozkład zajęć, język i wszystkie struktury kościelne stały się odpowiednią drogą bardziej dla ewangelizowania współczesnego świata niż do zachowania stanu rzeczy. Reformę struktur wymagającą nawrócenia duszpasterskiego można zrozumieć jedynie w następujący sposób. Należy sprawić, by stały się one wszystkie bardziej misyjne, by duszpasterstwo zwyczajne we wszystkich

swych formach było bardziej ekspansywne i otwarte, by doprowadziło pracujących w duszpasterstwie do nieustannego przyjmowania postawy wyjścia i w ten sposób sprzyjało pozytywnej odpowiedzi ze strony tych wszystkich, którym Jezus ofiaruje swoją przyjaźń. Oznacza to potrzebę rezygnacji z wygodnego kryterium duszpasterskiego, że zawsze się tak robiło. nie potrzeba nam bowiem zwyczajnego administrowania, lecz bycia w permanentnym stanie misji".

Myślę, że nie trudno odnieść te słowa także do warunków szkolnych. Nie możemy hołdować zasadzie, że zawsze będzie tak samo, a jedynie zmieniają się ci, którzy do szkoły przychodzą, i ci, którzy posyłają tam swoje dzieci. To oznacza, że musimy się nawrócić. Kiedy w swojej diecezji mówię księżom o nawróceniu pastoralnym, to się na mnie obrażają. „To znaczy, że wszystko, co robimy, jest słabe, złe?" – pytają. No nie. Chodzi mi tylko o zmianę mentalności, myślenia, które powinno nas doprowadzić do jeszcze bardziej skutecznego działania. Kiedy mówię o nawróceniu, mam na myśli odbudowę tego, co stanowi fundament naszej chrześcijańskiej tożsamości i duchowości, dzielenie się tym wszystkim, co jest udziałem każdego z nas od dnia chrztu. Papież Franciszek wielokroć podkreśla, że nasze największe zagrożenie „stanowi szary pragmatyzm codziennego życia, w którym wszystko na pozór toczy się normalnie. W rzeczywistości wiara zanika i zatraca się w małostkowości". Niestety ulegamy coraz bardziej mentalności i stylowi życia dzisiejszego świata, stąd papież przestrzega nas przed duchową i moralną światowością. Żyjemy coraz bardziej każdy dla siebie, z myślą tylko o sobie, w swoim świecie, bardziej wirtualnym niż realnym. Dlatego trzeba dziś bardziej zmobilizować się do otwierania na oścież drzwi Kościoła dla ludzi niewierzących i poszukujących. Musimy się też zdobywać na większą odwagę wychodzenia do tych, którzy zagubili się na ścieżkach życia i oddalili od Boga. Ewangelizacja potrzebuje ludzi

solidnie uformowanych z rzetelną znajomością istotnych treści naszej wiary i ze zbudowaną na niej zdrową duchowością. Stąd ta potrzeba bycia uczniem. Maryja jest tego pięknym przykładem.

A jeśli tak, to musimy sobie stawiać wysokie wymagania. Trzeba wziąć sobie mocno do serca to, co papież Franciszek mówił podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie. A mówił o potrzebie świeżości, entuzjazmu i konkretu. Wzywał do bycia siewcami nadziei i do zejścia z kanapy, zostawienia ekranu. Zachęcał, by bardziej realnie stąpać za Jezusem po ziemi, wdziewając wyczynowe buty i podejmując wysiłek wspinania się na wyżyny duchowego życia, docierać do ludzi ponad barierami świata i własnych ograniczeń. Warto też sięgnąć do treści homilii ze Mszy Świętej w Rio de Janeiro sprzed czterech lat, gdzie papież mówił: idźcie bez obaw, aby służyć dziełu ewangelizacji. Chodzi o zanoszenie dobrej nowiny do wszelkich kręgów rodzaju ludzkiego i każdego człowieka. Istota jest za każdym razem ta sama. Zwiastować Boga, który jest Miłością, świadczyć o miłości. Trzeba przy tym zabiegać o to, by przekaz szedł od osoby do osoby i by w tym odniesieniu mieć czas dla drugiego.

2. Krótka analiza początków misyjnego zaangażowania Kościoła

Posyłając uczniów, Jezus nakazuje im, by szli na cały świat do wszystkich narodów. Równocześnie daje im obietnicę, że ci, którzy uwierzą, będą mówić nowymi językami. Tak się stało po raz pierwszy w dniu Pięćdziesiątnicy. Autor Dziejów Apostolskich relacjonuje: „Wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym i zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch dał mówić". Z tekstu Dziejów Apostolskich (2,4) wynika, że inaczej aniżeli św. Paweł, Łukasz przez charyzmat mówienia językami nie rozumie modlitwy inspirowanej przez Ducha Świętego, lecz

inspirowane przez niego dzieło zwiastowania Dobrej Nowiny. U początku tego dzieła jest wylanie Ducha Świętego. Łukasz przekazuje, że wskutek napełnienia Duchem apostołowie zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić. Dosłownie, jak im pozwalał wyjaśniać. Użyte tu greckie słowo *apophthegestai* oznacza tyle, co wyjaśniać podniesionym głosem, mówić z entuzjazmem. To znaczy, że apostołowie głosili Ewangelię z wielkim zapałem i na miarę natchnień Chrystusowego Ducha. Z dalszego opisu wydarzenia Pięćdziesiątnicy wynika, że Żydzi ze wszystkich krajów oraz cudzoziemcy rozumieli słowa wypowiedziane przez apostołów. Fakt ten napełnił ich zdziwieniem. Przyczyną tego zdziwienia było to, że każdy z uczestników wydarzenia słyszał apostołów w swoim własnym języku ojczystym. Na oznaczenie języka użyty jest w tekście grecki rzeczownik *dialectos*, który oznacza język jakiegoś narodu lub regionu. W ten sposób św. Łukasz daje do zrozumienia, że dar Pięćdziesiątnicy był również darem słyszenia czy słuchania, dlatego oznacza podwójny cud. Cud mówienia obcymi językami i cud słyszenia tych języków. Jedni w Duchu mówią, drudzy ogarnięci Duchem słyszą, a treścią mówienia są wielkie dzieła Boże. Wprawdzie Łukasz nie określa tych dzieł, ale z kontekstu wynika, że są nimi męka, śmierć i zmartwychwstanie Jezusa, które objawiają potęgę i dobrodziejstwo miłości Boga do rodzaju ludzkiego. Owocem jest jednoczenie rozproszonego rodzaju ludzkiego, a więc przezwyciężenie tego, co znacząco ilustruje opowiadanie o wieży Babel. Zatem u podstaw misyjnego zaangażowania, czyli świadczenia o miłości Boga, leży charyzmat mówienia nowym językiem obcym światu. Ewangelizować znaczy przekazywać światu z zachwytem i entuzjazmem to wszystko, co Duch Święty pozwala mówić i tak jak pozwala wyjaśniać. To znaczy, że autentyczne świadczenie o miłości jest dziełem bosko-ludzkim, co więcej nawet bardziej boskim niż ludzkim. Jest inspirowane przez Ducha, jest nade wszystko jego dziełem.

On jest w tym dziele źródłem mocy przemieniającej ludzkie życie. Jest wielkim znawcą i uosobieniem Bożej miłości, o której mamy świadczyć. Duch Święty jest też możliwością i gwarantem wdrażania w życie komunii jedności człowieka z Bogiem i ludzi między sobą. Zapewnia przecież związek trynitarny, na którym opierają się wszystkie inne więzi i z którego wszystkie inne wynikają. Trzeba więc pozwolić mówić Duchowi Świętemu. Jego mowa jest przemieniająca i uświęcająca. Nie tyle z siebie mówić, co z Ducha i w Duchu, Jego mocą.

3. Podstawowe i niezbywalne prawidła ewangelizacji

Mam tu na myśli pewne uwarunkowania i zasady autentycznej działalności ewangelizacyjnej. Chodzi o parametry, które muszą być respektowane jako priorytetowe, by móc oczekiwać dojrzałych owoców.

3.1. Współdziałanie z Duchem Świętym

Mając na względzie fakt, że dzieło ewangelizacji jest wielkim darem Ducha i wiąże się z równoczesnym obdarowaniem słuchających, tak że mogą pojąć i zrozumieć, ale także przyjąć to, co mówi Duch do Kościołów, nie trzeba się zamartwiać o owocowanie, o skuteczność ewangelizacji. Nie trzeba się też obawiać świata, ponieważ Duch Boży jest stale z nami i nade wszystko on urzeczywistnia Dobrą Nowinę pośród rodzaju ludzkiego. Niejako z drugiej strony, ponieważ jakakolwiek forma ewangelizacji jest wydarzeniem animowanym przez Ducha Świętego, trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że nie urzeczywistni się jej chwytami duszpasterskimi. Dlatego w dziele ewangelizacji nie można zapominać o ciągłym przywoływaniu Ducha Świętego i otwieraniu się na jego działanie. Trzeba Duchowi Chrystusa bardziej zaufać

i więcej się zdać na jego działanie niż na własne wysiłki i starania. Potrzeba w związku z tym wiele modlitwy w intencji dzieła ewangelizacji. Trzeba błagać, jak apostołowie wraz z Maryją w wieczerniku o Ducha Świętego, by otrzymać moc i odwagę wypełniania nakazu misyjnego. Trzeba też chętnie podejmować lekturę Pisma Świętego, która wiąże się z przychodzeniem Bożego Ducha, ponieważ Słowo Boże jest jego nośnikiem. Można powiedzieć, że czytając Słowo Boże, funduję sobie Pięćdziesiątnicę. To słowo, tak jak Maryja, trzeba rozważać w swoim sercu. Trzeba stale wołać o charyzmat świadczenia o Chrystusie i o Ewangelii, mówienia do człowieka językiem nowym, dostosowanym do adresata.

3.2. Wszystko należy zaczynać od ugiętych kolan

Ewangelizacji, świadczenia o miłości nie można traktować jako wyłącznie obowiązku. To powinna być nasza odpowiedź na dar miłości, bo to Bóg pierwszy nas umiłował. Równocześnie nie można jej traktować jako dodatku czy zadania dla prymusów chrześcijaństwa. Ewangelizacja wiąże się ściśle z naturą Kościoła, a to znaczy, że bez jej podejmowania Kościół się niejako wynaturza, nie pełni roli zbawczej. Bez tego posłannictwa zbawczego Kościół właściwie jest do niczego. Trzeba więc być stale tego świadomym. Realizacja zadania domaga się zaś uprzedniego otwarcia drzwi Chrystusowi, żywej wiary. Chodzi o to, że trzeba najpierw Boga przyjąć, wziąć, nosić Go w sercu, by móc Go dać. Dokładnie w takiej kolejności, nie inaczej. Chrześcijaństwo nie ma bowiem nic wspólnego z jakąś konsumpcją. Nie wystarczy uwierzyć, to znaczy przyjąć Boga i zachować Go dla siebie. Co wtedy z wolą Pana: idźcie i nauczajcie. Przeznaczyłem was na to, abyście szli. Powinien nas ożywiać pewien rodzaj świętego niepokoju – mówił o tym kilkakrotnie papież Benedykt XVI, niepokoju, by nieść wszystkim dar wiary, przyjaźni z Chrystusem. Nie da się tego

realizować, dawać Chrystusa, świadczyć o Jego miłości, jeśli się nią nie żyje, jeśli nie żyje się bardziej życiem Jezusa niż swoim własnym. Natomiast, gdy się tę miłość ma, gdy się ją nosi w sobie i przeżywa, gdy się nią dzieli, można tak stawiać ludzi na nogi, jak św. Piotr chromego w bramie świątyni zwanej Piękną, czy Matka Teresa na ulicach Kalkuty i wielu, wielu innych, pięknych świadków miłości Pana. Chrześcijanin daje wówczas Chrystusa, a On stawia na nogi, dlatego wszystko trzeba zaczynać od ugiętych kolan, od adoracji Najświętszego Sakramentu, komunikowania Pana, kontemplacji Jego oblicza.

3.3. Życie Jezusem i jego Ewangelią

Wartość Dobrej Nowiny trzeba widzieć w tym, że jest od Boga, gdyż tylko On jest prawdziwie dobry, a także w tym, że zdolna jest przemieniać ludzkie życie, gdyż tylko Bóg potrafi czynić wszystkie rzeczy nowe i jest zdolny zaradzić wszelkiej biedzie świata i człowieka.

Zasadniczą treść stanowi Jezus Chrystus i to nie tylko dlatego, że jest wcieloną miłością Boga, miłością w swej najbardziej radykalnej formie. Bez Chrystusa, bez spotkania z Nim, nie ma w ogóle chrześcijaństwa, nie ma Kościoła. Benedykt XVI stwierdza: „Wielcy teolodzy usiłowali opisać podstawowe idee konstytutywne chrześcijaństwa, lecz proponowana przez nich wizja wydawała się nieprzekonująca. Chrześcijaństwo jest bowiem przede wszystkim wydarzeniem, osobą i dopiero w osobie odkrywamy bogactwo treści". Papież odnosi się tu wyraźnie do myśli Romano Guardiniego. Ten pisze: „Osoba Jezusa Chrystusa w swej historycznej jedyności i w swym odwiecznym blasku sama jest tą kategorią, która określa byt, działanie i naukę chrześcijaństwa". Dlatego w dziele ewangelizacji chodzi ostatecznie o to, by świadczyć o żywej Osobie, o zmartwychwstałym Panu, z zamiarem

otwierania nań człowieka, wiązania go z Jezusem. Mówić o Jezusie to znaczy zwiastować światu wielkie dzieła Boże, zwłaszcza mękę, śmierć i zmartwychwstanie, wylanie Ducha, a więc ten najpierwotniejszy kerygmat chrześcijański. W dziełach tych ujawnia się wspaniałość i potęga miłości Bożej. Adresat zwiastowanego orędzia nie potrzebuje już jakiejś dodatkowej motywacji, by otworzyć się na Boga. Jego miłość okazuje się być większa niż grzech i ludzka niewierność, co ujawniają już dzieje przymierza z narodem wybranym. W Jezusie miłość Boża objawia się jako potężniejsza od śmierci, czego absolutnie nie przewidywał autor Pieśni nad Pieśniami, gdy zwiastował „bo jak śmierć potężna jest miłość". Tymczasem Chrystus choć umarł, żyje.

3.4. Dzielenie się Jezusem – własnym doświadczeniem miłości Boga

W dziele ewangelizacji obok zwiastowania wielkich dzieł Bożych, stanowiących źródło i podstawę naszego zbawienia, istnieje potrzeba dzielenia się tym, co Bóg uczynił w moim życiu. Potrzeba dawania świadectwa o własnym doświadczeniu miłości Bożej. Chodzi tu między innymi o korzystanie z charyzmatu spotkania, budującego spotkania wierzących, o którym św. Paweł mówi na początku Listu do Rzymian: „Pragnę was zobaczyć, aby użyczyć wam nieco daru duchowego dla waszego umocnienia, to jest abyśmy się u was nawzajem pokrzepili wspólną wiarą, waszą i moją". Mowa jest o dzieleniu się tym, co się przeżywa wskutek osobowego przyjęcia Jezusa do swego życia. Wiele dobrego owocu przynosi dziś korzystanie z tego charyzmatu w małych wspólnotach i w tak zwanych grupach dzielenia. Tego wzajemnego dzielenia się Jezusem potrzeba dziś bardzo zwłaszcza we wszelkich fraterniach zakonnych i spotkaniach kapłańskich. Dzielenie się Jezusem, tym, co uczynił w moim życiu, jest także bardzo owocne

i potrzebne w sytuacji, gdy jedna ze stron jeszcze nie zna Jezusa albo oddaliła się odeń i nie przeżywa Jego bliskości.

3.5. Mieć w żywej pamięci serca oblicze Ukrzyżowanego

W 2006 roku w niedzielę misyjną przed modlitwą Anioł Pański papież Benedykt XVI mówił: „Misja zaczyna się w sercu. Kiedy modlimy się do Ukrzyżowanego, patrząc na jego przebity bok, nie możemy nie doznać w swoim wnętrzu radości, którą daje świadomość, że jesteśmy kochani, i pragnienia, by kochać i by stać się narzędziem miłosierdzia i pojednania. Stało się to udziałem młodego Franciszka z Asyżu 800 lat temu w Kościółku św. Damiana, który był wówczas w ruinie. Franciszek usłyszał Jezusa mówiącego z wysokości krzyża: «Idź, napraw mój dom, który jak widzisz rozpada się w gruzy». Tym domem do naprawienia poprzez prawdziwe nawrócenie było przede wszystkim jego życie, był nim Kościół, nie ten zbudowany z cegieł, ale z żywych osób zawsze potrzebujących oczyszczenia. Była nim też cała ludzkość, w której Bóg pragnie mieszkać. Misja zaczyna się zawsze w sercu przemienionym przez miłość Boga, o czym świadczą niezliczone historie świętych i męczenników, którzy na różne sposoby poświęcili swoje życie służbie Ewangelii". W ten sposób papież Benedykt XVI daje do zrozumienia, że podejmując dzieło ewangelizacji, trzeba ciągle spoglądać na Ukrzyżowanego i stale na nowo odkrywać, że jest ktoś, kto tak bardzo nas kocha. Mając tego świadomość, przeżywając tę tajemnicę miłości, nie sposób nie rozradować się, nie sposób zatrzymać jej dla siebie. W liście apostolskim *Novo millennio ineunte* Jan Paweł II mówił wyraźnie o potrzebie rozpoczynania wszystkiego od kontemplacji oblicza Chrystusa. Trudno się temu dziwić. Jeśli odkrywam, przeżywam, doświadczam miłości Pana, to mam tym większą motywację, żeby o tym mówić, żeby się tym dzielić, żeby do tak miłującego mnie Chrystusa prowadzić także innych.

Czwarty punkt pozwolę sobie tutaj wyłączyć. Tytuł tego punktu brzmiał: „Wraz z Maryją rozwijać ducha misyjnego". Papież Franciszek pokazuje Maryję jako gwiazdę nowej ewangelizacji.

Chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedną ważną kwestię w dziele ewangelizacji, czyli na wymiar wspólnotowy. Szczególny wymiar misyjności dzisiejszej szkoły katolickiej, w moim przekonaniu, to troska o to, by być szkołą, a zarazem domem komunii z Bogiem i między sobą. W *Novo millennio ineunte* papież mówi, że dzisiaj w realizacji misji zbawczej Kościół powinien zadbać o to, aby sam się stawał domem i szkołą komunii. I daje następujące wytyczne. Po pierwsze – troska o żywą więź z Chrystusem. Po drugie – braterstwo. Po trzecie – otwartość na świat. Po czwarte – współpraca z ludźmi dobrej woli. Myślę, że to można zastosować do każdej szkoły. Chcę zwrócić jeszcze uwagę na słowa papieża Franciszka z adhortacji *Evangelii Gaudium*. Jeszcze raz zachęcam do jej solidnej lektury. To *magna carta* dzisiejszej ewangelizacji, która jest dla nas wielkim zadaniem i wyzwaniem. Otóż tutaj sięgam do numerów 87, 89. Papież mówi tak: „Dzisiaj, gdy sieci i narzędzia komunikacji ludzkiej osiągnęły niesłychany rozwój, stajemy przed wyzwaniem, by odkryć i przekazać mistykę życia razem. Odkryć i przekazać mistykę życia razem. Wymieszania się, spotkania się, wzięcia za rękę, wzajemnego oparcia, uczestnictwa w tej nieco chaotycznej masie, która może zamienić się w prawdziwe doświadczenie braterstwa". Myślę, że to w realiach szkoły też jest bardzo ważna myśl. W ten sposób, ciągnie dalej papież, większe możliwości komunikacji zamienią się w większe możliwości spotkania i solidarności między wszystkimi. Gdybyśmy mogli iść tą drogą, byłoby to rzeczą tak dobrą, tak uzdrawiającą, tak wyzwalającą, tak bardzo rodzącą nadzieję. Dobrze jest wyjść poza siebie, aby przyłączyć się do innych. Zamknięcie się w sobie oznacza kosztowanie gorzkiej trucizny osamotnienia. Wielu stara się szukać ucieczki przed innymi w swojej prywatnej wygodzie

lub w ścisłym kręgu najbliższych albo wyrzeka się realizmu społecznego wymiaru Ewangelii. Niektórzy chcieliby Chrystusa czysto duchowego, bez ciała i krzyża, tak też zamierzają utrzymywać relacje międzyludzkie za pośrednictwem sofistycznych aparatów, ekranów, systemów, które mogą dowolnie włączyć i wyłączyć. Tymczasem Ewangelia zachęca nas zawsze, by podejmować ryzyko spotkania z twarzą drugiego człowieka, z jego fizyczną obecnością stawiającą pytania, z jego bólem i jego prośbami, jego zaraźliwą radością stale ramię w ramię. Prawdziwa wiara w Syna Bożego, który przyjął ciało, jest nieodłączna od daru z siebie, od przynależności do wspólnoty, od służby, od pojednania z innymi. Syn Boży przez swoje wcielenie zachęcił nas do rewolucji czułości.

Kończę w moim przekonaniu jednym z ważniejszych wyzwań, jakie zostało przez papieża nakreślone bardzo prostymi słowy, ale głęboko. Dzisiaj bardziej niż przed wyzwaniem ateizmu stajemy przed wyzwaniem, by odpowiedzieć właściwie na pragnienie Boga u wielu ludzi. By nie starali się ugasić go przez wyobcowane propozycje lub przez Jezusa bez ciała i bez zaangażowania się na rzecz drugiego człowieka. Jeśli ludzie pragnący Boga, mający głód Boga, a takimi są też nasi wychowankowie, nie znajdą w Kościele duchowości, która ich uzdrowi, wyzwoli, napełni życiem i pokojem, i która jednocześnie wezwie ich do solidarnej komunii i misyjnej płodności, to zostaną w końcu oszukani przez propozycje, które nie humanizują i nie przynoszą chwały Bogu. Z tym was wszystkich zostawiam.

[tekst spisany z nagrania]

Ks. Abp Grzegorz Ryś

Maryja uczennica Pana

Najważniejszym wymiarem portretu duchowego Maryi stworzonego przez Łukasza, jest Jej stosunek do Słowa Bożego. Łukasz pokazuje Maryję jako uczennicę. (...)

Jeśli myślimy o swojej misji nauczycielskiej, to ona się nie ma prawa w żaden sposób udać, jeśli przestaniemy być uczniami.

*

Maryja (...) nie podchodzi do Słowa Bożego wybiórczo, nie zachowuje pojedynczych zdań, ale wszystkie słowa, całą Bożą prawdę, jaka do Niej dociera.

*

Maryja jest osobą, która nie zatrzymuje się tylko na powierzchni słowa. Ona chce dotrzeć do jego głębi, chce je przeniknąć, póki jest ono dla niej jakąś tajemnicą.

*

Słowo, które [Maryja] słyszy, staje się Jej wewnętrzną prawdą. Staje się Jej sposobem myślenia, wartościowania, oceniania, decydowania.

*

Ona [Maryja] też mówi Słowem. Kiedy sama się chce modlić, to ostatecznie modli się słowami Pana Boga. Wystarczy sięgnąć po *Magnificat*. Cały ten hymn to są cytaty ze Starego Testamentu. (...) Kiedy chce powiedzieć słowo do Boga, to mówi tym słowem, które zatrzymała w sercu. (...) Ona też interpretuje rzeczywistość Słowem Bożym.

*

Maryja to wzór człowieka wierzącego, ale może być też wzorem nauczyciela, wzorem przewodnika, tego, kto pokazuje drogę.

*

„Moją Matką i moimi braćmi są ci, którzy słuchają Słowa Bożego i czynią je" (...) – czyli nam jest zadana wobec Słowa postawa Maryi, żeby słuchać Słowa i czynić je (zob. Łk 11, 19-21; 27-28).

Ks. Abp Grzegorz Ryś

Maryja uczennica Pana

Matka Boża Częstochowska jest patronką szkolnictwa katolickiego. W związku z tym, kiedy dokonujemy jakiejś refleksji nad naszym środowiskiem, zawsze warto się do Niej odnosić. W tym roku to odniesienie jest szczególne, w związku z jubileuszem 300-lecia koronacji Obrazu Jasnogórskiego. Chciałbym razem z Państwem przez chwilę przyjrzeć się osobie Maryi, trochę tak właśnie, jak ten obraz Ją pokazuje.

Myślę, że są dwie takie podstawowe prawdy o Maryi wkodowane w obraz i w tradycję jasnogórską. Pierwsza związana jest ze szczególnym typem obrazu, który najczęściej nazywamy hodegetrią, czyli przewodniczką, tą, która pokazuje drogę. W tej mierze Maryja jest nauczycielką, tą, która naucza. To wskazywanie przez Nią drogi jest dość szczególne. Jeśli Państwo mają ten obraz jasnogórski przed oczami, to łatwo zauważą, że Maryja swoją prawą dłonią wskazuje nie tyle na księgę, którą Jezus trzyma w ręce, co na Jego twarz. W tym zakresie ten obraz jasnogórski różni się od wielu innych hodegetrii, np. Matki Bożej Opolskiej, która zdecydowanym gestem pokazuje na księgę, którą trzyma Jezus w ręce. A Maryja Częstochowska podnosi tę dłoń i pokazuje na twarz Jezusa, pokazuje na prawdę, która jest wcielona w osobie.

Drugim elementem związanym z Obrazem Jasnogórskim jest ta piękna tradycja, że Obraz Jasnogórski jest jednym z namalowanych przez św. Łukasza. Oczywiście z tej tradycji wielu uczonych

superkrytycznych, hiperkrytycznych się podśmiewa. Chcę powiedzieć, że każde przedstawienie Maryi jest w jakimś sensie Łukaszowe. Dlaczego? Dlatego, że pierwszy portret Maryi, duchowy portret, nakreślił rzeczywiście św. Łukasz w swojej Ewangelii, zresztą Ewangelii najbardziej maryjnej. U św. Jana są tylko dwa teksty maryjne, bardzo ważne, ale tylko dwa. Św. Paweł tylko w jednym miejscu mówi o Maryi. Św. Łukasz jest portrecistą Maryi. Jest tym, który pokazuje Jej duchową sylwetkę.

Powiedzmy od razu, że najważniejszym wymiarem tego portretu duchowego Maryi stworzonego przez Łukasza, jest Jej stosunek do Słowa Bożego. Łukasz pokazuje Maryję jako uczennicę. Tak sobie myślę, że te dwie intuicje: hodegetria – nauczycielka i Łukaszowa uczennica Słowa, bardzo mocno się ze sobą łączą. Jeśli myślimy o swojej misji nauczycielskiej, to ona się nie ma prawa w żaden sposób udać, jeśli przestaniemy być uczniami. Tak przecież mówił Pan Jezus: „Idźcie, czyńcie uczniów ze wszystkich narodów". Uczniów czynią bowiem wyłącznie uczniowie. Jeśli ktoś jest już tylko nauczycielem, to zapewne przestaje być tym, który czyni uczniów.

Chciałbym teraz przyjrzeć się Maryi jako uczennicy Pana, tej, która słucha Słowa Bożego. To jest w Jej życiu najbardziej szczególny rys, jaki przedstawia św. Łukasz. Dobrze jest zacząć od drugiego rozdziału Ewangelii św. Łukasza. Na początek chciałbym przytoczyć dwa wersety. Pierwszy to jest werset 19. Łukasz mówi tak: „Maryja jednak zachowywała wszystkie te słowa, rozważając je w swoim sercu". I drugi, werset 51: „A Matka Jego zachowywała wszystkie te słowa w swoim sercu". To jest rodzaj refrenu drugiego rozdziału Ewangelii św. Łukasza, pokazujący Maryję jako tę, która słowa usłyszane od Boga zachowuje w swoim sercu. W tekście polskim dwa razy pada słowo „zachowuje". Jeśli jednak sięgniemy do greckiego tekstu Ewangelii, uda nam się pokazać tę postawę w sposób bogatszy. Mianowicie w 19. wersecie pada

słowo *syntereo*, to znaczy tyle, co „trzymać razem" – zachować, ale „zachować razem", „strzec razem". Dlatego Łukasz mówi „wszystkie te słowa strzegła razem". Maryja jest zatem osobą, która nie podchodzi do Słowa Bożego wybiórczo, nie zachowuje pojedynczych zdań, ale wszystkie słowa, całą Bożą prawdę jaka do Niej dociera. Wszystko to chce zachować w całości, kompletnie, koherentnie. Oczywiście pojawia się pytanie, kiedy my zachowujemy wszystkie słowa Boga w sobie? Tak naprawdę możemy zachować wszystkie słowa Boga wtedy, kiedy rozumiemy, że one się wszystkie wypełniają w Jezusie. Syntezą tego uczniostwa wobec Słowa jest moja osobista relacja do Jezusa. W encyklice *Lumen Fidei* papież Franciszek mówi, że wiara z jednej strony jest widzeniem, a z drugiej – słuchaniem. Kiedy wiara może być i widzeniem, i słuchaniem? Kiedy spotykamy osobę. Ale bardzo ważne jest, żeby chcieć zachować wszystkie słowa razem, to znaczy w jakiejś syntezie, we wzajemnym odniesieniu.

Zwracam Państwu uwagę na werset, który mówi o reakcji Maryi na narodziny Syna. Przychodzą do Betlejem pasterze i mówią Jej o wszystkim, co im zostało objawione o tym dziecięciu. Mówią, że w Nim jest godność królewska, że w Nim jest godność Boska. A ona Go widzi złożonego w żłobie, i musi zachować jedno, i drugie. Jeśli tego nie zrobi, nie zachowa pełnej prawdy o Bogu, który objawia się w Jezusie. Bóg w Jezusie objawia się jako król, który jest ubogi. Ten król, którego panowaniu nie będzie końca, jest ubogi, rodzi się w stajni – *syntereo*.

Po raz pierwszy w tym roku, dzięki inicjatywie papieża Franciszka, przeżywamy Tydzień Ubogich, najbliższa niedziela będzie pierwszym Świętem Ubogich w Kościele. Ten dzień trzeba przeżyć – mówi papież – bo on jest drogą do uroczystości Chrystusa Króla. Jak chcecie dobrze przeżyć uroczystość Chrystusa Króla, to przeżyjcie dobrze najbliższą niedzielę, która jest świętem człowieka ubogiego. Jak nie przeżyjecie święta ubogiego, to spotkacie

się z Chrystusem Królem w jakiejś nieprawdzie, w nieprawdzie ewangelicznej.

W przywołanym już wcześniej wersie 51. pada greckie słowo *viatereo*, to znaczy patrzeć uważnie, przejrzeć na wylot. Maryja jest osobą, która nie zatrzymuje się tylko na powierzchni słowa. Ona chce dotrzeć do jego głębi, chce je przeniknąć, póki jest ono dla niej jakąś tajemnicą.

To zdanie pada w scenie, kiedy Maryja i Józef znajdują Jezusa w świątyni po trzech dniach poszukiwań. On im mówi: „Czemuście mnie szukali, nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co jest mojego Ojca". Oni jednak nie zrozumieli tego, co im powiedział. To jest postawa ucznia, który jest bardzo konsekwentny i uparty. Przychodzi słowo, którego treść jest dla niego zamknięta, ale go nie odrzuca, nie rezygnuje z tego słowa, bo go nie rozumie, tylko zachowuje w sercu z nadzieją, że jeszcze je przeniknie, że jeszcze przejrzy je na wylot. Nie poddaje się, kiedy to słowo jest dla niego niejasne.

Z cytowanych przeze mnie wersów Ewangelii św. Łukasza możemy dowiedzieć się, co to znaczy, że Maryja słucha. To znaczy, że szuka ona syntezy tego słowa. Syntezy, która się dokonuje w osobie. Maryja nie traktuje słowa wybiórczo, nie szuka tylko tych prawd, które jej jakoś pasują. Dostrzegamy tu też inną kwestię, mianowicie upór połączony z nadzieją: przejrzę kiedyś to słowo, przeniknę je na wylot, teraz jest ono dla mnie zakryte, ale będzie moment, kiedy Bóg mi je objawi. Tak naprawdę to, co przeżyła Maryja, kiedy Jezus miał dwanaście lat, mogła dopiero zrozumieć po następnych dwudziestu latach, kiedy Jej Syn przeżywał swoją ostatnią Paschę.

Kolejna ważna rzecz – Maryja zachowuje słowo w sercu. Św. Łukasz dwukrotnie to podkreśla. W sercu to znaczy najpierw we wnętrzu, w pełnym skupieniu. Taka też jest Maryja na Obrazie Jasnogórskim. Jak patrzymy na nią, to jest to osoba pełna

skupienia, to jest osoba, w której trwa medytacja. To jest ktoś, kto nie przepuszcza słowa, tylko zatrzymuje je w swoim wnętrzu. Słowo, które słyszy, staje się Jej wewnętrzną prawdą. Staje się Jej sposobem myślenia, wartościowania, oceniania, decydowania. Bardzo do Maryi pod tym względem jest podobny św. Józef. Jeżeli Józef jest milczący – mówił Jan Paweł II – to nie oznacza, że nie ma ochoty z nikim rozmawiać. Józef jest milczący, bo to wyraża prawdę o jego głębokim wnętrzu, o jego modlitwie medytacyjnej, o jego skupieniu na Słowie.

Słowo usłyszane stanie się naszą wewnętrzną prawdą, jeśli będzie działał w nas Duch Święty. Myślę, że jest to bardzo ważny klucz. Każdy z was pracuje nad przekazem prawdy, ale żeby ta prawda stała się czyjąś wewnętrzną prawdą, to tego może dokonać tylko Duch Święty. Grzegorz Wielki w ten sposób komentował obietnice Jezusa, że Duch Święty nas wszystkiego nauczy. W jaki sposób On to zrobi? Otóż w ten sposób, że jest nauczycielem wewnętrznym, że to, co słyszymy z zewnątrz od swoich nauczycieli, staje się naszym wewnętrznym przekonaniem. To by oznaczało – tak myślę – że jeśli chcemy prowadzić ludzi do pełnej prawdy, to oprócz przekazywanej treści, trzeba ich też otworzyć na doświadczenie Ducha Świętego.

Duch Święty zstąpi na Ciebie. Maryja słyszy to zapewnienie, kiedy pyta: „Jakże się to stanie?". „Duch Święty zstąpi na Ciebie. Moc Najwyższego Cię osłoni". Grecki źródłosłów sugeruje, że nie chodzi tu tylko o jednorazowe doświadczenie. Maryja będzie pod namiotem Ducha Świętego mniej więcej tak, jak Izrael był pod opieką w czasie całej swojej wędrówki z niewoli do Ziemi Obiecanej. To ocienienie Maryi przez Ducha Świętego to jest Jego towarzyszenie Jej w całej drodze życiowej. „Zachowywała w sercu" – to znaczy zachowywała z miłością. Jeszcze raz przywołam Grzegorza Wielkiego, który mówi tak: „Kto nie kocha prawdy, jeszcze jej nie poznał". Ale w wypadku Maryi i każdego ucznia Jezusa, ta

miłość ostatecznie nie odnosi się do prawdy jako do czegoś abstrakcyjnego, tylko jest miłością do osoby, Słowo ostatecznie ma formę osoby. Maryja kocha osobę, która do Niej wypowiada Słowo. Więcej, Ona kocha Słowo, które stało się Osobą. Maryja słuchająca Słowa, zachowująca je w sercu jest osobą, która wypełnia najdoskonalej przykazanie Starego Przymierza: „Słuchaj, Izraelu". Słuchaj, a te słowa pozostaną w twym sercu.

W tym spotkaniu Maryi ze Słowem można pokazać kilka ważnych postaw. Po pierwsze, widać wyraźnie, jak Bóg mówi do Maryi Słowem. Wystarczy, że otworzymy scenę Zwiastowania – „Błogosławiona jesteś między niewiastami". To jest cytat z dwóch ksiąg Starego Testamentu, z Księgi Sędziów i z Księgi Judyty. Dwie kobiety są pochwalone w ten sposób w Starym Przymierzu – Judyta i Jaela. Dwie bardzo podobne do siebie kobiety, przez nie Pan Bóg dokonał ocalenia narodu wybranego spod ucisku asyryjskiego i spod ucisku Kananejczyków. Dwie kobiety, dzięki którym Bóg dokonał zbawienia. Każdy z nas może czytać te Księgi. Maryja natomiast w ten sposób je czyta, że ona wie, że to jest księga o niej, że oto Bóg wypowiedział Słowo, które się wypełnia na Niej. Bóg mówi do Maryi słowem natchnionych ksiąg. Proszę Państwa, zwróćcie na to uwagę.

Rozmawiałem ostatnio z jedną z pań profesor z Uniwersytetu Łódzkiego, która prowadziła badania socjologiczne nad młodymi łodzianami ze szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. Bardzo nam się te badania przydadzą także w pracach nad synodem i nad synodem o młodych. Jedno z pytań, które padło do młodych, dotyczyło modlitwy. Okazało się, że tylko trzy procent młodych modli się tekstem Biblii. Oni chcą się modlić i się modlą, modlitwa jest dla nich ważna, nawet proszą, żeby ich uczyć modlitwy, ale tylko trzy procent w modlitwie sięga po Słowo. Te dane, są szokujące, tego nie można tak zostawić. Młodzi, których mamy na swojej katechezie, których mamy w swoich kościołach, oni nie modlą

się Słowem. To na czym ma polegać ich rozmowa z Bogiem? Jak to ma być rozmowa z Bogiem, to trzeba Go usłyszeć. Maryja słyszy Słowo Boga skierowane do siebie i to nie na zasadzie jakichś nadzwyczajnych natchnień, tylko otwiera Pismo i w tym Piśmie trafia na zdania, które są Słowem Boga o Niej i do Niej. Ona jest uczennicą Słowa, to znaczy jest uczennicą Pana. Ponieważ w ten sposób czyta i w ten sposób słucha, ona też mówi Słowem. Kiedy sama się chce modlić, to ostatecznie modli się słowami Pana Boga. Wystarczy sięgnąć po *Magnificat.* Cały ten hymn to są cytaty ze Starego Testamentu. Ona ma tak naczytane Słowo, że po prostu się nim modli. Kiedy chce powiedzieć słowo do Boga, to mówi tym słowem, które zatrzymała w sercu. Co więcej, Ona też interpretuje rzeczywistość Słowem Bożym. Tu najlepszym przykładem jest Ewangelia Kany Galilejskiej. Jest problem, skończyło się wino. Maryja mówi do sług: „Idźcie i czyńcie wszystko, co On wam powie". To jest cytat z Księgi Rodzaju, z 41. rozdziału, kiedy jest głód w Egipcie i ludzie przychodzą do faraona, żeby ratował ich od głodu. A On wtedy mówi: „Idźcie do Józefa i zróbcie wszystko, co wam powie". Maryja widzi trudną sytuację w Kanie Galilejskiej, ale ją opisuje Słowem Bożym. Rozumie to, co się dzieje w świetle Bożego Słowa. To jest postawa prawdziwie prorocka. Wszyscy tu jesteśmy ochrzczeni, więc mamy w sobie godność prorocką. Kto to jest prorok? Prorok to jest ten, kto potrafi interpretować rzeczywistość w świetle Bożego Słowa. Maryja jest prorokiem, ponieważ ma tak naczytane Słowo, że to Słowo jej opisuje rzeczywistość, jaka się dzieje, wydarzenia, które się dokonują. Bóg mówi do niej Słowem, Ona mówi do Boga Słowem Bożym. Ona rozumie rzeczywistość dzięki Słowu Bożemu, a ostatecznie Ona daje Słowu Boga Ciało. Jeśli wie, że Słowo Boga jest o Niej, to od tego odkrycia na modlitwie przechodzi do czynu, żeby Słowo się na Niej wypełniło. Kiedy św. Łukasz mówi, że Maryja spędziła trzy miesiące u Elżbiety, to mówi, że na Niej wypełnia się historia

Arki Przymierza. Kiedy Dawid sprowadzał Arkę Pana do Jerozolimy po drodze przez trzy miesiące, to Arka zatrzymała się u jednego z gospodarzy z Izraelitów. Maryja jest Arką Pana, bo Ona nosi w sobie obecność Bożą, czyli Słowo Boże wypełnia się na Niej. O Niej mówi i na Niej się wypełnia.

Maryja to wzór człowieka wierzącego, ale może być też wzorem nauczyciela, wzorem przewodnika, tego, kto pokazuje drogę. Ona może stanowić ważny pomost w naszych spotkaniach z siostrami i braćmi z innych Kościołów, którzy nieraz nam zarzucają, że jesteśmy nadmiernie maryjni. Ale jeżeli będziemy pokazywać Maryję jako uczennicę Pana, która jest zasłuchana w Słowie, to wtedy pokażemy Ją jako taki model Kościoła, w którym się wszyscy możemy spotkać.

Do tego wszystkiego chciałbym jeszcze dodać na koniec dwa teksty, także z Ewangelii św. Łukasza. Pokazują one, jak Maryja w relacji do Słowa jest wzorem dla każdego z nas. Najpierw ósmy rozdział, wersety 19-21. Namawiam na lekturę tego tekstu i modlitwę nad nim. Mianowicie przychodzą do Jezusa Jego Matka i bracia. Ten epizod opisali wszyscy synoptycy, ale Łukasz zmienia cały jego kontekst. W Ewangelii św. Marka Maryja i krewni Jezusa przyszli do Niego, ponieważ wszyscy mówili, że Jezus odszedł od zmysłów, bo się przepracowuje i nie ma czasu nawet zjeść posiłku. Idą tak naprawdę, żeby napomnieć swego krewniaka, żeby się opamiętał, bo za chwilę Go już nie będzie. I Maryja idzie z nimi, by upomnieć Syna. Natomiast Łukasz wyrywa to wydarzenie z tego kontekstu. Kontekst u Łukasza jest taki: najpierw jest przypowieść o siewcy, objaśnienie przypowieści o siewcy, potem Jezus mówi: uważajcie, jak słuchacie, a potem przyprowadza Maryję i krewnych Jezusa do Niego. I Jezus patrząc na Maryję i na swoich krewnych, mówi: „Moją Matką i moimi braćmi są ci, którzy słuchają Słowa Bożego i czynią je". „I czynią je" – czyli nam jest zadana wobec Słowa postawa Maryi, żeby słuchać Słowa i czynić je. To

jest pierwszy tekst Łukaszowy pokazujący nam konkretnie Maryję jako wzór dla nas. I drugi jest nieco później – rozdział 11, wers 27-28: „Stało się, gdy nauczał, że pewna kobieta powiedziała do Niego: «Błogosławione piersi, które ssałeś, i łono, które Cię nosiło». Jezus mówi: «Owszem, ale jeszcze bardziej błogosławieni Ci, którzy słuchają Słowa Bożego i strzegą Je»". Co jest w tych dwóch tekstach ważne dla nas? Po pierwsze, to słuchać Słowa. To jest to, co w praktyce *lectio divina* nazywamy *lectio* albo *auditio* – słyszeć Słowo. Po drugie, to zachować Słowo w sobie. Powiedziane jest bowiem: „Błogosławieni ci, którzy słuchają i strzegą Słowa". Maryja zachowała Słowo w swoim łonie przez dziewięć miesięcy, zachowała Słowo, ustrzegła Słowa Bożego, które się w Niej poczęło. Podobnie i my mamy czynić. To się dokonuje na drodze *meditatio* – zachowuję, zatrzymuję Słowo we wnętrzu, w sercu, zatrzymuję w doświadczeniu Miłości, nie pozwolę, by to Słowo przeszło gdzieś obok, weszło jednym uchem, a wyszło drugim, to jest czas na medytację nad Słowem i na pokochanie Słowa, wtedy zachowuję, strzegę Go w sobie, chronię, przechowuję Go w sobie. Po trzecie, to wypełniać Słowo. Błogosławieni, którzy słuchają i czynią. Kiedy wypełniam Słowo, staję się podobny do Maryi, która Słowo rodzi. Zachowała je w Swoim łonie i teraz je rodzi dla ludzi. Kiedy więc je ustrzegłem, mogę je też urodzić dla innych. To jest *verbum facere* – czynić Słowo, żeby Słowo się na mnie wypełniało, dać Słowu ciało. Przyjąłem – przekazuję. Uczeń jest nauczycielem i tylko uczeń czyni uczniów. Życzę wszystkim, by tak było.

[tekst spisany z nagrania]

Ks. dr Tomasz Jaklewicz

Czego jako nauczyciele szkoły katolickiej możemy uczyć się od Benedykta XVI

Nauczania Benedykta XVI to jest najlepszy pokarm dla ducha, intelektu i serca, bardzo potrzebny nam, nauczycielom.

*

Niezależnie od tego, jakich przedmiotów nauczamy, przedmiotem troski wszystkich nauczycieli, wychowawców szkoły katolickiej powinno być to, by od pierwszej do ostatniej klasy ukazywać autentyczną wielkość człowieka. Człowiek jest większy niż to, co wynika z biologii, z historii, z matematyki, z fizyki, z chemii czy z polskiego. Może go zaspokoić tylko nieskończony Bóg, od którego człowiek pochodzi i ku któremu zmierza. Sądzę, że wszystkie przedmioty powinny być przesycone tą antropologią. Traktować ją jako swoje zasadnicze założenie dydaktyczne i wychowawcze.

*

Benedykt XVI naucza wiary w taki sposób, że wszystko składa się w całość. Jego teologia (...) to jest teologia, z której da się żyć, która promieniuje światłem. To jest teologia bardzo egzystencjalna, którą znakomicie przekłada się na życie, na problemy. Ta teologia odpowiada na pytania, które ludzie sobie rzeczywiście zadają. Popatrzmy więc na Benedykta XVI jako na pewien wzór nauczyciela (...), przede wszystkim nauczyciela mądrości.

*

Od Benedykta XVI możemy się uczyć tego, że będąc nauczycielem, powinienem być jednocześnie uczniem. Uczniostwo to podstawowy sposób bycia chrześcijanina.

*

Jako nauczyciele mamy być znakiem dla naszych uczniów, że istnieje miłość, i jest ona możliwa, oraz że istnieje prawda. Nie da się przekazać uczniom wiedzy na temat miłości i prawdy, jeśli sami nie będziemy pili ze źródła Miłości i Prawdy, którą jest Bóg.

*

W Ewangelii św. Marka czytamy, że Jezus wybrał apostołów, by Mu towarzyszyli. Potem dopiero jest apostolstwo, uzdrawianie, nauczanie, ale czymś pierwszym jest relacja z Mistrzem.

Ks. dr Tomasz Jaklewicz

Czego jako nauczyciele szkoły katolickiej możemy uczyć się od Benedykta XVI

Czego jako nauczyciele szkoły katolickiej możemy nauczyć się od Benedykta XVI – tak brzmi temat mojego wykładu. Uważam, że papież Benedykt XVI, choć jest już na emeryturze, ciągle zasługuje na to, by go odkrywać. Zachęcam Państwa do tego, i taki jest cel mojego wystąpienia. Chciałbym, by zasmakowali Państwo w stylu nauczania Benedykta XVI. To jest najlepszy pokarm dla ducha, intelektu i serca, bardzo potrzebny nam, nauczycielom.

Znam wielu nauczycieli. Kiedy spotykamy się przy różnych okazjach opowiadają, że coraz trudniej jest uczyć. Nie wiem, czy Państwo też mają takie doświadczenie. Wydaje mi się, że można wskazać przynajmniej dwa powody tej sytuacji. Nie tak dawno tłumaczyłem dla „Gościa Niedzielnego" wystąpienie abp. Charlesa Chaputa z Filadelfii poświęcone encyklice *Amoris laetitia*. Ten tekst naprowadził mnie na książkę amerykańskiej autorki Jean M. Twenge pt. *iGen*. Owo „i" to odniesienie do iphonów i tym podobnych urządzeń. Angielskie „I" oznacza też „ja". „Gen" to skrót od słowa „generation". Można więc mówić o pokoleniu smartfona. Dzieci, młodzież, nasi wychowankowie, ci, do których kierujemy nasze przesłanie, należą do pokolenia, które jest coraz bardziej, że tak powiem, rozedrgane. Coraz bardziej osamotnione, zagubione. To jest pokolenie, które w tej chwili ma naście lat. To pierwsze pokolenie, które wyrasta w świecie, w którym dzieci

prawie od kołyski mają w ręku urządzenia mobilne. To są dzieci, które żyją w świecie aplikacji, snapchatów, whatsappów, portali społecznościowych, itd. Ich zmysły, ich umysły, ich serca są coraz bardziej opanowane przez świat iphonów, ipadów, smartfonów, Internetu. Twenge od strony pedagogicznej i psychologicznej dokonuje charakterystyki tego pokolenia. Oczywiście charakteryzuje ona środowisko dzieci i młodzieży w Stanach Zjednoczonych, ale jej wnioski mają znaczenie także dla nas. Urządzenia mobilne, dzięki którym człowiek może być „on line" 24 godziny na dobę, zmieniły percepcję, myślenie, sposób zachowywania się, uczenia, itd. Twenge diagnozuje, że „pokolenie smartfona" dojrzewa wolniej niż poprzednie pokolenia, 18-latek z tego pokolenia zachowuje się jak 15-latek z pokolenia wcześniejszego. Autorka zwraca też uwagę na ogromny spadek religijności dzisiejszych nastolatków. Arcybiskup Chaput odnosząc się do książki *iGen*, mówi, że to pierwsze pokolenie młodzieży amerykańskiej, które jest w tak nieprawdopodobnym stopniu niereligijne, niezainteresowane wiarą i Kościołem, zorganizowaną formą religii w ogóle.

Trwają przygotowania do synodu o młodzieży ogłoszonego przez papieża Franciszka. Francuska młodzież dostała do wypełnienia ankiety przedsynodalne. Jedno z pytań dotyczyło oczekiwań młodych ludzi w stosunku do Kościoła. Okazało się, że nie oczekują... niczego. Polska specyfika jest trochę inna niż francuska czy amerykańska, ale ta fala zsekularyzowanego pokolenia idzie także do nas. To jest właśnie ten pierwszy czynnik, który powoduje, że dziś uczy się coraz trudniej.

Drugi czynnik. Szkoła, odkąd pamiętam, przechodzi nieustającą modernizację, nieustającą przemianę, nieustającą reformę. Nacisk kładziony jest na coraz większą technokrację, coraz większą biurokrację, coraz większe dążenie do pewnej obiektywizacji procesu edukacyjnego, uczenia, wychowania. W tym wszystkim gubi się to, co wydaje mi się fundamentalne, czyli prawdziwa,

ludzka relacja uczeń – nauczyciel. Różnego rodzaju wymagania biurokratyczno-formalne powodują, że coraz bardziej podważa się zaufanie do nauczyciela. Dlaczego matury nie może sprawdzać nauczyciel, który uczy, dlaczego to ma być ktoś spoza danej placówki? Chodzi o kwestię obiektywizacji? Czy jednak w takim podejściu nie okazuje się braku zaufania do tej ludzkiej podstawowej relacji, na której buduje się wspólnota szkolna, relacji mistrz – uczeń, nauczyciel – uczeń.

Coraz więcej wymaga się od nauczyciela. Niby dobrze, ale czy te wymagania nie przypominają wymagań wobec nowszego modelu komputera? Oczekuje się, żeby nauczyciel miał szybszy procesor, lepsze oprogramowanie i podnosił wydajność. Edukację próbuje się sprowadzić do pewnego procesu, który można ująć w matematyczny, komputerowy algorytm. Tylko że gdzieś w tym wszystkim gubi się człowiek. Czy nie jest tak, że przez ten „nawis" techniczno-biurokratycznych wymagań nauczyciele mają coraz mniej czasu, by po prostu uczyć, by być z uczniami, by wychowywać, słuchać, mieć dla nich czas? Mówię to nie po to, żeby narzekać, ale po to, żeby jeszcze bardziej w waszych sercach zapaliło się pragnienie prawdziwej, dobrej szkoły. Mam tu na myśli taką szkołę, w której nauczyciel nie tylko przekazuje wiedzę, ale prowadzi ucznia w stronę spraw najważniejszych, przekazuje mądrość, uczy nie tylko o życiu i o świecie, ale uczy życia w tym świecie. Uczy sztuki wolności, sztuki wyboru, ukazuje sens życia, sens pracy, uczenia się, studiowania, cierpienia, miłości, daje nadzieję, która sięga dalej niż myśl o dobrych studiach czy dobrej pracy. W nazwie „szkoła katolicka" przymiotnik określający tę placówkę oczywiście odnosi się przede wszystkim do wspólnoty Kościoła katolickiego. Ale słowo „katolicki" można tłumaczyć także jako powszechny. Słowo to wywodzi się od greckiego słowa *katholon*, czyli „według całości", „ze względu na całość". Chodzi więc o szkołę, która uczy patrzenia na świat całościowo, gdzie

poszczególne przedmioty, poszczególne cegiełki nabywanej wiedzy składają się w pewną sensowną całość w umysłach, w sercach uczniów, a spoiwem dającym obraz całości jest wiara. Wiara, która poszerza scjentystyczną racjonalność o wymiar nadprzyrodzony. Tego właśnie nauczał Benedykt XVI. Akcentował, że racjonalność prawdziwie ludzka musi mieć odwagę sięgać poza ramy wyznaczone przez nauki przyrodnicze. W tym sensie wiara nie jest przeciwna rozumowi, ale poszerza rozum. Wiara uzdalnia człowieka do percepcji, do przyjęcia prawdy, której nie da się zamknąć w języku nauk ścisłych. Szkoła katolicka musi mieć ambicję uczenia myślenia według całości. Powinna stawiać sobie jako cel zaszczepienie w uczniach wielkiej wizji człowieka opartej na chrześcijańskiej antropologii. Chodzi o ukazanie człowieka jako tego, który jest stworzony na obraz Boży. Jako tego, w którym jest głód Boga. Jako tego, który poza Bogiem, czy wbrew Bogu, czy obok Boga nie jest w stanie w pełni zrealizować siebie. Niezależnie więc od tego, jakich przedmiotów nauczamy, przedmiotem troski wszystkich nauczycieli, wychowawców szkoły katolickiej powinno być to, by od pierwszej do ostatniej klasy ukazywać autentyczną wielkość człowieka. Człowiek jest większy niż to, co wynika z biologii, z historii, z matematyki, z fizyki, z chemii czy z polskiego. Może go zaspokoić tylko nieskończony Bóg, od którego człowiek pochodzi i ku któremu zmierza. Sądzę, że wszystkie przedmioty powinny być przesycone tą antropologią. Traktować ją jako swoje zasadnicze założenie dydaktyczne i wychowawcze.

Dlaczego warto sięgać do tekstów Benedykta XVI? Ponieważ on jest bezsprzecznie najlepszym współczesnym teologiem, który znakomicie diagnozuje świat. Czasem media próbowały przedstawiać go jako człowieka, który siedzi zamknięty w bibliotece i nie rozumie świata. To złośliwa karykatura używana przez tych, którym brakuje argumentów w obliczu mądrości Ratzingera. Myślę, że papież senior jak mało kto rozumiał i precyzyjnie diagnozował

choroby współczesności. Benedykt XVI to także człowiek, który w swojej teologii daje chyba najlepszą syntezę. On naucza wiary właśnie w taki sposób, że wszystko składa się w całość. Jego teologia nie jest tylko teologią dla teologów, dla specjalistów, ale to jest teologia, z której da się żyć, która promieniuje światłem. To jest teologia bardzo egzystencjalna, którą znakomicie przekłada się na życie, na problemy. Ta teologia odpowiada na pytania, które ludzie sobie rzeczywiście zadają. Popatrzmy więc na Benedykta XVI jako na pewien wzór nauczyciela. Nie tylko nauczyciela teologii, ale przede wszystkim nauczyciela mądrości, który zaszczepia w ludziach tę wielką wizję człowieka jako osoby żyjącej w relacji do Boga, bez której nie jest w stanie się spełnić. Benedykt XVI był nauczycielem akademickim, na jego wykłady ciągnęły tłumy. Stał na czele Kongregacji Doktryny Wiary, przez wiele, wiele lat odpowiadał za nauczanie Kościoła, był głównym wizytatorem wszystkich nauczycieli wiary w całym Kościele. No i wreszcie był papieżem, czyli pierwszym nauczycielem wiary w całym świecie.

Czego możemy uczyć się od Benedykta XVI? Tego, że będąc nauczycielem, powinienem być jednocześnie uczniem. Moi uczniowie i ja sam, jako nauczyciel, jesteśmy tymi, którzy słuchają Jezusa Chrystusa, należą do Jego Szkoły, czyli Kościoła. Uczniostwo to podstawowy sposób bycia chrześcijanina. To postawa serca, która przejawia się w otwarciu na Słowo Boga, na słowo mądrości, prawdy, która przychodzi do mnie poprzez Objawienie i poprzez Kościół. Otwieram się na prawdę większą ode mnie. Benedykt XVI to nauczyciel, który sam jest uczniem, to człowiek, który sam się wciąż uczy w szkole samego Boga, słucha Boga. Benedykt XVI doskonale zna tradycję swojej szkoły, zna jej wybitnych absolwentów, czyli świętych. W jednym ze swoich tekstów za św. Augustynem pisał: „My, którzy mówimy, i wy, którzy słuchacie, uznajemy się za wiernych uczniów Jednego Nauczyciela". Z kolei do nauczycieli w Stanach Zjednoczonych mówił: „Pomagajcie

uczniom poznawać i kochać Tego, którego spotkaliście, którego prawdy i dobroci doświadczyliście z radością". Innymi słowy, jako nauczyciel szkoły katolickiej mam prowadzić uczniów do szkoły Jezusowej, mam pokazać im Chrystusa i jego Kościół jako dom, jako duchową Ojczyznę, jako środowisko wzrastania w mądrości, w człowieczeństwie. Nie nauczę tego, nie przekażę tej wiedzy, jeśli sam nie będę podążał w moim myśleniu i w życiu za Chrystusem.

Każdy człowiek ma dwie podstawowe typowo ludzkie potrzeby – głód miłości i głód prawdy. Jako nauczyciele mamy być znakiem dla naszych uczniów, że istnieje miłość, i jest ona możliwa, oraz że istnieje prawda. Nie da się przekazać uczniom wiedzy na temat miłości i prawdy, jeśli sami nie będziemy pili ze źródła Miłości i Prawdy, którą jest Bóg. Nie zaproszę nikogo do szkoły Jezusa, jeśli sam nie będę uczniem w Jego szkole Miłości i Prawdy.

Niezwykle istotnym dla papieża Benedykta jest słowo „naśladowanie". Papież w wielu swoich tekstach wraca do tego pojęcia, przypomina, że jesteśmy zaproszeni do tego, by naśladować Jezusa Chrystusa, by iść za Nim. Nie da się poznać Jezusa, objawionej w Nim Miłości i odwiecznej Prawdy, będąc tylko neutralnym widzem. Tylko pójście za Jezusem pozwala Go prawdziwie poznać. W Ewangelii św. Marka czytamy, że Jezus wybrał apostołów, by Mu towarzyszyli. Potem dopiero jest apostolstwo, uzdrawianie, nauczanie, ale czymś pierwszym jest relacja z Mistrzem. Benedykt XVI odwołuje się do sceny z Ostatniej Wieczerzy, kiedy to Jan, uczeń umiłowany, kładzie swoją głowę na piersi Mistrza. Papież pisze, że on dopiero wtedy nauczył się myśleć, mówić i działać. Oto istota sprawy. Nauka w tej Jezusowej szkole na tym właśnie polega: kłaść głowę pełną myśli i uczuć, pragnień i pytań na sercu Mistrza. Nie wystarczy – tłumaczy papież – po prostu pójść za Nim i Go słuchać, trzeba także żyć z Nim i tak jak On. To jest możliwe jedynie dzięki głębokiej zażyłości nacechowanej całkowitą ufnością, tak jak między przyjaciółmi. Papież pisze: trzeba

patrzeć na Tego, którego przebili, trzeba zbliżyć się do Niego na odległość tchnienia, aby On nas natchnął. To wezwanie do tego, by nasza więź z Chrystusem była bardzo głęboka. Bez niej niewiele zdziałamy.

Państwo otrzymaliście niebieskie książeczki, które są wypisem tekstów kardynała Ratzingera. Pochodzą one z książki *Głód Boga*, wydanej przez WAM. Opracowując dzieła zebrane Kardynała, ktoś odkrył nieznane nagrania homilii wygłoszonych w latach 1986-1999 w niewielkiej bawarskiej miejscowości Pentling pod Ratyzboną, gdzie kard. Ratzinger odwiedzał brata. Okoliczności wygłoszenia tych kazań były bardzo zwyczajne, typowo parafialne, np. poświęcenie dzwonów, poświęcenie krzyża misyjnego, jubileusz 50-lecia pracy zakrystianina, przyznanie honorowego obywatelstwa gminy dla kardynała. Kilka niedziel, świąt, w sumie dziesięć kazań. Mają tu Państwo próbkę stylu papieża Benedykta. Wielki, głęboki, wybitny teolog, który mówi do prostych ludzi. Te kazania są świetnie przygotowane, wybrzmiewają w nich wszystkie najgłębsze nuty benedyktowej teologii, a jednocześnie są powiedziane językiem zrozumiałym. On wie, do kogo mówi, widać, że zna problemy tych ludzi, że odnosi się do nich z ogromnym szacunkiem, bez żadnych uproszczeń czy banalizacji. Znakomicie zachowuje tę równowagę między prostotą i głębią. Chciałbym Państwa namówić, żebyście sięgnęli do tych tekstów i potraktowali to jako takie hospitacje. Wybierzmy się na „lekcję" do papieża Benedykta, posłuchajmy, jak on to robi. Jak mówi o Bogu ludziom, którzy z wiarą mają coraz większe kłopoty. On ma tego świadomość, zwraca uwagę na kryzys wiary. Walec sekularyzacji bardzo mocno wpłynął nawet na tak tradycyjne środowisko jak mała bawarska parafia.

Weźmy pierwsze kazanie, wygłoszone z okazji poświęcenia krzyża misyjnego. Jego punktem wyjścia jest fragment Ewangelii, w którym ktoś zadaje Jezusowi pytanie, czy wszyscy będą

zbawieni. Proszę posłuchać, jaką naukę z tego fragmentu wyprowadza Benedykt, w jaki sposób on transponuje Jezusowe nauczanie na konkret, na sytuację w Pentling. Ta Ewangelia zaczyna się słowami: „Jezus przemierzał miasta i wsie, nauczając i odbywając swoją podróż do Jerozolimy". Ratzinger mówi tak: „Jezus nie zniknął z historii, ale jest w niej stale obecny i wraz z nami zmierza do Jerozolimy. Naucza również tutaj, w Pentling". Nawiązując zaś do pytania, czy tylko nieliczni będą zbawieni, mówi: „Nie powinniśmy próbować odgrywać roli sędziów świata, który zagląda Bogu w karty, próbując zrozumieć logikę tego świata i własnego życia. Osądzanie rodzi zgorzknienie i gniew. Naszym zadaniem nie jest spekulować, ale żyć. Taka jest odpowiedź Jezusa. Żyć w zaufaniu to znaczy czerpać nasze życie z Niego i na ile możemy wspierać innych, aby również z ich strony doświadczać wsparcia". Dalej w tej Ewangelii Jezus odpowiada: „Usiłujcie wejść przez ciasne drzwi". I znowu komentarz Ratzingera: „Oznacza to, że dobre życie, prawe człowieczeństwo, które prowadzi do zbawienia i szczęścia wiecznego, wymaga wysiłku, od którego dziś odwykliśmy. Samo życie, właściwa relacja wobec Boga i bliźnich zasługuje na nasz wysiłek bardziej niż wszystkie inne sprawy, które również warte są trudu. Nie ma udanego życia bez trudu". To gotowe hasło na szkolną gazetkę.

W kazaniu tym pojawiają się pewne szkolne odniesienia, dlatego pozwolę sobie je zacytować. Kard. Ratzinger zastanawia się, kim jest ten człowiek, który zadaje pytanie Jezusowi: „To ludzie, którzy byli jakby ciasnego serca. Wyobrażali sobie Boga jako nadmiernie surowego nauczyciela zadającego ludziom zadanie domowe, które tylko niewielu jest w stanie odrobić. Większość dostanie z powrotem zeszyt swojego życia z wpisaną oceną niedostateczną". I dodaje: „Bóg nie jest belfrem ani dyrektorem szkoły" – z całym szacunkiem oczywiście dla wszystkich tu obecnych – „ale jest Panem, który wskazuje drogę. Więcej, jak powiedział

Jezus, jest Drogą, która prowadzi nas na wyżyny naszego życia". Ratzinger, idąc dalej, zastanawia się, czy dziś zadalibyśmy takie samo pytanie. W człowieku, który je stawiał, musiało być przekonanie, że zbawienie jest trudne do osiągnięcia, że tylko nieliczni pójdą do nieba. I teraz zobaczcie, co on robi z tym pytaniem. Mówi tak: „Dziś raczej jesteśmy skłonni myśleć odwrotnie. Że wszyscy będą zbawieni. Prawda o piekle jest zanegowana. Bóg jest niejako skazany na to, by nas w ostateczności uratować od zagłady". Ratzinger streszcza sposób myślenia wielu współczesnych teologów, i z nim polemizuje. „Bóg jest ograniczony swoją miłością, wobec tego właśnie przestaje być Bogiem". „My sami możemy decydować o tym, jak chcemy układać swoje życie, On jest niejako skazany na to, by nas w ostateczności uratować od zagłady". Wniosek, który Benedykt XVI wyprowadza, jest taki: nie spekulować, nie popadać w pychę, w lękliwość, w małoduszność, ale ufać Bogu.

W tym kazaniu zauważyć można dwa przewodnie motywy teologii Benedyka, które powtarzają się w całym jego nauczaniu. Motyw pierwszy to pierwszeństwo Boga. Bóg jest pierwszy. Nie zaglądaj Bogu w karty, nie próbuj grać roli sędziego, który recenzuje Pana Boga. Tam, gdzie wyklucza się Boga, nic nie jest wielkie. Człowiek staje się wygnańcem, którego nic nie może zadowolić. Kochani, jako księża, jako nauczyciele, jako wychowawcy, musimy w to wierzyć. Ważna jest matematyka, polski itd., ale najważniejszy jest Bóg. Tam, gdzie wyklucza się Boga, nic nie jest wielkie. I drugi akcent, który papież bardzo mocno stawia, a który łączy się z tym pierwszym. Benedykt XVI bardzo często pokazuje pychę jako grzech nad grzechami i konieczność pokornego zgięcia karku przed Bogiem. Ta pokora bazuje na zaufaniu, na przyjaźni. To nie jest takie zgięcie karku jak w islamie, w którym w Bogu widzi się wielką potęgę i wolę. W chrześcijaństwie zginamy kolana przed Bogiem, który jest miłością, który się wykrwawił na

krzyżu dla mnie. On jest Bogiem, On ma rację, Jemu daję się prowadzić, otwieram się na Jego światło. Poddaje się Mu ze względu na miłość.

W kolejnych kazaniach pojawiają elementy wykładu o Kościele, czyli eklezjologii. W jednym z kazań kard. Ratzinger komentuje początek Dziejów Apostolskich, gdzie jest mowa o czuwaniu apostołów razem z Maryją w oczekiwaniu na zesłanie Ducha Świętego. Jest to moment wykluwania się Kościoła. To staje się pretekstem, by mówić o Kościele. Ratzinger mówi tak: „Nie jest rzeczą oczywistą, że następne pokolenie również będzie tworzyło Kościół. Musi on zostać na nowo rozbudzony w duszach. Musi się w nich budować od nowa". To jest niby takie oczywiste, ale proszę zwrócić uwagę, jak często my w naszym nauczaniu zakładamy, że skoro Polska raz została ochrzczona, to już na zawsze będzie katolicka. Tymczasem, to nie jest rzeczą oczywistą, że następne pokolenie również będzie tworzyło Kościół. Nie ma takiej pewności, bo każde pokolenie to są ludzie wolni, którzy muszą na nowo wybrać Boga. Muszą? Niekoniecznie. Mogą powiedzieć Bogu „nie". Na tym polega wolność. Benedykt z ogromnym realizmem mówi tak: „Kościołowi grozi wykrwawienie. Kościoły pustoszeją, młodzi odchodzą, rośnie obojętność. Obojętność jest w istocie bardziej radykalnym sposobem odrzucenia Boga niż odwrócenie się od Niego". Od strony zaś pozytywnej pokazuje, jak Kościół rodzi się w duszach: „U początku Kościoła stoi zawsze akt wiary, jeśli nam jej zabraknie, jeśli nie ma w nas odwagi wiary w Jezusa, w Jego żywą moc w świecie, wtedy wszystko inne okazuje się niewystarczające". Bóg albo nic – przypomina mi się tytuł książki kardynała Saraha. Bóg albo nic. Bez wiary nie ma Kościoła. Ratzinger pokazuje gromadzących się w wieczerniku uczniów. Oni nie pisali tam konstytucji Kościoła, ale się modlili, byli razem. Jednocześnie podkreśla wagę niedzielnej Eucharystii, a także rolę autorytetu apostołów: „Chcemy prosić Pana, by także w naszych czasach na nowo w ten sposób budził

Kościół. Byśmy mieli odwagę wiary, byśmy nie budowali naszego Kościoła, tylko przyjęli w darze Jego Kościół". Benedykt często robi tu aluzję do klimatu posoborowego, kiedy Kościoły, zwłaszcza ten niemiecki, ale nie tylko, były tak rozdyskutowane, aż powstawało wrażanie, że oto tworzy się nowy Kościół. Ratzinger mówi nie, tak się nie buduje Kościoła. My nie budujemy naszego Kościoła, tylko przyjmujemy Jego Kościół w darze.

Następnie mamy kapitalne kazanie o poświęceniu dzwonów. Kardynał mówi o znaczeniu dzwonów, o wieży Kościoła, która jest jak palec wskazujący na niebo. Mówi, że człowiek dzisiaj potrafi stawiać budowle większe niż wieża kościelna. Podaje przykład katedry św. Patryka w Nowym Jorku. Wieżowce, które ją otaczają, sprawiają, że ta potężna katedra wydaje się malutka. Benedykt XVI komentuje to tak: „ta wieża kościoła mimo wszystko przypomina o wysokości, której nie da się osiągnąć przy pomocy betonu ani nawet rakiety, o wysokości, na którą dostać się można tylko sercem, o wysokości, na której mieszka Bóg. Istnieje taka wysokość. Nie zapominajmy o niej. Można jej dotknąć, aby nasze życie było dobre. Dzwony zaś przypominają o Bogu. Mówią, że Bóg jest blisko, że można Go znaleźć we własnym sercu i pośród nas. Dzwony mówią: nie zapominajcie o Nim, zajmując się swoimi sprawami, i przychodźcie do Niego". To swoista teologia dzwonów, które zapraszają ludzi do Kościoła, przypominają o modlitwie, a także o eschatologicznym wymiarze życia.

I ostatni fragment, który pozwolę sobie przywołać. To jest kazanie maryjne na uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. W miejscu, w którym jesteśmy, wypada zakończyć takim akcentem. Papież komentuje *Magnificat*, a konkretnie słowa Maryi: „Miłosierdzie Jego z pokolenia na pokolenie dla tych co się Go boją": „Z wiarą wiąże się bojaźń Boża. Te słowa mogą się nam nie podobać. Ale tu nie chodzi o bojaźń niewolniczą. Tę bojaźń Pan od nas odsunął, czyniąc nas swoimi przyjaciółmi. Chodzi tu

o taką bojaźń, która istnieje w miłości, która troszczy się o to, by nie utracić tej miłości i nie zranić ukochanego, by stać się godnym Jego dobroci. Bojaźń Boża, bojaźń Jego obecności nie oddala nas od tego, który jest święty. Ona jest częścią miłości, której bardzo potrzebujemy. Doświadczamy tego w naszych czasach, w naszym świecie. Tam, gdzie ludzie się nie boją Boga, stają się straszni dla siebie nawzajem". Kolejne hasło na szkolną gazetkę. Dla mnie natomiast cudowne jest to wychwycenie, zdefiniowanie, czym jest bojaźń Boża. To jest bojaźń ze względu na miłość. Boję się zranić tego, którego kocham. Kapitalne wyjaśnienie.

Moi drodzy, kończąc, zachęcam do poszukiwania dobrego pokarmu dla swojej duszy. Proszę Państwa, szkoda czasu na tych, którzy przepisują od tych, którzy przepisali od innych. Teologia Benedykta XVI to jest najlepsza teologia, jaką w tej chwili Kościół ma do zaoferowania. Nie ujmując niczego papieżowi Franciszkowi, on ma inny charyzmat. Jeśli szukamy intelektualnego, głębokiego, współczesnego, egzystencjalnego pogłębienia swojej wiary, relacji z Chrystusem, czytajmy Benedykta XVI. Warto. To jest pierwsza rzecz.

Kolejna, kard. Ratzinger w tych kazaniach nie leje wody, nie banalizuje. Nie ma dla niego znaczenia, że to jest zwykła parafia, on mówi z taką samą głębią jakby mówił do kardynałów. I jeszcze jedno, tu jest dużo łagodnej zachęty, takiej prawdziwej pociechy dla ludzi zmęczonych, grzesznych, słabych. Jednocześnie bardzo wyraźnie rozbrzmiewają wymagania dotyczące prawdy. Ratzinger jest sam uczniem Jezusa. Uczy wiary myślącej. Wiary, w której jest ogromna miłość do człowieka. Miłość, która nigdy nie rezygnuje z kategorii prawdy. On wie, że miłości i prawdy człowiek najgłębiej szuka.

Na koniec fragmencik z kazania o Maryi. Maryja stała się mieszkaniem dla Boga. Papież do tego nawiązuje i podkreśla, że Maryja przez swoje życie, swoją służbę, przez swoje powołanie

mówi nam: róbcie to, co ja. Otwórz się na Niego, na Jezusa. Zrób dla Niego miejsce w swoim życiu, nie sądź, że potrzebujesz całej przestrzeni tylko dla siebie. Nie zapełniaj swojego życia tak wieloma rzeczami, które wydają ci się istotne, a które ostatecznie okazują się nieważne i pozostawiają po sobie tylko frustrację. Zrób Mu miejsce w swoim planie dnia, w swoim sercu, w swojej woli, w swoim działaniu, wpuść Go do siebie, aby znalazł u ciebie miejsce, schronienie w tym świecie. Przygotujmy Mu mieszkanie, aby On stał się kiedyś naszym mieszkaniem.

Ks. dr Wojciech Węgrzyniak

Genialność Maryi

1. Zwiastowanie

Geniusz Maryi polega na tym, że jest Ona człowiekiem, który zanim coś powie, pomyśli. Potem pyta: „W jaki sposób?" Jeżeli czegoś nie rozumiem, jeżeli coś w moim życiu jest zaskakujące, nie mówię „nie", nie uciekam, stawiam Panu Bogu pytanie: „W jaki sposób?". Ona odpowiada Bogu „tak". I ja tak samo, z jednej strony pytam, a z drugiej decyduję się na to, żeby powiedzieć Bogu „tak".

2. Kana Galilejska

Maryja nie dąży do tego, by pokazać, że jest najlepsza, wybrana. Ona pokazuje na Syna. Ona mówi, że jeżeli będziecie robić to, co On, to zbudujecie dom na skale, nie na piasku. To jest geniusz Maryi.

3. Golgota

Mamy Matkę Bożą Bolesną, mamy Matkę Bożą pod krzyżem, mamy Matkę towarzyszącą Synowi. I to jest Jej geniusz. Ile razy budzi się w nas coś takiego: „Skądże, przecież ja jestem wspaniałym nauczycielem, jestem wspaniałym dyrektorem, jestem wspaniałym księdzem, dlaczego mnie się to zdarzyło?".

Maryja jest cicha, nosi ten ból krzyża, zaskakuje nas sposób, w jaki Ona to robi. Jest w tym bardzo pokorna.

Ks. dr Wojciech Węgrzyniak

Genialność Maryi

Nie mamy czasu na to, by przeprowadzać szczegółową egzegezę miejsca Maryi w Biblii. Warto jednak zwrócić uwagę na trzy opisane w Ewangelii momenty.

1. Zwiastowanie, spotkanie z Aniołem

Na czym polega geniusz Maryi? Nie wiem, czy zauważyliście, co robi Anioł, kiedy objawia się Maryi? Co robi Matka Boża? Maryja myśli. „Zmieszała się na te słowa", i rozważa je w swoim sercu. Maryja zastanawia się, co miałoby znaczyć to pozdrowienie. Geniusz Maryi polega na tym, że jest Ona człowiekiem, jest kobietą, która zanim coś powie, pomyśli. Maryja myśli. Potem mówi, to co mówi. Pierwsze słowo, które Maryja wypowiada, to: „W jaki sposób?". Jeżeli czegoś nie rozumiem, jeżeli coś w moim życiu jest zaskakujące, nie mówię nie, nie uciekam, stawiam Panu Bogu pytanie: „W jaki sposób?".

Maryja, zanim coś powie, myśli. Jeżeli coś mówi, to stara się to zrozumieć. A jeżeli już się dowie, o co w tym chodzi, wypowiada zdanie: „Niech mi się stanie według słowa Twego". *Genoito moi, fiat mihi.* „Niech mi się stanie". Rozumiem, ale nie wszystko pojmuję. To, co Pan Bóg mi przygotował, należy do przyszłości. Ale jedno wiem, jeżeli Bóg mówi do mnie, to ja mogę Mu zaufać. To jest niesamowity geniusz Matki Bożej, która z jednej strony myśli, z drugiej stara się znaleźć odpowiedź. Maryja nie zadaje stu

tysięcy pytań. Ona już coś wie na tyle, żeby powiedzieć Bogu „tak". I ja tak samo, z jednej strony pytam, a z drugiej decyduję się na to, żeby powiedzieć Bogu „tak".

2. Kana Galilejska

Wydarzenia z Kany Galilejskiej pokazują, że Matka Boża jest bardzo konkretną kobietą. Rozumiem, że można się było przyczepić do listy gości, można się było zastanawiać, dlaczego zaproszono apostołów, skoro nie byli oni najbliższą rodziną, ale żeby się zastanawiać nad winem? W polskim tłumaczeniu tej Ewangelii starosta weselny mówi, że zazwyczaj ludzie dają dobre wino na początek, a kiedy goście się napiją, wówczas podają gorsze.

W Kanie Galilejskiej przepiękne jest to, że Maryja, która jest Matką Boga, potrafi zadbać o taki szczegół. Nieraz wielcy ludzie widzą tylko wielkie sprawy. Mogę z tego miejsca publicznie pochwalić kard. Stanisława Dziwisza. Mnie się strasznie podobało to, że kiedy w czasie studiów w Rzymie czy Jerozolimie przyjeżdżałem na wakacje do domu i go odwiedzałem, on zawsze się mnie pytał, czy nie jestem głodny. Nie pytał o to, czy odmówiłem już jutrznię. Nie pytał o żadną egzegezę. Pytał, czy nie jestem głodny, a zaraz potem o to, jak się czuje moja mama. To jest geniusz konkretu Maryi.

Geniusz Maryi w Kanie Galilejskiej polega też na tym, że Ona w tym miejscu mówi ostatnie słowo. Zauważcie, tam, gdzie Jezus dokonuje pierwszego znaku, Maryja mówi ostatnie słowo. I już nic nie powie w Nowym Testamencie. Ostatnie słowo Maryi to: „zróbcie", „uczyńcie". „To, co wam powie Syn, zróbcie". Dlaczego Maryja przestała mówić? Bo od teraz Jej Syn będzie mówił. Jej Syn zaczyna publiczną działalność i będzie mówił przez wieki. Ona już nie mówi. Ona myśli, zadaje pytanie, sama to robi (Niech mi się stanie), a potem mówi ludziom: zróbcie. Maryja nie dąży

do tego, by pokazać, że jest najlepsza, wybrana. Ona pokazuje na Syna. Ona mówi, że jeśli będziecie robić to, co On, to zbudujecie dom na skale, nie na piasku. To jest geniusz Maryi.

3. Golgota

Niby taka prosta sprawa – Matka Boża Bolesna. Nie wszyscy jednak to rozumieją.

Matka Boża nie mówi: „Nie, to jest absolutnie niemożliwe".

Mamy Matkę Bożą Bolesną, mamy Matkę Bożą pod krzyżem, mamy Matkę towarzyszącą Synowi. I to jest Jej geniusz. Ile razy budzi się w nas coś takiego: „Skądże, przecież ja jestem wspaniałym nauczycielem, jestem wspaniałym dyrektorem, jestem wspaniałym księdzem, dlaczego mnie się to zdarzyło?".

Maryja jest cicha, nosi ten ból krzyża, zaskakuje nas sposób, w jaki Ona to robi. Jest w tym bardzo pokorna. Jezus mówi: „Niewiasto, oto syn Twój". „Oto Matka Twoja" – mówi do Jana.

To była wielka pokora Maryi. Ona zamienia w pewnym sensie Syna na Kościół. Albo Chrystus każe Jej się opiekować Kościołem tak jak Synem. Chrystus doskonale wie, że skoro Ona potrafiła Go wychować, przypilnować, ustrzec, przygotować do publicznej działalności, to Ona będzie w stanie wychować, ustrzec Kościół, żeby On mógł do końca głosić Słowo Pana. Kościół nie jest tak doskonały jak Jezus, ale Maryja zostaje z Kościołem po to, żeby ten Kościół stawał się coraz bardziej podobny do Jej Syna. Staje się Matką Kościoła. To samo będzie potem w Wieczerniku. Tam jest ze sto dwadzieścia osób, a Maryja jest spokojna, nie pcha się, nie wygłasza żadnych przemówień w dzień Zesłania Ducha Świętego, tylko w ciszy towarzyszy Kościołowi, tak jak w ciszy rodziła Swojego Syna.

Teraz spójrzmy na geniusz Maryi przez pryzmat historii Kościoła. Przyjrzyjmy się wyznaniom wiary – krótkie trzy zdania,

siedem zdań, Skład Apostolski. Robili to biskupi, synody, robili to święci ludzie. Co mamy w tych wyznaniach wiary? Hipolit Rzymski, rok 215: „Urodził się z Ducha Świętego Jezus i z Maryi Dziewicy"; Epifaniusz z Salaminy, IV wiek: „Stał się ciałem z Ducha Świętego i Maryi Dziewicy"; Ambroży, IV wiek, Augustyn, IV/V wiek, Ildefons z Toledo, VII wiek: „Narodził się z Ducha Świętego i z Dziewicy Maryi"; Antyfonał z Bangoru, VII wiek: „Narodzonego z Dziewicy Maryi, poczętego z Ducha Świętego"; Wyznanie Kościoła aramejskiego, IV wiek: „Stał się człowiekiem jako doskonały z Maryi Dziewicy przez Ducha Świętego, z której przyjął ciało, umysł, duszę i wszystko, co jest człowiekiem"; Konstytucje Apostolskie, 380 rok; Teodor z Mopsuestii, 382 rok: „Narodził się z Maryi Dziewicy"; Sobór Konstantynopolitański, 381 rok: „Przyjął ciało z Ducha Świętego i z Maryi Dziewicy".

Co jest zaskakującego w tych credach? W żadnym wyznaniu wiary nie ma Piotra, w żadnym wyznaniu wiary nie ma Pawła. Jedyny człowiek, który po Jezusie Chrystusie jest fenomenem na tym świecie, to Matka Boża. To Ją pokazuje Kościół. Tak, to jest ważna osoba. Jest wielka, jest geniuszem Kościoła poprzez decyzje soborów. Sobór efeski z 431 roku nazwał Ją Theotokos – Bogarodzicą. W te wakacje z grupą znajomych byłem w Ziemi Świętej. Weszliśmy na Górę Kuszenia, tam w głównym ołtarzu są piękne ikony. Rozumiemy je wszystkie, z wyjątkiem jednej. Podchodzę więc do duchownego prawosławnego i pytam się, kto jest na tej ikonie. Mnie się wydaje, że Maryja. On na to: *No Mary*. Widząc moje zdumienie, mówi: Theotokos. Nie mówi Maryja, tylko Matka Boga.

W 431 roku sobór efeski określa Maryję jako Theotokos. W 1854 roku zostaje ogłoszony dogmat o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny. W roku 1950 – o Wniebowzięciu Maryi z ciałem i duszą. Kościół w swoich oficjalnych dokumentach, a także papieże jasno pokazują, że Maryja jest jakąś niesamowitą,

genialną osobą. Robi to też sam Pan Bóg przez objawienia. Absolutnie najczęściej w historii Kościoła katolickiego objawia się Matka Boża. Guadalupe, Lourdes, La Salette, Fatima. Popatrzcie, w Fatimie Łucja, Franciszek, Hiacynta mają 10, 9, 8 lat. La Salette, 1846 rok, Melania – 15 lat, Maksymin – 11. Lourdes – Bernadeta Soubirous – 14 lat. W Guadalupe Juan Diego miał 57 lat, ale to był początek, można zacząć od starszych. To jest niesamowite. Myślę o tej Matce Bożej, myślę o katechezie i o szkole. Nieraz ludzie mówią: „A moje dzieci są za głupie". A tamte, którym objawiła się Maryja, były mądre? Matka Boża nie mówi: „O, katechizacja tylko dla dorosłych, ja dzieciom nie będę mówiła o wierze".

Mnie się wydaje, że Maryja celowo objawia się dzieciom, mało znaczącym, które mało co rozumieją. Jeśli zaczyna się od dzieci, a kończy na wybudowaniu kościoła i ustanowieniu przez papieża święta, to jest to cud. Gdyby miłosierdzie Boże głosiła Matka Generalna Sióstr Miłosierdzia Bożego, to można by powiedzieć: „OK, zbudowali kościół, bo nazbierali na to przez sto lat, nie?". A jeżeli miłosierdzie Boże głosi siostra Faustyna, która jest jedną z takich pogardzanych sióstr, to jest to cud, absolutny cud. Tego się nie da zrozumieć w innych kategoriach.

Kolejna sprawa w historii Kościoła, czyli różaniec. Co jak co, ale różaniec jest modlitwą absolutnie powszechną. „Odmawiajcie codziennie różaniec, aby uzyskać pokój dla świata i koniec wojny" (Fatima, 13 maja 1917 roku); „Chciałabym, abyście każdego dnia odmawiali różaniec" (13 czerwca); „Trzeba w dalszym ciągu codziennie odmawiać różaniec" (13 lipca); „Chcę, abyście nadal codziennie odmawiali różaniec" (19 sierpnia); „Odmawiajcie w dalszym ciągu różaniec" (13 września); „Trzeba w dalszym ciągu codziennie odmawiać różaniec" (13 października). Ktoś powie: „A co się tak Matka Boża doczepiła różańca?". To samo było w Kanie. Co się tak doczepiła wina? Brakuje wina, brakuje nam różańca, medytacji tajemnic paschalnych, tajemnic życia i śmierci

Pana Jezusa. Brakuje nam tego. Maryja jest konkretną kobietą, która doskonale wie, że nie będzie mówiła, że ludziom brakuje teologii Benedykta XIV, XV, czy innego papieża, bo i tak oni tego nie zrozumieją. Ona musi konkretnie powiedzieć: „Napełnijcie stągwie wodą aż po brzegi – pierwszą, drugą, trzecią, czwartą, piątą, szóstą". I tak samo w Fatimie: maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik – sześć razy przypomina o różańcu.

448 lat temu św. Stanisław Kostka prosił, by mu przy śmierci dano w ręce różaniec, bo to najmilsza pamiątka od Niebieskiej Matki. Ponad 400 lat temu św. Teresa z Ávili jako siedmioletnia dziewczynka z bratem wyszukuje w ogrodzie miejsce, gdzie mogłaby odmawiać różaniec. Ponad 300 lat temu św. Ludwik Maria Grignion de Montfort nosi przy sobie duży różaniec i woła: „Błagam was usilnie przez miłość, którą ku wam w Jezusie i Maryi noszę, odmawiajcie codziennie różaniec. A w chwili śmierci błogosławić będziecie godzinę i dzień, kiedyście mi uwierzyli". Ponad 200 lat temu Napoleon uwięził papieża Piusa VII. Przyjaciele go pocieszają, a papież mówi: „Ja nie cierpię. Mam bowiem pocieszyciela, który do mnie przychodzi". Gdy go pytano, o kim myśli, pokazywał na swój różaniec. Król Zygmunt Stary odmawiał różaniec. Różaniec odmawiali Zygmunt II August, Zygmunt III Waza, Władysław IV z małżonką Cecylią, Jan III Sobieski, Michał Korybut, fizyk Alessandro Volta, kompozytor Joseph Haydn, miliony prostych ludzi, członków Żywego Różańca, zelatorki. Za różaniec zamęczony został w Oświęcimiu ks. Józef Kowalski. Można by wypisać całą historię ludzi, którzy naprawdę żyli z różańca.

Moja babcia była zelatorką. W grupie 15 osób spotykała się w niedzielne popołudnie, by wspólnie odmawiać różaniec. Potem mama po niej to przejęła. Całe moje dzieciństwo czy młodość to było doświadczenie Kościoła, który odmawia różaniec, i doświadczenie ludzi, którzy nieraz są niewykształceni, prości, ale uczestniczą w tej niesamowitej modlitwie maryjnej.

Opowiem historię pewnej spowiedzi, która głęboko wyryła się w moim sercu: północne Włochy, mogę zdradzić tylko tyle, że do konfesjonału przychodzi mężczyzna koło pięćdziesiątki, bardzo zapłakany. Mówi: „Proszę księdza, 27 lat jestem po ślubie i wczoraj stało się coś, czego nie wybaczę sobie do końca życia i nie wiem, czy mi Bóg wybaczy. Umówiliśmy się z małżonką i tak robiliśmy. Od momentu ślubu przez 27 lat codziennie odmawialiśmy cząstkę różańca. A wczoraj tak się pokłóciłem z moją żoną, że odmówiłem sam. Czy Bóg mi wybaczy?". Jest jakiś geniusz różańca. Patrząc na decyzje soboru, patrząc na objawienia, patrząc na tę modlitwę, mówimy: „Maryja jest niesamowitą osobą, która nie tylko pomaga nam z nieba od czasu do czasu przypomnieć, co Bóg ma na myśli, ale też daje nam takie najprostsze narzędzie, którym można uzyskać i odpust zupełny, i za pomocą którego można wejść w tajemnicę zbawienia".

Teraz chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na geniusz Maryi w historii naszego narodu. Nasz naród jest w sposób szczególny narodem Matki Bożej. Możemy teraz zrobić takie Zaduszki, takie wywoływanie poszczególnych postaci. Możemy wyciągnąć z historii Polski Polaków, którzy byli bardzo związani z Matką Bożą, i zapytać ich, kim była dla nich Maryja. Tak jak u Mickiewicza w II części *Dziadów.* Pamiętacie, jak to się zaczyna: „Zamknijcie drzwi od kaplicy…".

Spróbujmy przywołać te dusze Polaków. Powiedzcie nam, wy Polacy, którzy żyliście na tej samej ziemi, na ile dla was Maryja była ważna, na ile była istotna i dlaczego była taka? Kto by przed nami stanął? Na pewno polscy rycerze, którzy 15 lipca 1410 roku walczyli pod Grunwaldem. Oni by powiedzieli: „Myśmy śpiewali: *Bogurodzica, dziewica, Bogiem sławiena Maryja! U Twego Syna, Gospodzina, Matko zwolena Maryja! Zyszczy nam, spuści nam. Kyrie eleison*". Król Jan Kazimierz, który 1 kwietnia 1656 roku, we lwowskiej katedrze, w czasie szwedzkiego potopu widząc

siłę obrony Jasnej Góry, wołał: „Wielka Matko Boga Człowieka, Dziewico Najświętsza, Ciebie dziś za patronkę moją i za patronkę państw moich obieram". „Wtedy to oddałem Polskę pod rządy Maryi. Wtedy po raz pierwszy zawołaliśmy: Królowo Polski, módl się za nami" – mówiłby Jan Kazimierz.

Stefan Czarniecki staje między nami: „Czy wy wiecie, że przed każdą bitwą odmawiałem *Zdrowaś Maryjo*?". Staje przed nami pierwsza Konstytucja: „Nie pamiętacie 3 maja i Sejmu Czteroletniego, jak udało się wypełnić choć część ślubów Jana Kazimierza? Dlatego to na ten dzień biskupi uprosili u papieża w 1920 roku Święto Królowej Polski". Stają przed nami setki miast polskich: „Czy wy wiecie, że mieszczanie zdobili swoje kamienice wizerunkami Maryi? Sukiennice na krakowskim rynku. Zobacz na szczycie kamienicy na warszawskim Starym Mieście figurkę Maryi, przypomnij sobie napis z Bramy Królewskiej polskiego Lwowa: Pod Jej opieką bezpieczny". Staje przed nami ponad 3400 kościołów i kaplic polskich poświęconych Matce Bożej: „Powstaliśmy, bo Maryja była dla nas królową". Staje przed nami św. Jacek: „Nie pamiętacie, jak wynosząc z Kijowa Najświętszy Sakrament przed Tatarami, usłyszałem głos z figury: Jacku, zabierasz Syna, a zostawiasz Matkę? Nie mogłem Jej zostawić". A Matkę Bożą z Jasnej Góry, która tu od 1382 roku króluje? A Matkę Bożą Piekarską z drugiej połowy XIII wieku? Matkę Bożą Kurkową, też z XIII wieku?

Staje przed nami muzyka polska: Czy słyszałeś *Magnificat* Mikołaja z Radomia? Czy podziwiałeś cztery *Litanie Ostrobramskie* Moniuszki? Zachwycałeś się *Stabat Mater* Szymanowskiego? A *Godzinki* śpiewałeś? A niezliczone sekwencje, hymny i pieśni, *Jak szczęśliwa Polska cała*, *Z dawna Polski Tyś Królową*, *Maryjo, Królowo Polski*?

Stają przed nami nasi wieszcze narodowi. Pierwszy Adam Mickiewicz: „Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz Bramie". Juliusz Słowacki woła: „Nigdy

z królami nie będziem w aliansach, nigdy przed mocą nie ugniemy szyi, bo u Chrystusa my na ordynansach, słudzy Maryi". Zygmunt Krasiński powie: „Królowo Polski, Królowo Aniołów, Ty coś na świecie przebolała tyle, gdy Syn Twój zstąpił do ziemskich padołów, Skróć umęczonej Polsce twej mąk chwile". Cyprian Kamil Norwid napisze: „Maryjo, Pani Aniołów, u Ciebie o Twej Korony prosim zmartwychwstanie. A niech się wola Syna Twego stanie, na ziemi naszej tak, jako jest w niebie". Maria Konopnicka z tą swoją piękną kobiecą duszą zapisze: „Nigdym ja Ciebie ludu nie rzuciła, nigdym Ci mego nie odjęłam lica, Jam po dawnemu moc Twoja i siła. Bogarodzica".

Staje przed nami nawet Józef Piłsudski: „Czy wiecie, że nad swoim łóżkiem miałem wizerunek Matki Bożej Ostrobramskiej, a do mej trumny włożono Jej sygnet? Czy wiecie, że kiedy szedłem w 1919 roku na odsiecz Wilna, mówiłem: Idziemy na odsiecz Matki Boskiej Ostrobramskiej? To nie są fraszki. Na intencję naszego powodzenia postanowiłem nie palić trzy dni".

Staje przed nami cały świat: „Polacy, nie pamiętacie polskiej kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej w Bazylice św. Piotra w Rzymie? Kościoła Matki Bożej Zwycięskiej w Paryżu, Amerykańskiej Częstochowy, polskiej stacji w Jerozolimie „Spotkanie z Matką"? Nie pamiętacie polskich kaplic Matki Bożej w Padwie, Loretto, Lourdes, na Syjonie czy Madagaskarze?".

Staje przed nami w końcu prosty lud tysiącletniej Polski i pyta: „Czy nie widzicie w naszych domach obrazów Maryi? Czy nie zachwycacie się tysiącami maryjnych kapliczek na rozstajnych drogach? Czy zapomnieliście wkładać do ręki zmarłego maryjny różaniec? Czy zerwaliście z szyi wizerunek Matki?".

Stają św. Kazimierz Królewicz, św. Stanisław Kostka, św. Maksymilian Maria Kolbe, kard. August Hlond z zawołaniem: „Zwycięstwo, jeśli przyjdzie, przyjdzie przez Maryję"; kard. Stefan Wyszyński, tak bardzo oddany Maryi, a także Jan Paweł II ze swoim

mottem, wezwaniem, istotą życia: *Totus Tuus*, i z tymi pięknymi słowami z Częstochowy z 1979 roku: „Tutaj zawsze byliśmy wolni".

Nie wiem, jak w obliczu tej historii tysiącletniego narodu można nie myśleć, że Matka Boża jest najważniejszą osobą po Bogu na naszej ziemi. Dlatego jesteśmy bardzo dumni, nasi uczniowie by powiedzieli mega dumni, super dumni, że Ona jest naszą patronką. Jak można uważać, że do Matki Bożej nie trzeba się modlić, że Ona nie jest ważna, że Ona nam zasłania Chrystusa? Nie. Ona nam nie zasłania Chrystusa, tylko Go trzyma, żebyśmy przychodząc do Niej, zawsze do Niego przychodzili.

[tekst spisany z nagrania]

Prof. dr hab. Krzysztof Ożóg

Jak odczytywać działanie Boże w dziejach Polski

Edukacja prowadzona przez katolickie szkoły jest czymś niezwykle istotnym dla losów naszego narodu, dla przyszłości.

Temat, który będę podejmował, nie jest prosty. Na co dzień spotykamy się bowiem z pojmowaniem dziejów wyłącznie na poziomie czynów ludzkich. Nie chodzi tylko o podręczniki szkolne, nie chodzi tylko o literaturę historyczną, ale przede wszystkim o myślenie i świadomość, którą dziedziczymy, którą wynieśliśmy z naszych szkół.

Tak jest rozumiana historia nie tylko człowieka, społeczeństw, narodów, państw, ale nawet historia Kościoła, gdyż często mamy w niej do czynienia wyłącznie z opisem działań ludzkich.

*

„Nie sposób zrozumieć dziejów narodu polskiego, tej tysiącletniej wspólnoty, która tak głęboko stanowi o mnie i o każdym z nas, bez Chrystusa. Jeśli byśmy odrzucili ten klucz dla zrozumienia naszego narodu, narazilibyśmy się na zasadnicze nieporozumienie. Nie sposób zrozumieć tego narodu, który miał przeszłość tak wspaniałą a zarazem tak straszliwie trudną, bez Chrystusa".

(Jan Paweł II, Plac Zwycięstwa, 1979)

Prof. dr hab. Krzysztof Ożóg

Jak odczytywać działanie Boże w dziejach Polski

cz. 1

Bardzo dziękuję za zaproszenie na Forum. Edukacja prowadzona przez katolickie szkoły jest czymś niezwykle istotnym dla losów naszego narodu, dla przyszłości. Temat, który będę podejmował, nie jest prosty. Na co dzień spotykamy się bowiem z pojmowaniem dziejów wyłącznie na poziomie czynów ludzkich. Nie chodzi tylko o podręczniki szkolne, nie chodzi tylko o literaturę historyczną, ale przede wszystkim o myślenie i świadomość, którą dziedziczymy, którą wynieśliśmy z naszych szkół. Tak jest rozumiana historia nie tylko człowieka, społeczeństw, narodów, państw, ale nawet historia Kościoła, gdyż często mamy w niej do czynienia wyłącznie z opisem działań ludzkich. Trudno nam się dopatrzyć, w jaki sposób Bóg działa w historii. A przecież to On jest Stwórcą, On jest Zbawicielem, Panem czasu, Panem historii, jest również tym, który działa w sercach ludzi.

Można więc postawić pytanie o to, w jaki sposób odczytywać Boże działanie. Chciałbym Państwu dać pewien klucz do patrzenia na własną historię, osobistą historię, historię naszego narodu, państwa, ale także szerzej, dziejącą się historię świata, ludzkości. Bóg bowiem nie pozostawił człowieka, jego losu, jego dziejów tylko własnym pomysłom, własnym rozwiązaniom, własnym decyzjom. Wiemy, że Bóg działa poprzez serca, poprzez umysły tych, którzy na Niego się otwierają. Ci, którzy w Niego wierzą,

przyjmują rozeznanie, które od Niego pochodzi i podejmują działania wynikające z tego rozeznania, z Bożych natchnień, z Bożych inspiracji. Rzecz bardzo ważna, abyśmy sobie uświadomili, że Bóg nam wierzącym daje odpowiednie znaki, znaki czasu – okoliczności, rzeczywistość, w której jesteśmy, żyjemy, poruszamy się – i zaprasza nas do tego, dając nam dary Ducha Świętego. Dzięki nim możemy rozpoznawać to, co jest wolą Bożą, to, w jaki sposób mamy żyć, postępować i jakie decyzje mamy podejmować, nie tylko osobiste, odnoszące się do rodziny, ale także do społeczności, w których żyjemy, pracujemy, czy do narodu. Równocześnie możemy zauważyć, że poprzez dzieje człowiek, który jest otwarty na Bożą inspirację, odczytuje Boże znaki w rzeczywistości, podejmuje działania i często wokół siebie gromadzi tych, którzy mają podobne inspiracje. Tak tworzą się ruchy i wspólnoty. Na tej drodze rodzą się i zgromadzenia zakonne, i stowarzyszenia, i bractwa, i wiele innych form życia wspólnotowego, które są Bożym narzędziem zmieniania rzeczywistości.

Kościół jest wspólnotą, która ma być solą ziemi i światłem świata. Aby zejść na grunt historii dziejów Polski, odwołam się do bardzo znanej refleksji Jana Pawła II z Placu Zwycięstwa z 2 czerwca 1979 roku. Sądzę, że wszyscy wielokrotnie słyszeliśmy tę wypowiedź dotyczącą rozumienia dziejów Polski. Myślę jednak, że nigdy za dużo przypominania tych słów papieskich, one bowiem wytyczają nam pewien szlak myślenia. Mnie także, jako historykowi, dały tę sposobność, by wychodząc od nich, przemyśleć dzieje Polski. Jan Paweł II tak mówił: „Kościół przyniósł Polsce Chrystusa, to znaczy klucz rozumienia wszelkiej podstawowej rzeczywistości, jaką jest człowiek. Człowieka bowiem nie można zrozumieć do końca bez Chrystusa. I dlatego Chrystusa nie można wyłączyć z dziejów człowieka w jakimkolwiek miejscu na ziemi. Nie można też bez Chrystusa zrozumieć dziejów Polski przede wszystkim jako dziejów ludzi, którzy przeszli

przez tę ziemię. Dziejów ludzi, dziejów narodu. Dzieje narodu są przede wszystkim dziejami ludzi. A dzieje każdego człowieka toczą się w Jezusie Chrystusie. W nim stają się dziejami Zbawienia. Dzieje narodu zasługują na właściwą ocenę wedle tego, co wniósł w rozwój człowieka i człowieczeństwa, w jego świadomość, serce, sumienie. To jest najgłębszy nurt kultury, to jej najmocniejszy zrąb, to jej rdzeń i siła. Otóż z tego, co naród polski wniósł w rozwój człowieka i człowieczeństwa, co w ten rozwój również dzisiaj wnosi, nie sposób zrozumieć i ocenić bez Chrystusa. Trzeba iść po śladach tego, czym a raczej kim na przestrzeni pokoleń był Chrystus dla synów i córek tej ziemi. Nie sposób zrozumieć człowieka inaczej jak w tej wspólnocie, którą jest jego naród. Wiadomo, że nie jest to wspólnota jedyna, jest to jednakże wspólnota szczególna, najbliżej chyba związana z rodziną, najważniejsza dla dziejów duchowych człowieka. Otóż nie sposób zrozumieć dziejów narodu polskiego, tej tysiącletniej wspólnoty, która tak głęboko stanowi o mnie i o każdym z nas, bez Chrystusa. Jeśli byśmy odrzucili ten klucz dla zrozumienia naszego narodu, narazilibyśmy się na zasadnicze nieporozumienie. Nie sposób zrozumieć tego narodu, który miał przeszłość tak wspaniałą a zarazem tak straszliwie trudną bez Chrystusa".

Wybrałem te słowa, by wyeksponować bardzo głęboką myśl papieską. To klucz, który daje nam Jan Paweł II, aby zrozumieć dzieje Polski. Wyraźnie możemy zapamiętać, że bez Chrystusa i bez tego, co On uczynił w dziejach naszych przodków, nie sposób zrozumieć historii naszej Ojczyzny, nie sposób zrozumieć nas samych tu teraz zgromadzonych, naszego zakorzenienia, naszych wartości. Ten klucz musimy zastosować, by podjąć interpretację wydarzeń z naszej przeszłości. Myślę, że podam szereg przykładów, w jaki sposób odczytywać to Boże działanie.

Zacznę od samego początku. W 2016 roku obchodziliśmy 1050. rocznicę przyjęcia chrztu przez Mieszka I. Kiedy

spoglądamy na okoliczności, w jakich znalazł się książę Mieszko, władca polański, na początku lat 60. X w., to ten Boży palec możemy dostrzec przede wszystkim w podstawowym fakcie. Jeszcze jako poganin Mieszko dobrze odczytał znaki czasu, bowiem miał kontakt ze światem chrześcijańskim. On widział, w jaki sposób ten świat funkcjonuje, w jaki sposób jest zorganizowany, bo po sąsiedzku miał monarchię czeskich Przemyślidów. I tu pojawiła się myśl, żeby włączyć się w ten świat. To jest pierwszy element – rozeznanie, analiza sytuacji, którą Mieszko podjął przy tych najbardziej fundamentalnych decyzjach. Druga sprawa, Bóg dał mu łaskę nawrócenia się z tradycyjnej, pogańskiej wiary swoich przodków i obdarzył go łaską wiary chrześcijańskiej. To jest rzecz kluczowa. Bez tego nie nastąpiłoby przyjęcie przez niego sakramentu chrztu św. w sposób trwały i życie wedle przyjętej wiary. Bóg posłużył się tutaj również osobami, m.in. Dobrawą – Dąbrówką, córką księcia czeskiego Bolesława I Srogiego. Ona jako chrześcijanka czyniła wszystko, by doprowadzić Mieszka do szczerego, autentycznego nawrócenia i przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Bóg także posłużył się misjonarzami, którzy przybyli razem z Dobrawą do państwa gnieźnieńskiego pod koniec 965 roku. Oni Mieszkowi głosili Ewangelię, Dobrą Nowinę, prawdy Boże, w które on szczerze uwierzył i przyjął chrzest. Skłonił do tego także swoich poddanych. Z grupy pierwszych misjonarzy znamy tylko pojedyncze imiona, przede wszystkim Jordana, który został w 968 roku pierwszym biskupem w państwie polańskim. Mieszko całym sercem i z całą mocą zaangażował się w to, by budować monarchię, by przekazywać wiarę swoim poddanym, by tworzyć podstawy Kościoła najpierw na swoim dworze, w kręgu elity, a potem coraz bardziej wśród swoich poddanych. To wymagało wielkiego wysiłku, sprowadzania kapłanów, misjonarzy, którzy by stale pracowali, budowy świątyń, ich wyposażenia, odpowiedniego uposażenia materialnego rodzącego się Kościoła. Tak się zaczęło.

Idźmy dalej. Następca Mieszka Bolesław Chrobry, który objął władzę w 992 roku, zaprosił na polski dwór Wojciecha Sławnikowica, biskupa praskiego, skonfliktowanego z dynastią Przemyślidów, a konkretnie z wówczas panującym księciem czeskim Bolesławem II Pobożnym, z elitą czeską, a przede wszystkim z elitą w swojej diecezji praskiej, która nie chciała słuchać bardzo gorliwego w umacnianiu wiary chrześcijańskiej biskupa. A on wzywał do tego, by wyrzec się wielożeństwa, handlu niewolnikami czy wielu obyczajów kłócących się z Dekalogiem. Wojciech został dwukrotnie wypędzony z Pragi – najpierw w 989 roku, a po raz drugi w 995. Był on przyjacielem cesarza Ottona III, był jego doradcą, a także bliskim papieżowi Sylwestrowi II, miał wiele propozycji, gdzie mógłby się udać, ale wybrał Polskę. Wybrał dwór Bolesława i tereny pogańskich Prusów i 23 kwietnia 997 r. poniósł śmierć męczeńską. Bolesław, który wspierał tę misję do Prus, zachował się w sposób genialny. To była ewidentnie inspiracja Boża. Wykupił ciało męczennika z rąk Prus, żeby ono było w Polsce, żeby Wojciech jako męczennik został otoczony kultem. Ten kult został zainicjowany w Gnieźnie, gdzie uroczyście złożono ciało męczennika. Dlatego Otton III, który był przyjacielem Wojciecha, i papież Sylwester zgodzili się, by w Gnieźnie utworzyć arcybiskupstwo. To nie była decyzja wyłącznie polityczna. Ona miała wyraźny podtekst duchowy, bowiem Otton III uważał Wojciecha męczennika za swego patrona, uważał go za patrona cesarstwa. W roku 1000 pielgrzymuje do grobu świętego Wojciecha w pielgrzymce pokutnej, jej ostatni etap przebywa boso. I tu zapadają te niezwykle ważne decyzje – zostaje zorganizowana metropolia gnieźnieńska, czyli arcybiskupstwo z biskupstwami w Krakowie, w Kołobrzegu i we Wrocławiu, zaś dawne biskupstwo polskie, ograniczone do Wielkopolski, pozostaje nadal podporządkowane Stolicy Apostolskiej. Tak więc krew męczennika stała się zaczynem organizacji Kościoła w Polsce. Bez dostrzeżenia Bożego działania nie jesteśmy w stanie odpowiednio zinterpretować tego faktu.

Przejdźmy dalej. Chciałbym wydobyć teraz sprawę Stanisława ze Szczepanowa, biskupa męczennika. On był pasterzem i sługą Ewangelii w diecezji krakowskiej, blisko współpracował z królem Bolesławem Szczodrym. Przypomnę, że został on wyniesiony na biskupstwo w roku 1072 z woli księcia Bolesława Szczodrego. Było to jeszcze przed reformą gregoriańską i prawo do mianowania biskupów w Polsce od roku 1000 należało do władców z dynastii piastowskiej. I to Piastowie wybierali na biskupstwa odpowiednich ludzi. Władca wręczał też nowemu biskupowi insygnia, tj. pastorał i pierścień. Dopiero po reformie gregoriańskiej zaczęli to robić przedstawiciele Kościoła. Stanisław był bliskim współpracownikiem Bolesława w dziele odnawiania Kościoła. Tak się bowiem stało, że w latach 30. XI wieku monarchia Piastów popadła w konflikty wewnątrzdynastyczne, wojny wewnętrzne i wskutek najazdu księcia czeskiego Brzetysława w 1038 roku całe centrum monarchii z Gnieznem, z Poznaniem zostało zrabowane i zniszczone. Czesi wywieźli wtedy relikwie świętego Wojciecha, Pięciu Braci Męczenników, a także cały skarbiec Polski. Trzeba było odbudowywać monarchię, struktury Kościoła i chrześcijaństwo na ziemiach polskich. Stanisław współpracował z królem, a także z legatami papieskimi, którzy przybyli w 1075 roku i dokonali odnowienia arcybiskupstwa i biskupstw. Jedynie biskupstwo krakowskie działało bez przerwy od roku 1000. Ono nie uległo zniszczeniu w trakcie wspomnianego kryzysu monarchii. Trzy lata po królewskiej koronacji, która miała miejsce w 1076 roku, dochodzi do wielkiego konfliktu. Wiemy, że Bolesław był wojowniczy, prowadził długotrwałe wyprawy wojenne. W ten sposób bardzo mocno wyeksploatował swoich poddanych. Wojny generowały spore koszty, zaś rycerze na długie miesiące musieli opuszczać rodziny, gospodarstwa, co powodowało mnóstwo problemów. Równocześnie Bolesław jako człowiek gwałtownego charakteru zaczął prześladować w sposób niegodziwy

poddanych. W ich obronie wystąpił biskup Stanisław. Bronił swojej owczarni, by król nie dochodził w sposób brutalny, przeciwny prawu Bożemu i niezgodny z polskim obyczajem prawnym, swoich wyimaginowanych racji. W tym konflikcie Stanisław czerpał moc od Chrystusa, zaś Bolesław był zaślepiony nienawiścią. 11 kwietnia 1079 roku na Skałce dochodzi do tragedii. Król uderzył od tyłu biskupa i ten zginął na miejscu. Dlaczego mówię o tym fakcie? Dlatego, że Bóg dopuścił do tego, ale też dlatego, że śmierć Stanisława, którego od razu poczytano za męczennika, świętego, stała się memento dla następców Bolesława. Bolesław utracił tron, koronę, panowanie w Polsce i dwa lata później zmarł na wygnaniu na Węgrzech. Możemy powiedzieć, że śmierć biskupa Stanisława, jego męczeństwo stało się Bożym znakiem zarówno dla władców, jak i dla całego społeczeństwa polskiego.

Następcy Bolesława, Piastowie, a także władcy z kolejnych dynastii, mieli to wszystko w pamięci. Wiedzieli już, że nie można rządzić poddanymi w sposób niegodziwy, nie można im wyrządzać krzywdy. To memento sprawiało, że nawet jeśli Piastowie dopuszczali się niegodziwości, to podejmowali publiczną pokutę. Przykładem jest Bolesław Krzywousty, który poprzez konflikt z bratem Zbigniewem doprowadził do jego oślepienia, pozbawienia go władzy, a ostatecznie do śmierci. On jednak uznał, że popełnił grzech i podjął publiczną pokutę, pielgrzymując zarówno po Polsce, jak i do grobu świętego Stefana Wielkiego, króla Węgier w Białogrodzie królewskim na Węgrzech. To go uchroniło. Nawrócenie sprawiło, że zmienił postawę. Drugi przykład to król Kazimierz Wielki. Wikariusz katedry krakowskiej Marcin Baryczka z polecenia biskupa krakowskiego Bodzęty publicznie napomniał króla z powodu niemoralnego prowadzenia się. Stanął przed królem i powiedział: „Wasza królewska mość, nie godzi się grzeszyć". Słudzy Kazimierza utopili odważnego księdza Baryczkę w Wiśle. Musimy sobie uzmysłowić, jaką odwagę musiał mieć

ten duchowny, by stanąć wobec króla i go napomnieć. Wiemy, że Stolica Apostolska nałożyła na króla poważną pokutę. Musiał wybudować kilka kościołów.

Przejdźmy odrobinę dalej, do XIII wieku. Chciałbym tutaj wydobyć postać, może niezbyt powszechnie znaną, ale, dzięki Duchowi Świętemu, obdarzoną dobrym rozeznaniem. Chodzi o biskupa krakowskiego w latach 1218-1229 Iwona Odrowąża. Był to człowiek świetnie wykształcony, studiował w Bolonii, bywał w Paryżu. Człowiek głębokiej wiary, nawet w pewnym momencie złożył rezygnację z biskupstwa, bo chciał zostać kanonikiem regularnym w klasztorze świętego Wiktora w Paryżu. Był to człowiek, który w roku 1221 pojechał do Rzymu. Wcześniej jeszcze był na Soborze Laterańskim IV, zwołanym przez papieża Innocentego III, który przeprowadził bardzo poważną reformę w Kościele. Wyznaczył pewne minimalne obowiązki katolika, które ciągle nie straciły na ważności, m.in. to, że katolik w okresie Wielkanocy powinien się wyspowiadać i przyjąć Komunię Świętą.

Biskup Iwon Odrowąż wraz z grupą kapłanów, wśród których był m.in. Jacek i Czesław Odrowążowie, udali się do Rzymu. To był rok 1221. Spotkali świętego Dominika i to spotkanie wywarło na nich wielkie wrażenie. Wtedy biskup Iwon poprosił Dominika, aby ten przysłał swoich braci do Polski w celu głoszenia Słowa Bożego i posługi duszpasterskiej w rodzących się miastach. W czasie tego spotkania i u Jacka, i u Czesława obudziło się powołanie, by wstąpić do zakonu dominikanów. Święty Dominik przyjął ich do nowicjatu, a po kilku miesiącach formacji wysłał do Polski. Na przełomie 1221 i 1222 roku przybyli oni do Krakowa, by tworzyć tam pierwszy konwent dominikanów, który zresztą trwa po dzień dzisiejszy. Z tego konwentu w ciągu najbliższych lat zrodziło się kilkanaście wspólnot dominikańskich na ziemiach polskich. Marzeniem świętego Dominika Guzmana było to, by pójść do pogan żyjących nad Bałtykiem. Dominik zanim jeszcze założył zakon

podróżował do Danii. Marzył, żeby pójść głosić Ewangelię pogańskim Prusom. Wysyłając Jacka i Czesława, zainspirował ich, by to oni zrealizowali jego marzenie. I rzeczywiście tak było. Dominikanie stali się wielkim zaczynem. To samo było z franciszkanami. Biskupi przyjęli ich, widząc ogromną potrzebę takiego sposobu głoszenia Ewangelii, życia pełnego prostoty, które równocześnie było niezwykłym świadectwem ewangelicznym.

Kiedy spoglądamy na dzieje Polski, to jednym z najbardziej przełomowych momentów jest panowanie Jadwigi Andegaweńskiej, króla Polski. Wyraźnie to tutaj podkreślam, ponieważ ona miała prawa dziedziczne po Ludwiku. One były uznane przez panów i szlachtę polską poprzez przywilej koszycki z 1374 roku. Po śmierci Ludwika Węgierskiego w 1382 roku i dwuletnim bezkrólewiu Jadwiga została 16 października 1384 roku ukoronowana na króla Polski. Dokładnie tak to zapisano w źródłach *in regem Poloniae coronata*. Nie *in reginam*, na królową, tylko na króla Polski została koronowana, ponieważ miała pełne prawa dziedziczne do tronu polskiego. Jej życie było przeniknięte bardzo głęboką relacją ze Zbawicielem. Wiemy o jej modlitwach u stóp krzyża, który przywiozła z Węgier. Wiemy, że było wiele dramatycznych sytuacji, związanych z jej panowaniem. Ludwik Węgierski zawarł układy z Habsburgami co do małżeństwa Jadwigi z Wilhelmem. W Hainburgu odbyły się w 1378 r. nawet tzw. *sponsalia pro futuro*, a więc zaślubiny obojga dzieci z warunkiem, że małżeństwo stanie faktem po osiągnięciu przez Jadwigę i Wilhelma wieku wymaganego przez prawo i fizycznym dopełnieniu. Takie układy były często zawieranie między średniowiecznymi dynastami bez względu na wiek potomków i stanowiły przypieczętowanie sojuszy. Ale Jadwiga odwołała te układy. Miała przy tym wsparcie przede wszystkim panów krakowskich, którymi posłużył się Bóg. W jaki sposób? Mianowicie oni stwierdzili, że najlepiej dla Królestwa Polskiego, jego sytuacji po wielu latach wojen

z pogańskim Wielkim Księstwem Litewskim, będzie, kiedy Jadwiga zostanie żoną Jagiełły, wówczas jeszcze pogańskiego księcia. On przyjmie chrzest, otrzyma rękę i koronę królewską i przeprowadzi chrystianizację Litwy, złączy Wielkie Księstwo Litewskie z Królestwem Polskim. Można powiedzieć – genialny plan, który nie mógł narodzić się wyłącznie z rachuby politycznej. Ten plan zakładał warunek podstawowy, że Jagiełło przyjmie chrzest i doprowadzi do przyjęcia chrztu przez swoich poddanych. To było najważniejsze, bez tego nic by się nie udało. Jagiełło sam podkreślał w licznych dokumentach, że został jakby oświecony blaskiem Boga Najwyższego i nawrócił się z wierzeń pogańskich na chrześcijaństwo, czyli na prawdziwą wiarę. Nie bez znaczenia były też modlitwy Jadwigi u stóp Krzyża św. w tej sprawie. Jadwiga i Jagiełło odpowiadając na rozeznanie i głos Boży, który się rozlegał w ich sercach, prowadzili dzieło chrystianizacji. Zimą i wiosną na przełomie 1386 i 1387 roku Jagiełło wraz z misjonarzami polskimi objeżdżał ziemie litewskie, zwołując ludność poszczególnych regionów, którą misjonarze pouczali o prawdach wiary i zasadach życia chrześcijańskiego. W to nauczanie misyjne za każdym razem włączał się Władysław Jagiełło, który osobiście uczył swoich poddanych modlitw w języku litewskim. Niezwyczajna to sprawa i piękny gest wiary monarchy. Boże działanie możemy więc śledzić w życiu obojga panujących. Świętość Jadwigi promieniowała na całe otoczenie. To ona wraz z Władysławem wystarała się w Stolicy Apostolskiej o erygowanie 1397 r. w Krakowie Wydziału Teologii. Na łożu śmierci zobowiązała Jagiełłę do ponownej fundacji uniwersytetu w Krakowie i na ten cel zapisała w testamencie znaczną część swoich kosztowności. Król w rok po śmierci swej świętej żony wypełnił jej wolę i powołał do życia Uniwersytet Krakowski, który został zorganizowany przez uczonych z otoczenia Jadwigi. Od samego początku ten uniwersytet rodzi świętych, bo u jego podstaw jest świętość Jadwigi. W ten sposób

możemy tłumaczyć to, co dzieje się w XV wieku, kiedy mamy na Uniwersytecie Krakowskim całą grupę świętych uznanych przez Kościół. To św. Jan z Kęt, św. Stanisław Kazimierczyk, św. Szymon z Lipnicy i ci, których procesy jeszcze się toczą – Izajasz Boner, Michał Giedroyć, Świętosław Milczący. W tej jagiellońskiej wszechnicy powstała myśl filozoficzna, teologiczna i prawna z gruntu przeniknięta Bożą mądrością. Paweł Włodkowic, Stanisław ze Skarbimierza, naprawdę niezwykli mężowie, obdarzeni mądrością płynącą z Ducha Świętego, ukazywali w swych dziełach jak ma funkcjonować społeczność międzynarodowa i w jaki sposób głosić Ewangelię poganom. Jan Paweł II nazwał uniwersytet „szczęśliwą fundacją królów polskich" i w swoich kazaniach odwoływał się do myśli wybitnych profesorów, którzy w swych dziełach podejmowali refleksję nad tym co najgłębsze w życiu człowieka, społeczeństwa, narodu i całej ludzkości.

cz. II

Tę drugą część mojego wystąpienia chciałbym rozpocząć od krótkiego przypomnienia osoby, którą możemy określić mianem męża opatrznościowego. Osoba, o której w ten sposób mówimy, jest wrażliwa na to, by odczytywać wolę Bożą i rozeznawać znaki czasu. Kimś takim w drugiej połowie XVI wieku był ksiądz Stanisław Hozjusz, późniejszy kardynał, wychowanek Uniwersytetu Krakowskiego, człowiek, który odegrał niezwykłą rolę w dziejach naszej Ojczyzny. On był najpierw biskupem chełmińskim, później biskupem warmińskim, a od roku 1561 kardynałem. Wiedział, że drogą do tego, by Polska pozostała katolicka, jest przede wszystkim danie Kościołowi oręża duchowego i intelektualnego. Napisał dzieło *Confessio Fidei Catholicae Christiana*, czyli o wyznaniu wiary katolickiej, które w ciągu kilkudziesięciu zaledwie lat miało trzydzieści wydań. Nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie to

dzieło było czytane, umacniało tych, którzy mieli wątpliwości, tych, którzy wahali się, czy nie przystąpić do luteranów, kalwinów, czy innych odłamów reformowanych wyznań, wówczas się tworzących. Hozjusz odegrał niezwykłą rolę w tym kluczowym momencie dziejów.

W 1564 roku na synodzie prowincjonalnym w Polsce ówczesny arcybiskup gnieźnieński Jakub Uchański dążył do tego, by na wzór Kościoła Anglii stworzyć w Polsce Kościół narodowy i odciąć się od Rzymu. Na tym synodzie był też Stanisław Hozjusz, który poprzez swoje działania, wraz z nuncjuszem papieskim Janem Commendonim, zdołał zablokować tę decyzję. Większość episkopatu wtedy wahała się, ale była skłonna iść za prymasem. Kardynał Stanisław Hozjusz doprowadził do tego, że król Zygmunt August przyjął dekrety Soboru Trydenckiego i przerwał wahanie na korzyść pozostania Rzeczypospolitej i polskiego Kościoła przy Rzymie. W ten sposób Hozjusz zdołał przechylić szalę w polskim episkopacie na rzecz wierności Stolicy Apostolskiej. To on jako pierwszy sprowadził do Braniewa konwent jezuitów. Ta wspólnota poprzez swoją działalność, modlitwę i zaangażowanie miała być w pewnym sensie antidotum na szerzącą się reformację. Jezuici mieli świetnie opracowany program kształcenia młodzieży, który okazał się atrakcyjny dla polskiej szlachty. I co się stało? Za przykładem Stanisława Hozjusza i też przy dużym jego udziale do końca XVI wieku na terenach Rzeczypospolitej powstało 230 wspólnot jezuickich. To jest niezwykła sprawa. W większości miast powstały kolegia jezuickie. Tam szlachta wysyłała swoją młodzież. Jezuici kształcili nowocześnie, także w umiejętnościach, które potrzebne były szlachcie w życiu publicznym, a więc w retoryce, w literaturze, w doskonałych wzorcach pisania i przemawiania. Bóg posłużył się Zygmuntem Augustem, który przyjmując dekrety Soboru Trydenckiego i opowiadając się za wiernością Stolicy Apostolskiej, nie rozpoczął

wojny religijnej z protestantami. Gdyby do niej doszło, w Rzeczypospolitej utrwaliłyby się podziały reformacyjne. Szlachta protestancka nie wróciłaby później na łono Kościoła katolickiego.

W drugiej połowie XVI wieku Rzeczypospolita miała wielkiego proroka wśród jezuitów – Piotra Skargę. Postać ta jest nam znana, ale jej działania niestety są zapomniane. Ostatnio wyszło wznowienie *Kazań sejmowych*. Warto do nich sięgnąć, bo tam właśnie ten wielki prorok definiuje i omawia w Bożym świetle sześć chorób Rzeczypospolitej: brak miłości do Ojczyzny, spory wewnętrzne, tolerowanie herezji, osłabianie władzy królewskiej, złe prawa oraz „grzechy jawne i złości jawne", czyli grzechy publiczne. To był człowiek, który nie tylko diagnozował, który nie tylko mówił i przestrzegał w Bożym duchu przed zagrożeniami dla Rzeczypospolitej, ale także budował na sposób nowoczesny cały system opieki socjalnej. Powołał Arcybractwo Miłosierdzia, które miało skupiać darczyńców. Powołał Bank Pobożnych, który był alternatywą dla lichwy. Bank, który rzemieślnikom w sytuacjach kryzysowych umożliwiał dogodną pożyczkę, by mogli uratować swój byt, swój warsztat pracy. Powołał także Bractwo św. Łazarza, które miało zajmować się żebrakami i działać w ich środowisku. Powołał Skrzynkę św. Mikołaja, która miała wyposażać panny z ubogich domów, by mogły wyjść za mąż i miały utrzymanie. W ten sposób Piotr Skarga działał, niósł pomoc inspirowany Bożą mądrością i miłością.

O Jasnej Górze nie będę opowiadał, bo wszyscy Państwo tu obecni w murach klasztoru jasnogórskiego znacie jego historię. Chcę tylko podkreślić, że w oparciu o doświadczenia szwedzkiego potopu Jan Kazimierz próbował odnowić Rzeczypospolitą. Dlatego 1 kwietnia 1656 roku przed obrazem Matki Bożej Łaskawej we Lwowie złożył śluby. Maryja została przez niego ogłoszona Królową Wszystkich Państw Rzeczypospolitej, a więc i Polski, i Wielkiego Księstwa Litewskiego, i Ziem Pruskich, i Ruskich, itd. Ten

wielki akt napotkał jednak opór szlachty, magnaterii. Jan Paweł II pięknie to nazywał, mówiąc o starodawnej winie społeczeństwa szlacheckiego, zwłaszcza części arystokracji, dygnitarzy państwowych, a także – dodał – niektórych dygnitarzy kościelnych. To spowodowało zahamowanie duchowych owoców ślubów Jana Kazimierza. Opór, prywata, „współpraca" z sąsiadami, czyli sprzedawanie się obcym mocarstwom, doprowadziły do znanych nam skutków dla Rzeczypospolitej. Ale nawet wtedy Bóg działał. Jako opatrznościową sprawę możemy potraktować koronację wizerunku jasnogórskiego koronami papieskimi 8 września 1717 roku. Nie było żadnych zbiegów okoliczności. To prowadziła Boża ręka. To Bóg dał ten ukoronowany wizerunek Królowej Polski, Królowej Narodu Polskiego na czas, w którym nie było państwa polskiego, nie było władcy, który broniłby narodu polskiego.

Upadek Rzeczypospolitej związany był z wielkim kryzysem duchowym, który dotknął elity rządzące. W XVIII wieku duża część tych, którzy rządzili Polską, należała do masonerii. To jest fakt znany i oczywisty. Nawet niektórzy spośród członków episkopatu zasiadali w lożach masońskich. Miało to zgubne skutki dla życia duchowego narodu, a tym samym jego losów politycznych.

Chciałbym teraz pokazać, jak wyglądały zmagania Polaków o odrodzenie duchowe, moralne i narodowe, które były podstawą odzyskania niepodległości w 1918 roku. Często zatrzymujemy się na poziomie działań militarnych, dyplomatycznych, wojskowych. Czasami jeszcze do tego dołączamy walkę o język, o kulturę, ale zapominamy o tych wielkich ludziach, którzy działając z pobudek chrześcijańskich, ewangelicznych, odnawiali siebie, swoje otoczenie i wpływali na odnowienie moralne, patriotyczne narodu polskiego. Możemy powiedzieć, że zaczęło się po nieudanym powstaniu listopadowym, które miało największe szanse doprowadzić do wybicia się Polski na niepodległość. Zaczęło się w Paryżu na przełomie 1834 i 1835 roku, kiedy niewierzący Bogdan Jański

(1807-1840) przeżył głębokie nawrócenie. Bóg dał mu łaskę wiary. Wtedy odkrył, że prawdziwe zmartwychwstanie narodu polskiego i polskiego społeczeństwa może dokonać się jedynie przez głębokie nawrócenie i dawanie świadectwa wiary w służbie bliźnim. Następnie wyraził prostą, ale bardzo głęboką myśl w haśle: „służcie Bogu, a Bóg zbawi Polskę". To był moment niezwykły w duchowych dziejach narodu polskiego, od którego rozpoczyna się walka duchowa, modlitwa o przemianę, o nawrócenie, o to, by naród przyjął Bożą łaskę. Wtedy, mówiąc w wielkim skrócie, powstało wokół Bogdana Jańskiego po jego przeniesieniu się do Rzymu Zgromadzenie Zmartwychwstańców, które stawiało sobie za cel modlitwę i pracę nad odrodzeniem duchowym, moralnym i narodowym Polaków. Współzałożyciele tego zgromadzenia księża Piotr Semenenko (1814-1886) i Hieronim Kajsiewicz (1812-1873) utworzyli w Rzymie w 1866 r. Kolegium Polskie dla kształcenia kapłanów w duchu wspomnianych idei, aby z Bożą pomocą rozszerzać dzieło odnowy narodu polskiego.

Co się dzieje w tym czasie na ziemiach polskich? Najpierw ma miejsce walka z największym wówczas zagrożeniem polskiego narodu, czyli z alkoholem, z pijaństwem. Społeczeństwo było wtedy nieprawdopodobnie rozpite. Ks. Alojzy Ficek (1790-1862), twórca sanktuarium w Piekarach Śląskich, rozeznał, że na wszelkie sposoby koniecznie trzeba podjąć walkę duchową z tym zagrożeniem. W święto Matki Bożej Gromnicznej, 2 lutego 1844 r. rozpoczął kazania, które inicjują wielką akcję trzeźwościową na Śląsku. W ciągu roku poprzez publiczne rekolekcje, akty wyrzeczenia, swego rodzaju misje 200 tysięcy ludzi wyrzekło się picia alkoholu. Do tej akcji przyłączyli się inni kapłani i zaczął się wielki ruch zrzucania pęt, kajdan nałogu, alkoholizmu. Ruch trzeźwościowy przeniknął również do Galicji i Królestwa Polskiego. Ksiądz Alojzy Ficek zyskał naśladowców, którzy ponieśli ideę duchowej walki o trzeźwość narodu przez cały XIX wiek.

Kiedy popatrzymy na losy polskiego narodu, jesteśmy zadziwieni sposobami Bożego działania. Na dwa lata przed wybuchem powstania styczniowego, tego wielkiego ostatniego zrywu Polaków, w całym Królestwie Polskim, ale także w zaborze pruskim odprawiane były msze św. w intencji ojczyzny. Od 15 sierpnia do początku października 1861 roku w samej Warszawie było odprawionych dwieście mszy w intencji Ojczyzny ze śpiewem *Boże, coś Polskę*. Potem Rosjanie wprowadzili stan wojenny i tego zakazali. Te działania możemy traktować jako pierwszą falę, która przeszła przez naród polski. Falę, która złączyła ideę odzyskania niepodległości, wolności, z wielką modlitwą do Boga o tę niepodległość.

Bóg przychodzi też do narodu polskiego z bezpośrednim przesłaniem za pośrednictwem Matki Bożej, tak bowiem możemy traktować objawienia w Gietrzwałdzie w 1877 roku. Matka Boża prosiła Justynę Szafryńską i Barbarę Samulowską, by codziennie odmawiały różaniec, by Polacy odmawiali różaniec. Kościół nie będzie prześladowany – zapowiadała Maryja – jeśli ludzie będą się gorliwie modlić. Od tego momentu Gietrzwałd stał się celem wielu pielgrzymek z różnych stron, z trzech zaborów, gdzie to objawienie było szeroko propagowane. Jasna Góra także była celem pielgrzymek. To wzmacniało tych, którzy tutaj przybywali zarówno w wierze, jak i w tożsamości narodowej, w identyfikacji z polskością, w uczuciach i działaniach patriotycznych. To samo działo się w Kalwarii Zebrzydowskiej. Mamy tam wielkie uroczystości, które gromadziły po dwieście, trzysta tysięcy wiernych, zaś polskość była tam obecna na każdym kroku.

W drugiej połowie XIX w. spora grupa ludzi podejmowała działania po to, by odnowić moralnie i religijnie Polaków. Warto tutaj wspomnieć przede wszystkim przykład kapłanów: ks. Piotra Wawrzyniaka (1849-1910), ks. Augustyna Szamarzewskiego (1832-1891), czy ks. Antoniego Tyczyńskiego (1856-1925). Ci dwaj pierwsi działali w Wielkopolsce w czasach, kiedy Otto

von Bismarck, kanclerz Cesarstwa Niemieckiego, podjął zdecydowaną walkę z Kościołem katolickim, z Polakami, z polskością. On wiedział doskonale, że polskość i wiara, katolicyzm łączą się nierozerwalnie. Chciał pozbawić Polaków przedsiębiorstw, ziemi, zgermanizować ich i w ten sposób zakończyć całą sprawę. Było to działanie systemowe, przemyślane, ujęte w środki prawne. Bóg w tej sytuacji zainspirował księży, którym towarzyszy grupa świeckich, do działania, by w oparciu o zasady miłości bliźniego, wzajemnej solidarności, uczciwej pracy, oszczędności, tworzyć spółki, bractwa, kasy zapomogowo-kredytowe, rozmaite formy wspólnotowego działania, które ocalą stan posiadania Polaków, pozwolą zgromadzić środki, wspierać nimi zarówno inwestycje, jak i pomoc społeczną. Jakie były tego owoce? Otóż w wyniku działalności księży Augustyna Szamarzewskiego i Piotra Wawrzyniaka w zaborze pruskim powstało 265 spółek z ogromnym kapitałem polskim na ówczesne czasy (204 mln marek). To pozwoliło całkowicie odwrócić skutki polityki Bismarcka. Podobnie ks. Antoni Tyczyński, proboszcz w Albigowej, w zaborze austriackim, w latach 1886-1912. Założył on kółko rolnicze, którego był prezesem. Starał się zapewnić swoim parafianom (ludności chłopskiej) podstawową edukację i wzmocnić ich duchowo oraz obudzić w nich świadomość narodową. Zabiegał też, aby podnieść gospodarczo swych parafian. Ks. Antoni Tyczyński zdołał tak pobudzić i zorganizować parafian, że dzięki zebranym środkom udało im się wybudować murowany duży kościół w miejsce małego drewnianego. Na polu oświaty założył on szkołę ludową szkołę koszykarską i szkołę gospodyń wiejskich. W ramach Towarzystwa Oświaty Ludowej zorganizował czytelnię, wypożyczalnię książek, utworzył amatorski zespół teatralny. Założył też kasę Raiffeisena. Wybudował łaźnię, młyn, mleczarnię. Powołał spółkę przemysłowo-rolniczą, straż pożarną. Zakładał studnie, a nawet utwardzał drogi. Był znakomitym organizatorem, który potrafił zainspirować i pociągnąć za sobą ludzi.

Gdybyśmy spojrzeli od strony duchowej na dzieje narodu polskiego w II połowie XIX w., to mamy galerię niezwykłych postaci, świętych, działających na rozmaitych polach. Warto przyjrzeć się, w jakich warunkach oni działali. Błogosławiony Honorat Koźmiński (1829-1916) jest dla mnie wyjątkową postacią, która stała się Bożym narzędziem w jednym z najtrudniejszych okresów dziejów polskiego narodu i Kościoła. Mając do dyspozycji wyłącznie konfesjonał, nie mogąc publicznie sprawować posługi kaznodziejskiej, zdołał doprowadzić do założenia 26 tajnych zgromadzeń – 22 bezhabitowych żeńskich i 4 męskich o różnych formach działalności. Te zgromadzenia działały w sposób nowoczesny. Po klęsce powstania styczniowego Królestwo Kongresowe było najbardziej zniszczone pod względem duchowym przez carat, który skasował klasztory zgromadzeń zakonnych i prześladował na wszystkich polach polski Kościół. Człowiek, który ma do dyspozycji tylko kratki konfesjonału, potrafił z Bożą pomocą tak wiele zadziałać przeciwko polityce zaborcy.

Sam wywodzę się z diecezji przemyskiej, obecnie jest to diecezja rzeszowska. Moja parafia została założona pod koniec XVI wieku. Okres, który przemienił jej życie, przypadał na przełom XIX i XX wieku, kiedy ordynariuszem przemyskim był św. Józef Sebastian Pelczar (1842-1924). Był on studentem w Rzymie i mieszkał we wspomnianym Kolegium Polskim, założonym przez księży zmartwychwstańców. Przejął się dogłębnie ideami głoszonymi przez Bogdana Jańskiego. Po powrocie do Polski Józef Sebastian Pelczar był rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego (1882-1883) i w Krakowie założył Zgromadzenie Sióstr Serdanek oraz rozmaite bractwa, które miały troszczyć się o najbardziej potrzebujących, a także dążyć do pogłębiania ich wiary. W latach 1900-1924 był biskupem przemyskim. Za jego pontyfikatu na stolicy przemyskiej wybudowano w diecezji bardzo wiele murowanych kościołów. W tej ubogiej Galicji, w wielu ubogich

wiejskich parafiach potrafił mobilizować i księży, i wiernych do wznoszenia nowych świątyń. Równocześnie propagował i wspierał działania bractw i stowarzyszeń, które miały za cel podstawową formację katolicką, duchową i moralną swych członków. Taką działalność prowadziły w parafiach bractwa: Najświętszej Panny Marii Królowej Polski, Różańcowe, Najświętszego Sakramentu i inne. Parafie zaczęły żyć zupełnie inaczej. Wierni gromadzący się w tych bractwach, stowarzyszeniach mieli pogłębioną formację i odpowiednie formy pobożności. Św. Józef Sebastian Pelczar doprowadził do bardzo głębokiej odnowy i przemiany całej diecezji przemyskiej. Podobną rolę odegrał w archidiecezji lwowskiej św. Józef Bilczewski (1860-1923). Dzięki takim świętym biskupom było możliwe odzyskanie przez Polskę niepodległości.

Kiedy dochodzimy do czasów współczesnych, musimy zauważyć, że na czasy totalitaryzmu, na czasy komunizmu antidotum stali się Boży mężowie, których Bóg opatrznościowo dał narodowi polskiemu, by budzić w nim ducha wiary, a przez to wzmacniać ducha polskości i ducha prawości. Koniecznie należy wspomnieć Stefana Kardynała Wyszyńskiego, Sługę Bożego i jego Śluby Jasnogórskie z 26 sierpnia 1956 roku oraz akty milenijne. Zupełnie zapomina się o Wielkiej Nowennie związanej z milenium chrztu Polski. Zapomina się o obchodach milenijnych, które przeorały duchowo i patriotycznie całą Polskę. W najważniejszych ośrodkach odbywały się w 1966 r. wielkie uroczystości Sacrum Millenium Poloniae, które stały się swego rodzaju rekolekcjami narodowymi. One wyrwały polskie społeczeństwo ze szpon komunizmu, szpon wojującego ateizmu.

Musimy dostrzec w tym okresie także takich kapłanów jak ks. Franciszek Blachnicki (1921-1987). Oddał się Bogu, Bóg go ocalił, a on stał się Jego narzędziem. On podjął wielką krucjatę wstrzemięźliwości, którą komuniści zdusili, bo obawiali się trzeźwego narodu. Ale to nie powstrzymało ks. Blachnickiego. Założony

przez niego ruch oazowy we wszystkich swoich formach przeorał duchowo i polską młodzież, i polskie rodziny. Ruch Światło-Życie w dużej mierze ocalił polskie społeczeństwo i jego wierne trwanie przy wierze katolickiej. I potem dar św. Jana Pawła II. Swoje wystąpienie chciałbym zakończyć Jego słowami wypowiedzianymi podczas narodowej pielgrzymki z okazji Roku Jubileuszowego: „Mając w pamięci milenijne przeżycia, w sposób szczególny doświadczamy, że nasza tu obecność jest owocem tej wielkiej, dziejowej pielgrzymki, jaką nasz naród rozpoczął, gdy książę Mieszko przyjął chrzest i wyznał wiarę w Chrystusa. Pragniemy, aby ten naród wziął dziś udział w tym naszym nawiedzeniu apostolskich progów Wielkiego Jubileuszu, a wraz z nim by była tu obecna cała nasza tysiącletnia historia i kultura, począwszy od Wojciechowej «Bogurodzicy». Chcemy zaprosić tu wszystkich Piastów, którzy zasiadali na tronie polskim, od Mieszka do Kazimierza Wielkiego. Pragniemy, aby była tu obecna Pani wawelska, Królowa Jadwiga, z tym wszystkim, co uczyniła dla naszego narodu i dla polskiej kultury. Wraz z nią niech wejdzie tutaj epoka jagiellońska, czas Rzeczypospolitej Trojga Narodów, okres największej świetności dziejowej naszej Ojczyzny. Pragniemy tutaj przywołać tych wszystkich, których ciała spoczywają w podziemiach Wawelu – biskupów, królów, wodzów i wieszczów – wszystkich, którzy znaczyli szlak naszych dziejów wzniosłych i trudnych, nacechowanych zwycięstwami i klęskami, aż po największy upadek trzech rozbiorów i bohaterskie odzyskiwanie niepodległości już w tym stuleciu. Wszyscy ci ojcowie naszej historii niech będą tu dziś obecni i niech zaświadczą, że kolejne pokolenia synów i córek Kościoła w Polsce zostawiały w dziejach trwały ślad swej wiary, umiłowania Boga i człowieka, troski o poszanowanie ponadczasowych wartości. Niech nie zabraknie tego świadectwa o wielopokoleniowym trudzie kształtowania chrześcijańskiego oblicza nie tylko naszego narodu, ale także całej Europy. Przyjmijmy ich

świadectwo nie po to, aby się chlubić, ale po to, byśmy wpierw oddali chwałę Panu, a potem świadomie podjęli to dziedzictwo i przekazali je przyszłym pokoleniom. To wszystko, co Polskę stanowi niech wejdzie z nami tutaj przez bramę trzeciego tysiąclecia, która otwiera się ku przyszłości". I o tym świadectwie wiary Polaków i sposobie odczytania Bożego działania w naszych narodowych dziejach była przed chwilą mowa.

Ks. dr Marek Studenski

O co chodzi w nauce religii – katechizacja w szkole katolickiej

Kiedyś zastanawiałem się, co zrobić, żeby praca szkoły była owocna, żeby nauczyciel mógł dobrze pracować. Doszedłem do wniosku, że nauczyciel musi być uczniem swojej szkoły. Oczywiście na innym poziomie niż uczniowie, na innych zupełnie zasadach, ale musi równolegle iść z uczniem. Nauczyciel musi się rozwijać, musi korzystać ze szkoły, a nie tylko dawać z siebie.

I to jest komfort pracy nauczyciela, księdza, że ma okazję cały czas się rozwijać, ma obowiązek się rozwijać, bo jak dopuści do tego, że jego rozwój się zatrzyma, to jego praca legnie w gruzach.

*

Prowadzimy uczniów ku dobru, ku horyzontowi prawdy, dobra, piękna, a w ostateczności ku Panu Bogu.

*

W drodze do Pana Boga najlepszym świadkiem jest ten, kto sam dąży do Boga.

*

Katechetą w ścisłym znaczeniu jest ten, kto ma misję kanoniczną do nauczania religii, ale w szerszym rozumieniu katechetą może być każdy nauczyciel szkoły katolickiej. I powinien nim być.

Ks. dr Marek Studenski

O co chodzi w nauce religii – katechizacja w szkole katolickiej

Są nauczyciele i katecheci, którzy się cieszą z tego, że uczą w szkole katolickiej. Słychać także takie głosy, że „lepiej uczyć w zwykłej szkole, bo w szkole katolickiej czepiają się" i nie wiadomo o co chodzi.

Pozwólcie, że odwołam się do mojego doświadczenia. Od szesnastu lat jestem wizytatorem katechetycznym diecezji bielsko-żywieckiej. Zauważam, że cała baza szkolna, struktury, programy, z czysto ludzkiej perspektywy są bardzo ważne, ale nie najważniejsze. Boża perspektywa stawia wszystko w zupełnie innym świetle. Kiedy przygotowywałem się do tego wystąpienia, przyszedł mi na myśl fragment ósmego rozdziału Dziejów Apostolskich: „Kiedy dali świadectwo i opowiedzieli słowo Pana, udali się w drogę powrotną do Jerozolimy i głosili Ewangelię w wielu wioskach samarytańskich. «Wstań i idź około południa na drogę, która prowadzi z Jerozolimy do Gazy: jest ona pusta» – powiedział anioł Pański do Filipa. A on poszedł. Właśnie wtedy przybył do Jerozolimy oddać pokłon Bogu Etiop, dworski urzędnik królowej etiopskiej, Kandaki, zarządzający całym jej skarbcem, i wracał, czytając w swoim wozie proroka Izajasza. «Podejdź i przyłącz się do tego wozu!» – powiedział Duch do Filipa. Gdy Filip podbiegł, usłyszał, że tamten czyta proroka Izajasza: Czy rozumiesz, co czytasz?» – zapytał. A tamten odpowiedział: «Jakżeż mogę

[rozumieć], jeśli mi nikt nie wyjaśni?» I zaprosił Filipa, aby wsiadł i spoczął przy nim. A czytał ten urywek Pisma:

Prowadzą Go jak owcę na rzeź,
i jak baranek, który milczy, gdy go strzygą,
tak On nie otwiera ust swoich.
W Jego uniżeniu odmówiono Mu słuszności.
Któż zdoła opisać ród Jego?
Bo Jego życie zabiorą z ziemi.

«Proszę cię, o kim to Prorok mówi, o sobie czy o kimś innym?» – zapytał Filipa dworzanin. A Filip wychodząc z tego [tekstu] Pisma opowiedział mu Dobrą Nowinę o Jezusie. W czasie podróży przybyli nad jakąś wodę: «Oto woda – powiedział dworzanin – cóż przeszkadza, abym został ochrzczony?» I kazał zatrzymać wóz, i obaj, Filip i dworzanin, zeszli do wody. I ochrzcił go. A kiedy wyszli z wody, Duch Pański porwał Filipa i dworzanin już nigdy go nie widział. Jechał zaś z radością swoją drogą. A Filip znalazł się w Azocie i głosił Ewangelię od miasta do miasta, aż dotarł do Cezarei (Dz, 8, 25-40).

Chciałbym teraz razem z Wami prześledzić ten tekst. Każde jego zdanie rzuca światło na to, czym jest katecheza w szkole, nie tylko zresztą w szkole katolickiej. „Wstań i idź około południa na drogę, która prowadzi z Jerozolimy do Gazy: jest ona pusta" – powiedział anioł Pański do Filipa. Filip jest posłany, posłany przez anioła, i to jest niesamowicie ważne. To nie on sam wybrał to zadanie, ale został posłany. W Kopenhadze, gdzie miałem szczęście być w czasie wakacji, znajduje się pomnik Knuta Rasmussena, odkrywcy terenów podbiegunowych. Na jego cokole widnieje takie oto zdanie: „Pewność powołania przeprowadzi cię przez wszystkie trudności". Nie jest bez znaczenia, kto mnie tu posłał.

To, że tu jesteśmy na spotkaniu zorganizowanym przez Radę Szkół Katolickich, to jest Boży plan. To, że zostaliśmy zaproszeni, że jesteśmy w tym gronie, to jest Boże dzieło, Boża reżyseria.

Kiedy sobie to uświadomimy, to każda sekunda naszego życia okazuje się być na wagę złota – jest nie tylko naszym wyborem. Zastanawiałem się, dlaczego prorocy na początku swoich ksiąg podkreślają, że zostali powołani. Popatrzmy, to jest niesamowite. Ci prorocy zanim przystąpili do głoszenia prawdy o Bogu, przeżywali to, że zostali powołani, że zostali wezwani. Nie znaleźliśmy się w szkole katolickiej przypadkowo. Pan Bóg ma w tym jakiś cel.

Idźmy dalej. Pan Bóg posyła Filipa poprzez anioła na drogę prowadzącą z Jerozolimy do Gazy i dodaje, że ta droga jest pusta. To zakrawa na jakąś kpinę. Po co Bóg go tam posyła i jeszcze mówi mu, że droga jest pusta? Naprawdę uważa, że Filip nie ma co robić? Przecież jest ewangelizatorem, ma tyle zadań, a mimo wszystko Pan Bóg posyła go na pustą drogę. Kiedy jednak popatrzymy, że to jest Boża sprawa, że to jest Boże dzieło, to wszystko staje się jasne, wszystko widzimy w zupełnie innym świetle. Przeżyłem to wielokrotnie, miałem okazję wiele razy głosić rekolekcje, misje, także w szkołach katolickich. Tam nigdy nie było pustej sali czy pustego kościoła, ale na rekolekcjach parafialnych to już się zdarzało, i po ludzku było mi po prostu przykro.

Przed pewnymi rekolekcjami spytałem katechetów, ilu będzie gimnazjalistów, bo chciałem dla każdego przygotować materiały. Powiedzieli, że pewnie i tak wszyscy nie przyjdą, ale stu pięćdziesięciu osób można się spodziewać. Na pierwszej nauce było ich – łatwo można było policzyć – dwadzieścia siedem osób. Dzień później o jedną więcej. Zrobiłem prezentację, warsztaty, myślałem, że inni dowiedzą się od kolegów, że jednak warto przyjść, bo jest fajnie. Nic z tego. Trzeciego dnia znów było dwadzieścia siedem osób. Ale to jeszcze nic. Byłem w jednej szkole – duże gimnazjum, liceum – a na rekolekcjach zaledwie pięć osób. Ale Pan Bóg miał swoje plany. Do tak małej grupki trudno mówić w kościele, więc zaproponowałem, żebyśmy przeszli do jakiejś salki, usiedli przy stole i tam porozmawiali. Było to niesamowite spotkanie, sam

bardzo wiele z niego skorzystałem. Otworzyliśmy Pismo Święte, zaczęliśmy rozmawiać, okazało się, że jedna dziewczyna miała poważny problem, zaczęliśmy go razem omawiać, radzić jej… Takiej nauki nigdy bym nie przeżył w kościele.

Katecheci się żalą, że trudno im się pracuje, napotykają pustkę, nie mają się do czego odwołać. Młodzież, nawet ze szkół katolickich, żyje często tym, co zewnętrzne. Wielu wybrało taką szkołę nie dlatego, że jest katolicka, a dlatego, że ma wysoki poziom, albo jest kameralna, bezpieczna. W przywołanym przeze mnie fragmencie Dziejów Apostolskich kluczowe jest słowo „pustka". Autor mógł przecież zapisać: „Idź na drogę z Jerozolimy do Gazy". Ale nie, on dodaje słowo, które po ludzku powinno zniechęcić Filipa. On mówi, że droga jest pusta. Filip nie wie, co go tam spotka. Nawet nie podejrzewa, że będzie tam przejeżdżał powóz, a w nim będzie dworzanin, z którym zacznie rozmawiać. Po prostu posłusznie idzie na tę pustą drogę. My także nie bójmy się pustych pomieszczeń. Powtarzam księżom, by nie bali się pustych konfesjonałów. Ksiądz w konfesjonale powinien jak wędkarz z wędką siedzieć i czekać, aż się złowi jakaś ryba. Jezus każe apostołom łowić ryby, a oni mówią, że nic nie złowili. Dopiero na słowo Jezusa udaje im się je złowić. My także zarzucamy sieci na słowo Pana. I na pustej drodze dzieje się cud. Zobaczmy przykład świętej Teresy Wielkiej. Ona mówi swoim najbliższym, że będzie budować klasztor. Mówią jej, że to absurd, bo przecież ma tylko trzy dukaty. Siostry mówią, że nie chcą żadnej budowy, nie chcą zaczynać nowego życia. A Teresa się uśmiecha i mówi tak: „Teresa i trzy dukaty to nic, ale Bóg, Teresa i trzy dukaty to jest wszystko". My musimy za chwilę wrócić do naszych szkół, do codzienności, którą często postrzegamy w ciemnych barwach. Pora uświadomić sobie, że ja i te trzy dukaty moich talentów, nawet najlepszej wiedzy, programów, to nic. Ale Bóg to wszystko. I to Bóg działa, a ja jestem jego narzędziem. Święty Jan XXIII pewnego dnia, podczas Soboru

Watykańskiego II, obudził się, zaczął się zastanawiać, co go czeka, poczuł, że jego serce jest ściśnięte, że wypełnia je lęk. I wtedy usłyszał głos wewnętrzny: „Janie, nie martw się. Zostaw trochę Bogu". Myślę, że nie trochę, ale wszystko trzeba oddać Panu Bogu.

Planując to moje wystąpienie na zakończenie forum, mówiono mi, żeby odnieść się do tekstu kapitalnej homilii, którą Jan Paweł II wygłosił w czasie beatyfikacji Franciszka i Hiacynty. Ojciec Święty rozpoczął od powitania prezydenta Portugalii: „Witam pana prezydenta Republiki oraz innych przedstawicieli władz", a potem zaraz powiedział: „Ostatnie słowo kieruję do dzieci. Drodzy dziewczęta i chłopcy, widzę, że jest was wielu i jesteście podobni do Franciszka i Hiacynty. Bardzo ładnie wyglądacie w tych strojach, ale już dzisiaj albo jutro je zdejmiecie i pastuszkowie nagle znikną. Czy nie sądzicie, że nie powinni zniknąć?". Potem zwrócił się do rodziców: „Poproście swoich rodziców i wychowawców, aby oddali was do szkoły Matki Bożej, aby nauczyła was być takimi jak pastuszkowie". Zobaczmy, papież nie mówi: „powiedzcie rodzicom, żeby was wychowywali, żeby poczuli tę wielką odpowiedzialność". Papież zachęca, by oddali swoje dzieci do szkoły Matki Bożej. To nie jest przypadek, że jesteśmy na Jasnej Górze, że Rada Szkół Katolickich tak kurczowo trzyma się tego miejsca. Ono nam mówi, że nasza dotychczasowa historia to nie jest ludzka historia, to jest Boża historia, w której uczestniczyliśmy.

Wychowanie to nie jest ludzkie dzieło, to jest Boże dzieło, w którym my uczestniczymy. Z takiej perspektywy już nic nie musi wyprowadzać nas z równowagi. Nie musi wzbudzać negatywnych emocji, bo możemy odetchnąć z ulgą. Pan Bóg prowadzi to dzieło. My jesteśmy tylko jego wykonawcami.

Wróćmy do przywołanego fragmentu z Dziejów Apostolskich. Dworzanin królowej etiopskiej był eunuchem, a więc człowiekiem okaleczonym, poranionym. To z nim ma rozmawiać

Filip. Kim był eunuch? Ktoś, kto był nikim, kto nie mógł mieć potomstwa. To ktoś, kto był poza marginesem życia. A jednak Pan Bóg chce, żeby Filip poszedł do tego okaleczonego człowieka. Czy ja, jako nauczyciel, mam się tylko koncentrować na uczniu najzdolniejszym, który dobrze rokuje? My w naszej szkole chcielibyśmy mieć uczniów idealnych, bo są rankingi, tabele, bo chcemy się chlubić, że nasze liceum znowu jest trzecie w województwie. Ale do szkół przychodzą uczniowie pokaleczeni, zranieni pod względem intelektualnym czy emocjonalnym. Jest pokusa, żeby takiego ucznia nie przyjąć. Moi kochani, do szkół katolickich przyjmujemy różnych uczniów, ale także różnych nauczycieli. Zależy nam na tym, żeby on się dobrze prezentował, był wizytówką szkoły, był wierzący. Tymczasem także w tym gronie jest wiele osób poranionych. Zresztą każdy z nas jest troszkę zraniony, nikt nie jest idealny. Powstaje więc pytanie, czy taki nauczyciel, który ma jakieś zranienia, który w życiu może wszystkiego sobie nie przepracował, czy on rzeczywiście nie ma prawa już niczego dobrego zrobić? Dojrzałość to nie jest doskonałość. Dojrzałość polega na tym, że człowiek jest w stanie sobie uświadomić, w czym jest niedoskonały i zacząć pracę nad sobą.

Opowiem teraz taką historię kaznodziejską o dwóch wiadrach, która bardzo mi się podoba, a która świetnie nadaje się na lekcje wychowawcze. Były dwa wiadra. Jedno wiadro było nowiutkie, srebrne, bez żadnej skazy, a drugie było podziurawione, lekko zardzewiałe, brudne, stare, zniszczone. Właściciel tych dwóch wiader codziennie chodził z nimi po wodę do studni, która znajdowała się jakieś 200 metrów od domu. Musiał tę drogę codziennie pokonywać parę razy, a te wiadra po drodze się między sobą zawsze kłóciły. To wiadro piękne, nowe wypominało temu staremu, że ono powinno już być wyrzucone, że jest do niczego, że przecieka. Stare wiadro nic nie mówiło, bo w zasadzie nie miało niczego na swoją obronę. Pewnego razu w czasie takiej drogi

ze studni właściciel wiader podsłyszał tę rozmowę i mówi temu pięknemu, nowemu: popatrz na drogę, jaka jest po twojej stronie. Ja cię zawsze trzymam w prawej ręce. Wiadro nowe, szczelne patrzy, że droga jest sucha i spękana. A to wiadro, które jest stare, troszkę przerdzewiałe, patrzy na swoją stronę i widzi, że ta droga jest porośnięta trawą, kwiatami, bo wiadro co prawda przecieka, ale dzięki temu nawadnia drogę. Pan Bóg potrafi się posłużyć naszymi wadami, jeśli go do tego zaprosimy. Potrafi wzbudzić cudowne owoce w przypadku ucznia poranionego. Potrafi posłużyć się niedoskonałym nauczycielem, który chce nad sobą pracować, który prosi Pana Boga, żeby pomógł mu się zmieniać.

Wielokrotnie się przekonałem, że jeżeli da się człowiekowi szansę, to jest to Boża sprawa, a owoce są nadspodziewane. Przywołam przykład z mojej diecezji. W seminarium był kleryk, który właściwie stracił wzrok, prawie nic już nie widział. Kiedy był diakonem, wszyscy się zastanawiali, dlaczego on, czytając Ewangelię, 8-10 razy przekłada kartki, przecież Ewangelia mieści się na jednej stronie. Tak, ale on, żeby coś zobaczyć, posługiwał się czcionką nr 36. Bardzo pragnął uczyć w szkole, ale do jakiej szkoły posłać takiego diakona na staż? Okazało się, że Pan Bóg znalazł rozwiązanie. Kleryk ten uczył w szkole integracyjnej. Lekarz medycyny pracy wyraził na to zgodę. Przepięknie uczył w gimnazjum cały rok. Okazało się, że wada wzroku nie była dla niego aż taką przeszkodą, posługiwał się tabletem, tam sobie powiększał czcionki, miał dobry kontakt z uczniami. Pod koniec roku doszedł jednak do wniosku, a mówił to przez łzy, że co prawda dalej chciałby uczyć w szkole, ale widzi, że to go bardzo dużo kosztuje, że nie będzie w stanie sprostać tym wyzwaniom. O jego przyszłości rozmawiałem z księdzem biskupem. Ta wada wzroku była nieuleczalna, a on był bardzo gorliwym diakonem. Bardzo pięknie i wyraźnie mówił, miał dobrą barwę głosu, dobrze się go słuchało. I tak mówię o tym biskupowi, a biskup mówi: „Radio, przecież dla

niego jest radio. Mamy radio diecezjalne, poszukujemy księdza redaktora". Wraz z drugim księdzem ukończył on Wyższą Szkołę Kultury Medialnej w Toruniu, obecnie jest dziennikarzem naszego radia, wszyscy czekają na jego katechezy, jest też wspaniałym historykiem, wcześniej studiował historię. Pracuje więc w rozgłośni radiowej, jest wikariuszem przy parafii, ale w szkole już nie uczy. Dowiedziałem się, że parafianki, które są codziennie na Mszy św., mówią, że czekają, żeby na ołtarzu leżał pulpit na Mszał taki dwa razy wyższy, bo wiedzą, że to on będzie sprawował Mszę św., a nikt tak nie odprawia jak on. Pan Bóg się posłużył tym księdzem, miał wobec niego swoje plany. Nie mieszajmy Panu Bogu szyków, bo na tym źle wyjdziemy.

„Podejdź i przyłącz się do tego wozu" – mówi anioł do Filipa. Moi kochani, Filip wsiada do wozu dworzanina, nauczyciel z uczniem jadą na jednym wózku. Świętowaliśmy niedawno 250. rocznicę kanonizacji św. Jana Kantego, patrona naszej diecezji bielsko-żywieckiej i bodajże 750. rocznicę założenia miasta Kęty. Św. Jan Kanty był profesorem filozofii na Akademii Krakowskiej i już jako profesor, w 1429 roku, zaczął studiować teologię. Na swojej uczelni jednocześnie był i studentem, i profesorem. Z jednej strony to było bardzo trudne, a z drugiej – jak najbardziej twórcze.

Kiedyś zastanawiałem się, co zrobić, żeby praca szkoły była owocna, żeby nauczyciel mógł dobrze pracować. Doszedłem do wniosku, że nauczyciel musi być uczniem swojej szkoły. Oczywiście na innym poziomie niż uczniowie, na zupełnie innych zasadach, ale musi równolegle iść z uczniem. Filip wsiada i jadą z dworzaninem w tym samym wozie. Nauczyciel musi się rozwijać, musi korzystać ze szkoły, a nie tylko dawać z siebie. I to jest, moi kochani, wspaniały komfort pracy profesora, księdza, nauczyciela, że on ma okazję cały czas się rozwijać. Mało tego, ma obowiązek cały czas się rozwijać, bo jak przestanie, jak dopuści do

tego, że jego rozwój się zatrzyma, to jego praca legnie w gruzach. Tylko ten nauczyciel, który się pasjonuje swoją dziedziną, który czyta, ogląda, będzie umiał zainteresować ucznia. Katecheta, który prenumeruje czasopisma teologiczne, który poszukuje nowych metod, który będzie brał udział w Kongresie Nowej Ewangelizacji, będzie potrafił zapalić ucznia. Prowadzimy uczniów ku dobru, ku horyzontowi prawdy, dobra, piękna, a w ostateczności ku Panu Bogu. Nie tyle ważne jest osiągnięcie doskonałości, bo to jest niemożliwe, tylko dążenie do niej. Widzę, że ten, kto prowadzi do wiary, wcale nie musi być krystalicznie czystym człowiekiem i idealnym pod względem moralnym, ale musi do tego dążyć. W drodze do Pana Boga najlepszym świadkiem jest ten, kto sam dąży do Boga. Katechetą w ścisłym sensie jest ten, kto ma misję kanoniczną do nauczania religii, ale w szerszym sensie katechetą może być każdy nauczyciel szkoły katolickiej. I powinien nim być.

Trzeba iść dalej. „Zaprosił Filipa, żeby siadł i spoczął przy nim". Między rozmówcami tworzy się bliskość. Filip siada przy dworzaninie, nawet gdyby po ludzku troszkę nim gardził. Moi kochani, dzisiaj młodzież jest spragniona relacji. Dokument z Aparecidy wskazuje, że pierwszym warunkiem skutecznej ewangelizacji jest nawiązanie relacji z ewangelizowanym. Moi kochani, już nie tylko na Przystanku Woodstock, ale nawet na Lednicy pojawili się młodzi ludzie z kartkami z hasłem: „free hugs", darmowe przytulanie. Ludzie wiedzą, że oni są gotowi się przytulić do każdego. Podejść i przytulić się. Ta młodzież, także ta na Lednicy, potrzebuje bliskości, i w ten sposób to wyraża. Oczywiście my się nie będziemy przytulać do młodzieży, ale ja sobie nie wyobrażam nauczyciela, katechety, wychowawcy, który nie będzie blisko ucznia. Zdarza się, że jakiś uczeń rozrabia, przeszkadza na lekcjach, ale kiedy z nim porozmawiamy na osobności, okazuje się, że ma jakieś problemy w domu. Kiedy uczeń zobaczy troskę, zainteresowanie, jest już inna rozmowa. On musi

zobaczyć, że nauczycielowi na nim zależy. Urszula Ledóchowska mówiła o apostolstwie uśmiechu, bo to uśmiech przełamuje bariery. Popatrzmy, moi kochani, w szpitalu może być najlepsza pielęgniarka, zawsze punktualna, świetny fachowiec, kiedy pobiera krew, to od razu trafia w żyłę, ale się nie uśmiecha, jest ponura. Inna może czasem kogoś bardziej pokłuć, ale zażartuje, przytuli. I to o niej pacjent powie: to jest dobra pielęgniarka. Lekarz, który się uśmiechnie, pocieszy, powie coś miłego, będzie doceniony przez pacjenta. Pacjent powie, że to jest lekarz z powołania. Nieraz mamy wszystko, ale brakuje nam tej jednej iskierki, która nada naszym relacjom wymiar głęboko ludzki.

Idźmy dalej. Rozpoczyna się rozmowa i teraz Filip usłyszał, że ten dworzanin czyta proroka Izajasza. Ważne jest tu słowo „usłyszał". Mógł przecież usiąść i zacząć go zagadywać. Ale on usiadł i zaczął słuchać, co on mówi. Tego nam często brakuje. Człowiek pracuje z ludźmi, a nie potrafi słuchać. Biskup Janusz, nasz emeryt, zawsze mówi: „Dbajcie o gardło, księża, bo wy żyjecie z gadania". My żyjemy z gadania. Nauczyciel żyje z gadania i dlatego zapomina, że czasem też musi posłuchać. Bardzo ważna jest umiejętność aktywnego słuchania. Co to znaczy? Kiedy ktoś do mnie mówi, trzeba dać tej osobie czas. Gdyby Filip zaczął od rozmowy, od zagadania tego dworzanina, to prawdopodobnie zaprzepaściłby całą tę historię. Nie byłoby szczęśliwego zakończenia. Usłyszał, że tamten czytał Izajasza. Żeby usłyszeć, trzeba się skupić. Musi być kontakt wzrokowy, bo uczeń, mój współbrat w szkole, nauczyciel, ten z kim rozmawiam, mówi nie tylko przez słowa, mówi wzrokiem. Usta mogą kłamać, mogę się uśmiechać, robić dobrą minę do złej gry, ale oczy nigdy nie kłamią. Popatrzeć, wsłuchać się i wpatrzeć się w twarz. To jest przewaga kontaktu bezpośredniego nad zapośredniczonym poprzez komórki czy tablety. Słuchać to również nie przerywać. Zamiast na sobie, na swoich przeżyciach, skoncentrujmy się na naszym rozmówcy. Nawet jak to samo

powtarza trzeci czy czwarty raz. Dobrze jest też dawać sygnały, że wiem, o czym on do nas mówi: „Aha, czyli powiedziałeś, że w domu się troszkę nie układa, bo rodzice się kłócą. Nie masz za bardzo czasu za naukę i to cię wyprowadza z równowagi. Dobrze cię rozumiem?". Najważniejsze jest, by usłyszeć.

Dalsza rozmowa między Filipem a dworzaninem zmierza już do zakończenia. Dworzanin pyta: o kim mówi prorok – o sobie, czy o kimś innym. Popatrzmy, nie pyta, o czym mówi, tylko pyta, o kim. Katecheza, mówimy o katechezie w szkole, to również relacja. W naszej diecezji bielsko-żywieckiej myślimy teraz nad nowym systemem przygotowania do sakramentu bierzmowania w oparciu o instrukcje Konferencji Episkopatu Polski. Nie chcemy się ograniczać tylko do 150 pytań, na które kandydat musi znać odpowiedzi i dobrze je wyrecytować. W tym nie ma relacji. Teraz na przykład diecezja zielonogórsko-gorzowska opracowała nowy program przygotowania do bierzmowania. Jego autorzy mają świadomość, że dla wieku kandydatów to nawet nie jest ewangelizacja, tylko przedpole ewangelizacji. Cała katecheza musi zmierzać do relacji z Jezusem. Żeby człowiek był zdolny do relacji z Bogiem, musi być zdolny do relacji z innym człowiekiem. Widzimy, że budowanie naszych relacji to jest już katecheza. Święty Jan nie był psychologiem, ale był mędrcem i prorokiem. On pytał: jak człowiek może pokochać Boga, którego nie widzi, jak nie pokocha człowieka, którego widzi? A my powiemy to dzisiejszym językiem: jak może nawiązać ktoś relację z Bogiem, jeżeli nie potrafi nawiązać relacji z kimś, kto jest tutaj i teraz przy nim. Przedpolem do nawiązania relacji z Bogiem jest relacja z człowiekiem. Kiedy więc Etiop się dowiaduje, że to jest Jezus, mówi niesamowite słowa. Ktoś może powiedzieć: „Ale to jest bajka". Ja zaraz udowodnię, że to nie jest bajka. „Oto woda – powiedział dworzanin – cóż przeszkadza, abym został ochrzczony?" Ktoś powie, że to jest za proste. On po jednej rozmowie już chce być ochrzczony? Przytoczę tutaj

autentyczną historię, którą opowiedziała mi pewna katechetka. To była szósta klasa. Obejmując klasę, dowiedziała się od dyrekcji, że jest tam dziewczynka, której rodzice nie życzą sobie, by ich córka chodziła na katechezę. Katechetka zaczyna pierwszą lekcję i widzi, że ta dziewczynka siedzi w pierwszej ławce. Na kolejnej lekcji również jest ona obecna. Po lekcji ta pani do niej podchodzi i mówi: słuchaj, gdybyście mieli lekcje w środku, to mogłabyś sobie pójść na świetlicę, przeczekać i potem wrócić na następne lekcje, ale ponieważ to jest pierwsza lekcja, a twoi rodzice sobie nie życzą, żebyś uczęszczała na lekcje religii, to zostań w domu i przyjdź później do szkoły, przynajmniej sobie dłużej pośpisz. Dziewczynka się uśmiechnęła i spytała, czy może jednak przychodzić na te lekcje. Katechetka jej odpowiedziała, że oczywiście przychodzić może, ale nie będzie miała na świadectwie stopnia, bo rodzice zdecydowali tak, a nie inaczej. Dziewczynka uczęszczała regularnie na wszystkie lekcje. Zgłaszała się do odpowiedzi, pisała sprawdziany, za które dostawała bardzo dobre oceny. W połowie roku ta katechetka już nie wytrzymała i postanowiła się dowiedzieć, dlaczego rodzice ją wypisali z katechezy. Myślała, że może są świadkami Jehowy czy jakiegoś innego wyznania. A dziewczynka wyjaśniła, że jej rodzice nie wierzą w Boga i powiedzieli, że jak ona będzie dorosła, to sama sobie wybierze, kim chce być. Czas leciał szybko, rok się kończył, a serce katechetki się krajało, że nie może wpisać oceny, bo dziewczynka zasługiwała nawet na szóstkę. Po zakończeniu roku szkolnego dziewczynka przyszła do tej katechetki i mówi: „Proszę pani, mam prośbę. Czy mogę przyjąć chrzest? Czy pani może mi w tym pomóc?". Katechetka obiecała, że porozmawia z księdzem katechetą i może coś uda się zrobić. I tej dziewczynce po pierwszej klasie gimnazjum udało się przekonać rodziców i została ochrzczona. Miała czyste serce, bez żadnego podstępu, niezafałszowane i Pan Bóg do niej przemówił. To jest niesamowite. Ta historia z Dziejów Apostolskich

to nie jest żadna bajka, bo takie rzeczy także dzieją się w naszych czasach, nie tylko w Polsce, ale także we Francji, w innych krajach, gdzie Kościół się rozwija właśnie w taki sposób. Jeżeli zaś uwierzymy, że to jest niemożliwe, to zamkniemy Panu Bogu możliwość działania. Dla Pana Boga nie ma rzeczy niemożliwych.

I teraz zakończenie. Kiedy Filip ochrzcił tego człowieka, pewnie chciał się nim nacieszyć – może go wziąć z sobą, pokazać, kogo doprowadził do wiary. Ale nie, historia ta kończy się w sposób nieoczekiwany: Duch Pański porwał Filipa i eunuch już więcej go nie zobaczył. Niesamowite. Moi kochani, my też naszych uczniów będziemy musieli zostawić. Bardzo często nie zobaczymy owoców naszej pracy. Taki jest urok pracy duszpasterza, katechety, nauczyciela. My towarzyszymy uczniom do pewnego momentu, potem musimy odejść w cień. I nie zawsze doczekamy owoców. Te owoce pojawią się nieraz dopiero po latach, ale potrzeba wielkiej ufności, że one będą. Filipowi nie było dane nacieszyć się zbyt długo tym dziełem. Pan Bóg go powołał, posłał, Filip zrobił swoje i potem pojechał już dalej głosić Ewangelię.

Taka jest też nasza misja. Zawsze tak się pocieszam. Ks. Jan Twardowski opowiadał historię, którą i ja chciałbym przytoczyć. Działo się to w kościele sióstr wizytek w Warszawie, tam gdzie ks. Twardowski był rezydentem i gdzie spowiadał. Kiedyś siedział w konfesjonale i nagłe słyszy – jakaś awantura, krzyki. Wyszedł, patrzy, a w wejściu stoi pani z ulicy. Kobieta lekkich obyczajów, cała zapłakana, tusz z oczu jej spływa. Pobożne panie nie chcą jej wpuścić do świątyni. Ksiądz Twardowski podchodzi i pyta, co się stało, dlaczego płacze. „Proszę księdza, stałam na ulicy, obsypał mnie śnieg, przypomniała mi się moja sukienka z Pierwszej Komunii Świętej i chciałam się wyspowiadać". Kto by pomyślał, że zwykła sukienka ma takie znaczenie. Że po tylu latach ktoś może powstać z grzechu i wrócić na drogę świętości, mając przed oczyma biel sukienki z Pierwszej Komunii. To, co robimy w szkole

jako katecheci, dyrektorzy, nauczyciele, ma niesamowite znaczenie. Teraz możemy nie zobaczyć owoców, ale to wszystko jest w sercu, człowiek pamięta. Pamięć umysłu jest długa i pojemna, ale jeszcze większa jest pamięć serca. Pamiętamy atmosferę szkoły, zapachy, emocje, które nam towarzyszyły, to gdzieś w nas jest.

W grobach starożytnych faraonów archeolodzy znajdują np. ziarna sprzed tysięcy lat. Dzisiaj botanicy potrafią takie ziarno w warunkach laboratoryjnych włożyć do ziemi, zapewnić mu warunki wzrostu i wyhodować roślinę sprzed setek lat. I tak samo będzie z ziarnem zasianym w sercach naszych uczniów. To, co zrobi katecheta, nauczyciel, dyrektor szkoły katolickiej i nie tylko, ma znaczenie dla ucznia niewierzącego, czy wierzącego, dla ucznia poranionego i bardziej dojrzałego. To zostanie w ich sercach.

Myślę, że warto do tej historii Filipa jeszcze wracać, bo ona świetnie pokazuje to, co my robimy. Szkoła to nie jest nasze dzieło. Oddajmy nasze dzieci do szkoły Pana Boga i do szkoły Matki Bożej. My też wejdźmy do tej szkoły i sami bądźmy tam bardziej uczniami niż nauczycielami.

Ks. Abp Marek Jędraszewski

Antropologia Kardynała Karola Wojtyły jako przesłanie i zadanie zwłaszcza dla szkół katolickich

Według kard. Wojtyły, człowiek spełnia się (...) poprzez dobre czyny. Staje się wtedy kimś moralnie dobrym. Natomiast nie spełnia się, nie staje się kimś moralnie dobrym wtedy, kiedy jest sprawcą czynów moralnie złych. (...) dostrzegamy zatem ogromną rolę moralności w procesie kształtowania się i spełniania osoby ludzkiej.

Stąd niezwykle ważnym elementem antropologii Karola Wojtyły jest jego nauka o sumieniu. (...)

*

W wychowaniu człowieka chodzi więc o to, by człowiek miał sumienie prawe, a nie jakieś chore, zalęknione, czy, co najgorsze, wypaczone i zdeformowane. W słynnym przemówieniu wygłoszonym w 1997 roku w Gnieźnie z okazji 1000-lecia męczeńskiej śmierci św. Wojciecha Jan Paweł II mówił do prezydentów pięciu państw Europy Środkowo-Wschodniej, że Europa potrzebuje dzisiaj ludzi prawego sumienia i że się nie rozwinie, jeżeli sumienia ludzi nie będą wypalone jak cegły w ogniu Ewangelii.

*

O to (...) chodzi w wychowaniu – aby wychowanek chciał konsekwentnie i wiernie opowiadać się za prawdziwymi wartościami. (...) trzeba iść pod prąd, trzeba iść do źródeł. To wprawdzie kosztuje, ale właśnie w odwadze i w męstwie dążenia pod prąd objawia się dojrzałość człowieka.

Ks. Abp Marek Jędraszewski

Antropologia Kardynała Karola Wojtyły jako przesłanie i zadanie zwłaszcza dla szkół katolickich

Stanowią Państwo szczególną wspólnotę w ramach tej rzeczywistości, jaką jest polskie szkolnictwo. Szczególną, ponieważ mającą poczucie misji, jaką trzeba pełnić pośród narodu polskiego. Są Państwo nie tylko świadomi tej misji i odpowiedzialności, ale także tego, że trzeba ciągle szukać wsparcia. Dlatego co roku gromadzą się Państwo tutaj, u stóp Matki Bożej Częstochowskiej. W tym roku, już za kilka dni, będziemy obchodzić 300-lecie Koronacji Obrazu Matki Bożej Częstochowskiej. Matki Bożej, która jest Panią i Królową naszego narodu, jego Obrończynią, ale też Matką, zatroskaną o swoje dzieci, ale także oczekującą tego, by te dzieci w swoim myśleniu i postępowaniu były prawdziwie godne Jej – Matki Bożego Syna.

Zastanawiałem się, co jest najważniejsze dla pracowników szkół katolickich, zwłaszcza dzisiaj, kiedy musimy mierzyć się z wyzwaniami, jakie niesie ze sobą kolejna wielka reforma szkolnictwa. Sprawami technicznymi związanymi z organizacją nowych szkół, tworzeniem nowych przestrzeni działania zajmują się Państwo już od dawna. Ale – wbrew pozorom – nie są to sprawy najważniejsze.

W moim przesłaniu chciałbym skupić się na innych kwestiach. Zacznę od tej, o której wszyscy Państwo wiedzą, ale która – w moim przekonaniu – jeszcze kilka lat temu była celowo

lekceważona lub nawet przemilczana. Chodzi o zapis preambuły z ustawy o systemie oświaty z dnia 7 września 1991 roku, a więc sprzed 26 lat. Pamiętam dyskusje, które miały miejsce w związku z tą ustawą, i oskarżenia, że oto nowe rodzące się państwo po komunistycznym zniewoleniu z czasów PRL chce uderzyć w niezależną polską oświatę i uczynić ją oświatą wyznaniową. Tymczasem zapis preambuły jest, z jednej strony, bardzo wyraźny, a z drugiej – bardzo otwarty. Preambuła brzmi tak: „Oświata w Rzeczypospolitej Polskiej stanowi wspólne dobro całego społeczeństwa; kieruje się zasadami zawartymi w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, a także wskazaniami zawartymi w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, Międzynarodowym Pakcie Praw Obywatelskich i Politycznych oraz Konwencji o Prawach Dziecka. Nauczanie i wychowanie, respektując chrześcijański system wartości, za podstawę przyjmuje uniwersalne zasady etyki. Kształcenie i wychowanie służy rozwijaniu u młodzieży poczucia odpowiedzialności, miłości Ojczyzny oraz poszanowania dla polskiego dziedzictwa kulturowego, przy jednoczesnym otwarciu się na wartości kultur Europy i świata. Szkoła winna zapewnić każdemu uczniowi warunki niezbędne do jego rozwoju, przygotować do wypełniania obowiązków rodzinnych i obywatelskich w oparciu o zasady solidarności, demokracji, tolerancji, sprawiedliwości i wolności".

Preambuła przypomina zatem o konieczności respektowania chrześcijańskiego systemu wartości, który odnosi się nie tyle do sposobu przekazywania wiedzy, ile do kwestii wychowania oraz do tego, w jakim duchu powinno się ono odbywać. Przypomina także uniwersalne zasady etyki. Uniwersalne, powszechne, w domyśle niezmienne, wpisujące się w ludzką naturę. Państwo zdają sobie sprawę, jak wyglądała sytuacja oświaty jeszcze kilka lat temu i widzą, co się dziś dzieje. Otwieranie szkół na ideologię *gender* i inne związane z nią tendencje przeczy założeniom

przedstawionym w preambule ustawy, a odnoszącym się do chrześcijańskiego systemu wartości czy uniwersalnych zasad etyki.

Państwo pozwolą, że najpierw wskażę kilka, w moim przekonaniu ważnych, bolących, rodzących napięcia, punktów współczesnej sytuacji kulturowej, w której my, także jako Polska, się znajdujemy. Zacznę jednak od pewnego wyznania, które przed laty w swojej książce o Janie Pawle II zawarł francuski kardynał Paul Poupard, były przewodniczący Papieskiej Rady ds. Kultury oraz Papieskiej Komisji ds. Dialogu Międzyreligijnego. Opowiadał on o swoim spotkaniu z Janem Pawłem II, podczas którego, jak zwykle, rozmawiali również o kulturze francuskiej. Rozmowa dotyczyła jednej z czołowych postaci życia kulturowego Francji połowy XX wieku, czyli Jean-Paul Sartre'a i jego słynnego dzieła *L'Etre et le Néant*, niemal w całości, ale nie całkowicie przetłumaczonego na język polski jako *Byt i nicość.* Na uwagę Pouparda o Sartrze padło dość ogólne, ale jakże trafne stwierdzenie Jana Pawła II. Papież powiedział, że nie byłoby *L'Etre et le Néant* i nie byłoby słynnego hasła egzystencjalizmu ateistycznego („absurdem jest to, żeśmy się urodzili i absurdem jest to, że umrzemy"), gdyby Sartre przeczytał trzy pierwsze rozdziały Księgi Rodzaju. Tam bowiem jest mowa o Stwórcy świata i o stworzeniu, które samym swoim istnieniem raduje Stwórcę. To tam zawarta jest pochwała świata i pochwała człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boga, a nie jakiegoś bytu absurdalnego, który nie wiadomo dlaczego w ogóle się na ziemi pojawił i który zmierza do jeszcze bardziej absurdalnej śmierci. To tam w końcu wyraźnie jest opisane powołanie człowieka: ma się on rozmnażać, rozwijać i czynić sobie ziemię poddaną. W drugim opisie jest jeszcze mowa o tym, jak przed Adamem defilują wszystkie zwierzęta, a Adam nadaje im imiona, co oznacza, że właśnie on jako człowiek panuje nad nimi, będąc koroną stworzenia, kimś najbliższym samemu Bogu.

Tę wizję człowieka, jego miejsca w przyrodzie proszę odnieść teraz do tego, co się dzisiaj o człowieku i o przyrodzie mówi. Bardzo często słyszymy o jakimś egoizmie gatunkowym człowieka, o tym, że człowiek jest zagrożeniem dla całej natury, że zwierzęta są ważniejsze niż człowiek. Według wstępnych planów, Światowe Dni Młodzieży 2005 roku miały odbyć się na lotnisku w okolicach Kolonii. Lotnisko nie było już od dawna używane, ale ekolodzy stwierdzili, że gdyby tam weszło wiele tysięcy młodych ludzi, to być może zdeptaliby jakiś gatunek żab. Ponieważ zgodnie z ideologią zielonych żaby są ważniejsze od człowieka, więc Światowe Dni Młodzieży odbywały się na starym, podmokłym wyrobisku pokopalnianym. Jeśli przez dwa lub trzy tygodnie deszcz nie pada, jest tam w miarę sucho. Tymczasem przed ŚDM i w jego trakcie padało. Tam było jedno wielkie błoto. Cały czas mam przed oczami papieża Benedykta XVI, który szedł przez to błoto, by stanąć na prymitywnie zrobionym podium i spotkać się z biskupami.

W porządku ontycznym świata coś więc zostało zachwiane. Człowiek nie jest już najważniejszy, zwierzętom czy nawet roślinom przyznawane są jakieś szczególne prawa. Proszę mnie dobrze zrozumieć, jestem daleki od tego, by lekceważyć świat natury, tak pięknie przedstawiony i wyśpiewany już w XIII wieku przez św. Franciszka z Asyżu. Chodzi mi o to, by fascynując się pięknem przyrody, nie zapominać, kto jest jej Stwórcą i komu ona powinna służyć.

Jesteśmy dziś świadkami bardzo głębokiego kryzysu o charakterze antropologicznym. W imię poprawności politycznej próbuje nam się wprost narzucić jako obowiązujący pewien określony dogmat, sprowadzając człowieka tylko i wyłącznie do jego emocji. Coś się wydarza i rozmówcę się pyta: „Jak Pan/Pani zareagował swoimi emocjami?", „Jakie były Pani/Pana emocje?". Za tym kryje się pewien zamysł, żeby nas bardziej lub mniej świadomie sprowadzić do jednego z gatunków zwierząt zamieszkujących

tę ziemię, bo zwierzęta też przecież kierują się „swoimi emocjami". W konsekwencji nie ma właściwie większej różnicy między nami a zwierzętami. A przecież człowiek to nie tylko emocje, choć oczywiście bez nich byłby on osobą wewnętrznie kaleką.

Jak Państwo wiedzą, słowem roku 2016 stał się termin *postprawda.* Czytałem taki komentarz: „Ach, po co mówić *postprawda,* powiedzmy, że to jest po prostu *kłamstwo*". Otóż nie! Jeśli mówimy *kłamstwo*, to wiemy, że jest to zaprzeczenie prawdy albo jej odrzucenie. Natomiast *postprawda* to taka rzeczywistość kulturowa, która mówi, że nie ma jakiejś obiektywnej prawdy. Nieważne i niepotrzebne jest nawet odwoływanie się do faktów, mówiących jak było. Najważniejsze, żeby były narracje odwołujące się do emocji, ukrytych i świadomych lęków, obaw, ale też i nadziei. Narracje wcale nie muszą być zgodne z wcześniej zaistniałymi faktami, ani też mieć na względzie obiektywne dobro człowieka. Dana narracja ma służyć jej autorom i twórcom, a my mamy jej ulec i ją mniej lub bardziej świadomie powielać. Uznając jednak rzeczywistość *postprawdy*, w tym samym momencie tracimy wszelki trwały fundament dla swego życia i postępowania. Także ten, o którym mówi preambuła ustawy o systemie oświaty, czyli wartości chrześcijańskie i uniwersalne zasady etyki. Nie ma czegoś takiego, są tylko narracje, które mówią: masz tak, a nie inaczej postępować, na przykład w stylu „Róbta, co chceta!". Nie musimy się chyba przekonywać, jak bardzo jest to niebezpieczne.

Pamiętam dyskusję, która miała miejsce na przełomie XX i XXI wieku między Leszkiem Kołakowskim, filozofem niechrześcijańskim, a niedawno zmarłym amerykańskim myślicielem Richardem Rortym, autorem koncepcji tzw. *liberalnej ironistki*. Reprezentować ona powinna – jego zdaniem – pewien model najbardziej rozwiniętej demokracji. Mianowicie, za każdym razem, kiedy spotykamy się z drugim człowiekiem, słowom, którymi będziemy się posługiwali, co chwila możemy nadawać zupełnie

nowe znaczenia. W związku z tym rodzi się pytanie: jak przy takim założeniu będą możliwe: spotkanie się, porozumienie, dialog, skoro słowa i ich znaczenia są za każdym razem zmieniane? Kołakowski mówił, że jeśli tak ma wyglądać demokracja, to stracimy najbardziej podstawowy fundament kultury europejskiej, z której wyrośliśmy. Każdy będzie miał swoją prawdę i swój monolog. Po co więc słuchać drugiego człowieka, po co starać się go zrozumieć? Mam prawo do mówienia tego, co ja akurat teraz myślę i w tym wyrażają się moja wolność i samorealizacja. Tylko że to jest prosta droga do skrajnego indywidualizmu, a w konsekwencji – jak wielokrotnie w swoim nauczaniu podkreślał Benedykt XVI – do dyktatury relatywizmu. Biada, jeśli ktoś powie, że jest jakaś obiektywna prawda, a już, nie daj Boże, że jest jakaś prawda, która wynika z chrześcijańskiej wiary. Według ideologii poprawności politycznej, taki człowiek jest nietolerancyjny, jest fanatykiem i potencjalnym terrorystą. Proszę sobie przypomnieć procesy, które mieli niektórzy – nieliczni zresztą – pastorzy luterańscy w Szwecji, którzy powołując się na Biblię, nauczali, że homoseksualizm jest czymś moralnie złym. Tolerancja, w tym rozumieniu, jakie narzuca nam polityczna poprawność, zabrania nam mówić czegoś, co mogłoby się komuś nie podobać. Tak właśnie się dzieje, ponieważ brakuje nam najbardziej podstawowego fundamentu, jakim jest obiektywna prawda. Na jego konieczność wskazywał Fiodor Dostojewski, kiedy mówił, że *jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno*. Jan Paweł II z kolei od samego początku, od Mszy św. inaugurującej jego pontyfikat w dniu 22 października 1978 roku mówił, że kluczem do zrozumienia człowieka, nie tylko wierzącego, ale każdego, jest Chrystus, Jego życie, Jego Ewangelia – czyli coś obiektywnego i stałego. Papież rozwijał tę myśl podczas słynnej homilii na Placu Zwycięstwa 2 czerwca 1979 roku.

To, co dzisiaj dzieje się w naszej kulturze, co dociera do Polski z coraz większą mocą, to w gruncie rzeczy następstwa tzw.

rewolucji 1968 roku. Wybuchła ona na paryskiej Sorbonie i rozlała się na cały zachodni świat. Miała zasięg prawdziwie globalny, szła przez uniwersytety, ośrodki kultury i sztuki. Warto przypomnieć zwłaszcza dwa jej hasła. Pierwsze: „Zabrania się zabraniać". Jeśli Państwo przełożą sobie treść tego hasła na Dekalog, to łatwo Państwo zrozumieją, że poza trzecim i czwartym przykazaniem są to przykazania sformułowane na zasadzie zakazu: nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną, nie będziesz brał imienia Pana Boga nadaremno, nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa, nie pożądaj żony bliźniego swego ani żadnej jego rzeczy. Natomiast rewolucja '68 roku stwierdziła: nie wolno żadnemu człowiekowi niczego zabraniać, ponieważ byłoby to zamachem na jego wolność, a przecież wolność jest wartością absolutną, która nie może mieć żadnych ograniczeń. Drugie hasło rewolucjonistów '68 roku brzmiało: „Ani Boga, ani mistrza. Bogiem jestem ja sam". To sam człowiek ma decydować o tym, co jest dobre, a co złe, co prawdziwe i co fałszywe. Wynika z tego, że człowiek powinien zająć miejsce Boga. Nie może panować nad nim żaden autorytet, ktoś, kto by domagał się uznania czegoś za prawdziwie wartościowe i cenne. Przyjęcie takiego autorytetu byłoby zgodą na wewnętrzne zniewolenie. Odrzucenie istnienia Boga prowadzi nieuchronnie do odrzucenia wszelkich trwałych autorytetów. Co prawda, jak Państwo doskonale wiedzą, media co jakiś czas kreują jakieś nowe autorytety, a potem nawet nie zająkną się, gdy po kilku tygodniach te autorytety same się kompromitują lub są skutecznie kompromitowane.

W świetle wspomnianych co dopiero bardzo poważnych problemów o charakterze kulturowym chciałbym teraz zarysować Państwu pewną antropologię, która – moim zdaniem – powinna znaleźć się u podstaw procesu wychowawczego na wszystkich jego etapach. W czasie, kiedy na Zachodzie szalała rewolucja '68 roku, kard. Karol Wojtyła pisał swoje najważniejsze dzieło

filozoficzne pt. *Osoba i czyn*. Miała być to jego książka profesorska. Bardzo oryginalna, pisana bardzo trudnym językiem. Zamysł stworzenia tej antropologii powstał u kard. Wojtyły, kiedy był jeszcze ojcem soborowym, a zatem kiedy powstawały nowe ujęcia teologiczne, które znajdowały swoje odbicie w najważniejszych dokumentach Soboru Watykańskiego II, w tym również w Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym *Gaudium et spes*. Wiemy, że przy redakcji Konstytucji był bardzo czynny wtedy jeszcze abp Wojtyła. Wtedy też zrozumiał, że patrzenie na człowieka niejako z góry, poprzez Objawienie, jest wprawdzie bardzo ważne i potrzebne, bo bez tego nie ma w ogóle chrześcijaństwa ani teologii, to jednak jednocześnie jest potrzebne spojrzenie na człowieka niejako od dołu, takie, jakie jest typowe dla filozofii. Inaczej mówiąc, jest konieczne zrozumienie człowieka przez niego samego, właśnie po to, aby zobaczyć, że istnieją w nim takie przestrzenie, takie możliwości i takie pytania, na które odpowiada chrześcijańskie Objawienie.

Dlaczego *Osoba i czyn*? Skąd taki tytuł? Według kard. Wojtyły, istnieją po temu dwa zasadnicze powody. Pierwszy wynika z tego, że my sami jesteśmy dla siebie pewną tajemnicą i stąd nie zawsze sami siebie potrafimy zrozumieć. Tym bardziej tajemnicą pozostaje dla nas drugi człowiek. Tylko więc patrząc na działania człowieka, na jego czyny, jesteśmy w stanie coś obiektywnego o tym człowieku powiedzieć. Jego czyny są obiektywne w tym sensie, że widzę je nie tylko ja ich sprawca, ale także widzą je inni.

Drugi powód jest jeszcze bardziej istotny. Otóż kard. Wojtyła twierdzi, że osoba ludzka nie jest raz na zawsze ukształtowana. Nie jest jak owa Leibnizowa monada bez drzwi i okien, na którą nie ma się żadnego zewnętrznego wpływu. Osoba ludzka jest bytem dynamicznym: ona się staje. Staje się poprzez swe czyny, spełnia się poprzez czyny, dopełnia się poprzez nie. Jest zatem w punkcie wyjścia naszego życia jakaś wielka potencjalność,

jakieś ogromne morze możliwości. I naraz one się konkretyzują poprzez kolejne czyny, kolejne akty wyboru, poprzez nasze działanie. Doprowadzamy się do pełni poprzez czyny. Jednakże nie każdy czyn człowieka jest taki, że poprzez niego człowiek może się spełniać. Są bowiem takie czyny, które są jakby naszym niespełnianiem się lub też albo odwrotem od naszego tak koniecznego doprowadzania się do pełni. Co odróżnia czyny, poprzez które człowiek się spełnia, od tych, które nie pozwalają mu się do pełni doprowadzić? Według kard. Wojtyły, człowiek spełnia się poprzez dobro, a dokładnie poprzez dobre czyny. Staje się wtedy kimś moralnie dobrym. Natomiast nie spełnia się, nie staje się kimś moralnie dobrym wtedy, kiedy jest sprawcą czynów moralnie złych. Już w punkcie wyjścia spełniania się osoby dostrzegamy zatem ogromną rolę moralności w procesie kształtowania się i spełniania osoby ludzkiej.

Stąd niezwykle ważnym elementem antropologii Karola Wojtyły jest jego nauka o sumieniu. Jest ono tą władzą naszego rozumu praktycznego, dzięki której stajemy wobec rzeczywistości moralnej, to znaczy wobec wyborów dokonujących się w kategoriach dobra lub zła. Zagadnienie sumienia bardzo często pojawiało się w nauczaniu Jana Pawła II, szczególnie wtedy, gdy kierował je do młodych. Na Jasnej Górze w 1983 roku Papież mówił: „Co to znaczy: »czuwam«? To znaczy, że staram się być człowiekiem sumienia. Że tego sumienia nie zagłuszam i nie zniekształcam. Nazywam po imieniu dobro i zło, a nie zamazuję. Wypracowuję w sobie dobro, a ze zła staram się poprawiać, przezwyciężając je w sobie. (…) Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali". Wiąże się z tym najpierw zatroskanie o to, aby sumienie spełniało swoją rolę, to znaczy, by było ono najpierw – jak to określił Wojtyła w jednym ze swoich poematów – sejsmografem duszy. By w sposób jasny mówiło: to jest dobre, tamto jest złe. Jeżeli sumienie mówi, że coś jest dobre, to jednocześnie –

i na tym polega jego druga funkcja – nakazuje nam ono czynienie tego dobra. Jest w nas zatem – dzięki sumieniu – jakaś siła przynaglająca, która każe nam za tym dobrem iść. Analogicznie dzieje się wtedy, gdy sumienie mówi, że coś jest złe. Wraz z tym stwierdzeniem sumienie mówi nam od razu: nie wolno ci tego zła czynić. Oczywiście, jest w nas siła wolności, która może skłonić nas do tego, by powiedzieć: ale ja i tak zrobię po swojemu. Na tym właśnie polega dramat wolności człowieka, który wbrew głosowi własnego sumienia może opowiedzieć się za złem. W języku religijnym mówimy, że świadome i dobrowolne opowiedzenie się za złem jest grzechem. W wychowaniu człowieka chodzi więc o to, by człowiek miał sumienie prawe, a nie jakieś chore, zalęknione, czy, co najgorsze, wypaczone i zdeformowane. W słynnym przemówieniu wygłoszonym w 1997 roku w Gnieźnie z okazji 1000-lecia męczeńskiej śmierci św. Wojciecha Jan Paweł II mówił do prezydentów pięciu państw Europy Środkowo-Wschodniej, że Europa potrzebuje dzisiaj ludzi prawego sumienia i że się nie rozwinie, jeżeli sumienia ludzi nie będą wypalone jak cegły w ogniu Ewangelii.

W to przynaglenie ze strony prawidłowo ukształtowanego sumienia, byśmy czynili dobro, wkracza element ludzkiej woli. Poprzez nią osoba ludzka wybiera określony świat wartości – i to wybiera na sposób trwały. O to właśnie chodzi w wychowaniu – aby wychowanek chciał konsekwentnie i wiernie opowiadać się za prawdziwymi wartościami. Tymczasem współczesny człowiek bardzo często jest rozedrgany emocjonalnie. W danej chwili mówi tak, a za chwilę mówi coś zupełnie innego. Jednakże człowiek nie jest sobą, kiedy idzie za samymi tylko emocjami. Jest on sobą wtedy, kiedy posługuje się rozumem. Przy tym kluczem do zrozumienia siebie, swego człowieczeństwa jest Chrystus. W Wieczerniku powiedział On o sobie: „Ja jestem drogą, prawdą i życiem" (J 14, 6). Ale ta Droga wcale nie jest łatwa. „Jeśli ktoś

chce iść za Mną – mówił Pan Jezus – niech się zaprze samego siebie, niech co dnia bierze krzyż swój i niech Mnie naśladuje" (Łk 9, 23). „Kto nie bierze swego krzyża, a idzie za Mną, nie jest Mnie godzien (Mt 10, 38). To jest ten wymóg, który tak pięknie wybrzmiał w *Strumieniu* w pierwszej części *Tryptyku Rzymskiego*: trzeba iść pod prąd, trzeba iść do źródeł. To wprawdzie kosztuje, ale właśnie w odwadze i w męstwie dążenia pod prąd objawia się dojrzałość człowieka.

To, co dotychczas mówiłem, stanowi zasadniczą część tego, co można by określić mianem *obrazu duchowości człowieka*, zawartego w książce *Osoba i czyn*. Kard. Wojtyła wskazywał bardzo jasno, że ta duchowość nie jest bynajmniej eteryczna. Ona jest zakorzeniona zarówno w cielesności, jak i w emotywności. W cielesności człowieka istnieją bowiem pewne dynamizmy zwane popędami. To nie są instynkty. Instynkty przynależą bowiem zwierzętom, które idą za nimi – ponieważ są właśnie zwierzętami – w sposób bezrefleksyjny. Natomiast u ludzi są popędy, czyli pewne dynamizmy, które bardzo silnie są związane z życiem i przekazywaniem życia. Kard. Wojtyła mówi najpierw o *popędzie samozachowawczym.* Jest to zmaganie, żeby żyć i walczyć o swoje życie. Mówi dalej o *popędzie seksualnym*, czyli naturalnym nakierowaniu ku osobom płci przeciwnej, oraz o *popędzie rozrodczym*, z którym wiąże się pragnienie posiadania potomstwa. Te popędy, które są zakorzenione w naszej cielesności, powinny być podporządkowane temu światu wartości, o którym mówi nasze dobrze ukształtowane sumienie. Mam bronić mojego życia – i to jest mój podstawowy obowiązek, wynikający z piątego przykazania. Ale także mam obowiązek w razie potrzeby poświęcić swoje życie za drugiego człowieka, za Chrystusa, za Kościół, za Ojczyznę. Jak widać więc, popęd samozachowawczy urzeczywistnia się w pewnym bardzo konkretnym kontekście świata wartości. Sytuacja człowieka nie może sprowadzać się do dzikiej walki zwierzęcia,

które będzie zawsze za wszelką cenę walczyło o przetrwanie. Przed człowiekiem otwiera się sfera heroizmu. Heroizmu, który nieraz wzrusza, na przykład wtedy, kiedy matka mająca już dziecko pod swoim sercem dowiaduje się, że jest chora, ale nie chce brać lekarstw, bo wie, że mogłyby one zaszkodzić jej dziecku. Podobnie gdy chodzi o życie seksualne człowieka. Ono w sposób w pełni świadomy musi być podporządkowane prawdziwym wartościom. W przeciwnym razie człowiek będzie się staczał do życia na sposób zwierzęcia. Analogicznie jest również w przypadku popędu rozrodczego. Człowiek musi być odpowiedzialny za swoje potomstwo – za jego zaistnienie i za jego wychowanie. Jeżeli natomiast w jakimś społeczeństwie żyje się tak, że życie traci swój sens, to nie dziwmy się, że w tym społeczeństwie nie ma już miejsca dla dzieci. Europa umiera właśnie dlatego, że zatraciła sens życia, że dominuje w niej cywilizacja śmierci, że przejęła Sartre'owskie przekonanie, iż „absurdem jest to, żeśmy się urodzili i absurdem jest, że pomrzemy".

Według kard. Wojtyły, między sferą ducha człowieka a sferą jego cielesności istnieje jeszcze jedna sfera – sfera emotywności, która wyraża się przez takie słowa, jak: czuję, odczuwam, przeczuwam, wyczuwam. Ileż jest słów mówiących o stanach, które przeżywamy, które budzą się w nas, czy to jako coś, co towarzyszy naszym popędom, czy jako coś, co wynika z pewnych określonych przeżyć czysto duchowych! Potrafimy się czymś zachwycić, czymś wzruszyć, a to znajduje wyraz także w naszej cielesności, na przykład w naszych łzach. Źle by było, gdyby człowiek był osobą zimną jak kamień, ale jest też źle – mówi o tym kard. Wojtyła – jeżeli dochodzi do tzw. *emocjonalizacji świadomości*. W tym przypadku emocje są w nas tak wielkie, że jesteśmy przez nie rozedrgani wewnętrznie. Nie ma wtedy już miejsca na refleksję czy osąd wyrażający się w kategoriach: dobre – złe, właściwe – niewłaściwe, prawdziwe – fałszywe. Tymczasem wewnętrzna

integracja, która jest celem wychowania i samowychowania człowieka, polega na tym, by świat emotywności, świat tego, co czujemy, był podporządkowany właściwym wartościom. Chodzi w tym bowiem o to, aby świat emocji, który w nas jest, pomagał nam w naszym trwaniu przy prawdzie, rodząc w nas, od strony negatywnej, jakby naturalny wstręt do kłamstwa. I odwrotnie: chodzi o to, abyśmy umieli się pozytywnie zachwycić pięknem, wzruszyć cudowną muzyką, zauroczyć szlachetnością czyjegoś postępowania. Ileż jest pięknych, wielkich przestrzeni w nas, które powinniśmy tak wewnętrznie kształtować, aby mogły one służyć światu obiektywnych wartości! W procesie integracji naszej sfery emotywnej chodzi więc o to, abyśmy dzięki wsparciu ze strony uczuć i emocji mogli niejako łatwiej być sprawcami dobrych czynów i w ten sposób jako osoby mogli doprowadzać się do pełni.

Ostatni rozdział książki *Osoba i czyni* jest poświęcony zagadnieniom związanym z życiem społecznym. W 1969 roku, kiedy zostało opublikowane to dzieło, niewiele można było na ten temat pisać, bo przecież działała cenzura i obowiązywał zupełnie inny system wartości. Mówiąc o życiu społecznym, kard Wojtyła wychodził od pojęcia, które znamy już od starożytności, czyli od *dobra wspólnego*. Staje ono przed daną społecznością, narodem czy państwem jako wspólny cel do zrealizowania poprzez członków tych wspólnot. Członkowie ci za realizację swego dobra wspólnego muszą się czuć odpowiedzialnymi i muszą tego dobra bronić. Podkreślam to w sposób bardzo świadomy, mając na uwadze fakt, że dziś dobro wspólne zostało wyparte i zastąpione przez ideologię egoizmu i samorealizacji. W związku z tym kard. Wojtyła wskazuje na dwa rodzaje postaw wobec dobra wspólnego. Są to postawy autentyczne i nieautentyczne. Postawą autentyczną jest najpierw *solidarność*. Warto zauważyć, że książka kard. Wojtyły ukazała się w 1969 roku. Jedenaście lat później powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność", zdarzenie,

które wzbudziło zdumienie i podziw nie tylko w Polsce i nie tylko w tej części Europy, ale w całym świecie. Jan Paweł II słowo „solidarność" wprowadził do społecznej nauki Kościoła, obecne jest ono zwłaszcza w jego encyklikach *Laborem exerces* i *Centesimus annus*. Solidarność to gotowość do wspólnej realizacji wspólnego dobra. Ponieważ jednak każde dobro jest zagrożone przez różnego rodzaju siły wewnętrzne i zewnętrzne, to potrzebny jest także niekiedy solidarny sprzeciw wobec zła. Stąd sprzeciw jest, według kard. Wojtyły, postawą autentyczną.

Autor dzieła *Osoba i czyn* wskazuje w nim także na dwie postawy nieautentyczne. Pierwsza z nich to *konformizm* – kiedy człowiek z czymś się wewnętrznie nie zgadza, ale „dla świętego spokoju" mówi i postępuje tak, jak mówią i postępują inni. W konsekwencji nie jest sobą, lecz staje się elementem jakiejś masy (przypomnijmy sobie często używane w czasach komuny sformułowanie „masy robotniczo-chłopskie"). Druga postawa nieautentyczna to *unik*. Polega ona na tym, że dana osoba wycofuje się, nie chcąc uznać zaistnienia jakiejś sytuacji, która obiektywnie jest moralnie zła. Wycofując się, osoba nie spełnia się. Jest czymś oczywistym, że człowiek jako osoba spełnia się także poprzez swoje zaangażowanie w życiu społecznym: kiedy jest gotów urzeczywistniać solidarność i kiedy ma odwagę wyrazić sprzeciw wobec ewidentnego zła. Natomiast jako osoba nie spełnia się i niejako przekreśla, kiedy wybiera postawy konformizmu lub uniku.

Zakończę tę refleksję stwierdzeniami z poematu *Myśląc Ojczyna*… Kard. Wojtyła napisał go w 1974 roku, pięć lat po opublikowaniu *Osoby i czynu*. Najpierw mówił on o wolności, która nie jest nam dana raz na zawsze. Wolność jest darem, który trzeba ciągle od nowa zdobywać. Nasze polskie dzieje są tego tragicznym potwierdzeniem. Następnie postawił niezmiernie ważne pytanie: po której znajduję się stronie? Po stronie tych, którzy nie dawali

nic z siebie lub bardzo mało wnosili sobą dla dobra wspólnego (ci „co nie dopłacili"), czy po stronie tych, którzy musieli nadpłacać, żeby to dobro wspólne, którym jest Ojczyzna, mogło się rozwijać?

W poemacie *Myśląc Ojczyzna…* znajdujemy jeszcze jedno pytanie: „Czyż może historia popłynąć przeciw prądowi sumień?". Wiemy, że może, ale też doskonale wiemy, że wtedy staje się tragedią. Natomiast kiedy osobista historia jakiejś osoby, kiedy historia społeczności i narodu, do których ona przynależy, płynie zgodnie z prądem sumień, to z całą pewnością osoba ta staje się coraz bardziej sobą, coraz bardziej się spełnia, a jej naród, państwo i Ojczyzna dochodzą do swojej świetności.

Tak pokrótce zarysowana antropologia kard. Karola Wojtyły jest ważnym przesłaniem, ale też wspaniałym zadaniem zwłaszcza dla szkół katolickich. To w nich bowiem kształcą się obywatele Rzeczpospolitej, którzy wiedzą, czym Rzeczpospolita jako dobro wspólne jest i jak wiernie należy jej służyć.

Ks. prof. dr hab. Piotr Mazurkiewicz

Szkoła katolicka jako miejsce ewangelizacji we współczesnej Europie

Przekazywanie wiary z pokolenia na pokolenie jest niesamowicie istotne. To się normalnie dzieje i powinno się dziać w rodzinach.

*

Czy można coś zrobić, żeby ze szkoły czy uczelni katolickiej w świat wychodzili ludzie wierzący, a nie ludzie, którzy mają negatywną percepcję wiary i Kościoła?

*

Ojcu Świętemu [Janowi Pawłowi II] bardzo zależało na tym, żeby nie doprowadzić do wojen religijnych.

Niemniej jednak konfrontacja czy to z innymi wyznaniami, czy innymi religiami, czy w końcu z sekularyzmem (...) będzie miała miejsce.

W tej konfrontacji bardzo ważne jest poczucie własnej tożsamości.

W kontekście poczucia tożsamości Jan Paweł II mówił o konieczności składania świadectwa wiary.

*

Warto postawić sobie pytanie o to, w jakich kategoriach oceniamy nasz sukces, do czego Kościołowi i nam osobiście potrzebna jest szkoła katolicka.

*

Katolickie szkoły i uniwersytety mają być takimi miejscami, gdzie wiernie się przechowuje misterium Kościoła i wiernie się tego uczy.

*

Katolickość wpisana jest w pewną formację intelektualną szkoły. Katolicki to znaczy uniwersalny. Kształtować ludzi po katolicku to znaczy takich o szerokich horyzontach.

*

Szkolenie umiejętności praktycznych…

Człowiek jest coraz lepiej przygotowany do komunikacji z ludźmi, tylko coraz mniej ma im do powiedzenia.

Szkoła katolicka jest to szkoła, która formuje człowieka, a nie tylko wyposaża go w pewne kompetencje. Uczymy ludzi myśleć.

*

Szkoła katolicka to także uczenie ludzi jedności wiary i wiedzy (…). Nie możemy odpuścić formacji intelektualnej.

*

Potrzebna jest formacja duchowa zarówno nauczycieli, kadry kierowniczej, pracowników administracji, jak i uczniów.

*

Ważne jest, żeby tworzyć wspólnotę, żeby dawać świadectwo takiej wspólnoty wobec uczniów, żeby ich w to wciągać (…). Niezwykle istotny jest ten element wspólnotowości, tworzenia wspólnoty w wierze.

Ks. prof. dr hab. Piotr Mazurkiewicz

Szkoła katolicka jako miejsce ewangelizacji we współczesnej Europie

Zacznę od kontekstu, w jakim żyjemy dzisiaj w Europie. Odwołam się do analizy amerykańskiego instytutu *Pew Research Center*, który prowadzi m.in. badania dotyczące religii w świecie, w Europie, w Stanach Zjednoczonych. Na stronie tego ośrodka, w zakładce *Religion*, znajdą Państwo wiele raportów na ten temat. Wśród nich są także dwa dotyczące zmiany sytuacji religijnej w świecie i w Europie do 2050 i do 2060 roku.

Aktualny stan populacji religijnych w Europie jest bardzo dobry, a nawet bardzo optymistyczny. Mniej więcej 75 procent wszystkich mieszkańców Europy deklarowało w 2010 r., że wyznaje wiarę chrześcijańską. Na drugim miejscu – i jest to charakterystyczne dla Europy – plasuje się grupa, którą określa się jako bezwyznaniową. Są to zarówno ateiści, jak i ci, którzy deklarują się jako agnostycy. Grupa ta stanowiła w 2010 r. około 19 procent wszystkich Europejczyków. Trzecim wyborem jest islam. Taką opcję wskazało 6 procent mieszkańców Europy.

Musimy sobie zdać sprawę, że w skali globalnej liczba ludzi wierzących nieustannie rośnie. Globalnie nie obserwujemy czegoś takiego jak sekularyzacja. Wyjątkiem jest Europa, gdzie zachodzą bardzo specyficzne procesy. Dostrzeżenie tego jest bardzo istotne, bo mamy tendencję, żeby to, co jest nam znane i bliskie, rzutować na dalsze otoczenie i na cały świat. Tymczasem, żeby zrozumieć to, co się dzieje w świecie, trzeba zapomnieć o tym, co

się dzieje w Europie. W świecie ten proces ma zupełnie przeciwny kierunek, w globalnej populacji liczba osób bezwyznaniowych nieustannie maleje, a jedynie w Europie i w Stanach Zjednoczonych rośnie. Według prognozy do 2050 r. chrześcijanie stracą mniej więcej 10 procent wyznawców. Spodziewamy się, że za trzydzieści lat w Europie będzie mniej więcej 65 procent mieszkańców deklarujących się jako chrześcijanie. Grupa bezwyznaniowa wzrośnie do mniej więcej 23 procent, a muzułmanie stanowić będą około 10 procent Europejczyków. Liczby te nie uwzględniają jednak gwałtowanego przyspieszenia procesu migracji po 2014 r.

W jaki sposób te zmiany następują? W skali globalnej liczba chrześcijan nieustannie rośnie dzięki konwersji. Rośnie również liczba muzułmanów. Za mniej więcej trzydzieści lat będzie ich mniej więcej tyle samo co chrześcijan (odpowiednio: 29,7% i 31,4%). Przybywać ich będzie głównie za sprawą współczynnika dzietności wśród kobiet muzułmańskich, który jest wyższy niż wśród kobiet chrześcijańskich (odpowiednio: 3,1 i 2,7). Inaczej jest w Europie, gdzie – jak wspomniano – liczba chrześcijan będzie się zmniejszać, a muzułmanów wzrastać (współczynnik dzietności odpowiednio: 1,6 i 2,1). Drugim powodem wzrostu liczebności populacji muzułmańskiej jest imigracja. Jeszcze kilka lat temu wśród imigrantów było około 30% niemuzułmanów. Po 2014 r. jest to około 19%, a tendencja ta się utrzymuje. Za sprawą migracji w krajach Europy Zachodniej szybko rośnie populacja muzułmańska. W zależności od przyjętej polityki migracyjnej do 2050 populacja muzułmanów w Europie wzrośnie do 7% (scenariusz „zero migracji") lub nawet do 14% (migracja na poziomie lat 2014-2017), przy czym oznacza to, że przy wysokim poziomie migracji w Szwecji będzie około 30% muzułmanów, w Austrii, Belgii, Francji, Niemczech około 20%.

W przypadku społeczności bezwyznaniowej współczynnik dzietności jest na tyle niski (1,4), że gdyby ateistami były tylko

dzieci ateistów, to – można żartobliwie powiedzieć – w ciągu kilku pokoleń ta grupa by całkowicie wyginęła. Dlaczego tak się nie dzieje? Otóż w Europie populacja osób bezwyznaniowych rekrutuje się głównie spośród dzieci chrześcijan. Jak to się dzieje, że dzieci, które są ochrzczone, które pochodzą z chrześcijańskich rodzin, porzucają wiarę? Impulsem dla papieża Franciszka do napisania encykliki *Evangelii Gaudium* był m.in. fakt, że w ciągu jednego pokolenia Kościół w niektórych krajach Zachodu stracił 20 procent wyznawców. To pokazuje, jak bardzo kwestia przekazywania wiary z pokolenia na pokolenie jest istotna. Przekazywanie wiary normalnie dzieje i powinno się dziać w rodzinach. Dodatkowo mamy jeszcze katolickie szkoły, katolickie uniwersytety i inne szczególne miejsca, z których powinni wychodzić ludzie wierzący.

Jednak wśród absolwentów wyższych uczelni katolickich, także mojej, której patronuje kard. Stefan Wyszyński, mamy walczących ateistów. Czy można coś zrobić, żeby ze szkoły czy uczelni katolickiej w świat wychodzili ludzie wierzący, a nie ludzie, którzy mają negatywną percepcję wiary i Kościoła?

Chrześcijanie wciąż stanowią około 75% mieszkańców Europy. Dlaczego jednak tego nie widać na co dzień? Problemem nie są biskupi czy księża, tylko te 75% populacji (w Polsce wciąż około 90%), z której tak wiele osób żyje na co dzień „tak, jakby Bóg nie istniał". W Europie Zachodniej kontekst kulturowy, w którym żyją niewątpliwie jest niesprzyjający wierze. W niektórych krajach sekularyzm jest bardzo agresywny. Mamy w pamięci francuski spór o krzyż na pomniku papieża Jana Pawła II. To tylko część szerszego zjawiska usuwania wszystkich odniesień do chrześcijaństwa z przestrzeni publicznej. Na mocy ustawy z 1905 r. we Francji krzyż, nawet na wieży kościelnej, jest zakazany. Od kilku lat spotykamy się z ambicją we francuskich środowiskach laickich, by proces usuwania chrześcijaństwa z przestrzeni publicznej

doprowadzić do końca. Możemy oczekiwać, że ta agresja będzie jeszcze narastać.

Zostałem poproszony bym odwołał się do listu Jana Pawła II *Novo Millennio Ineunte* numery 55-56. Mowa jest tam o dialogu międzyreligijnym. Żyjemy w świecie, który jest coraz bardziej zróżnicowany. Ojcu Świętemu bardzo zależało na tym, żeby nie doprowadzić do wojen religijnych. Niemniej jednak konfrontacja czy to z innymi wyznaniami, czy z innymi religiami, czy w końcu z sekularyzmem gdzieś siłą rzeczy będzie miała miejsce. W tej konfrontacji bardzo istotne jest poczucie własnej tożsamości. Musimy wiedzieć, kim jesteśmy i z jakiej pozycji rozmawiamy. Jednocześnie powinniśmy tak prowadzić dialog, żeby jego efektem była umiejętność wspólnego życia, a nie narastająca niechęć, nienawiść i konflikt.

W kontekście poczucia tożsamości Jan Paweł II mówił o konieczności składania świadectwa wiary. Papież posługiwał się sformułowaniem łacińskim *mysterium lunae*. Zwrot ten pierwotnie odnosił się do Matki Bożej, a także do Kościoła. Znaczy on tyle, że „Chrystus jest słońcem", czyli świeci własnym światłem. Słońce wschodzi nad ludźmi złymi i dobrymi. Każdy z tego światła korzysta, i każdy jakoś w nim żyje. Chrześcijanin, tak jak księżyc, świeci światłem odbitym. Księżyc na niebie jest widoczny dla wszystkich. Chodzi o to, żeby światło, które przychodzi od Chrystusa, poprzez odbicie przekazywać innym ludziom. Ono powinno być widoczne dla innych, tak by mogli ostatecznie skierować się ku Chrystusowi. Żeby patrzeć w Słońce, trzeba mieć jakiś filtr. Nie da się bez nich patrzeć prosto w światło, bo jest ono zbyt jasne. Człowiek nieprzygotowany nie jest zatem w stanie tego zrobić. Na księżyc można patrzeć bez ciemnych okularów. Każdy, nawet jeśli nie jest głęboko wprowadzony w wiarę, może patrzeć w światło księżyca.

Jan Paweł II podkreśla, że dialog międzyreligijny wymaga umiejętności słuchania i uszanowania tożsamości drugiego

człowieka czy drugiej wspólnoty. Konieczne jest równocześnie silne poczucie własnej tożsamości i umiejętność składania świadectwa bez obawy, że może to „uwłaczać" tożsamości kogoś innego. Ważne jest, żeby nie bać się przyznać do tego, że jest się chrześcijaninem, że jest się katolikiem. Wiara nie jest dodatkiem. Jeśli jest się osobą wierzącą, to wszystko ma zupełnie inne znaczenie. „(…) mędrcy Boży i mędrcy światowi głupcami wydają się sobie nawzajem" – pisze św. Jan od Krzyża. Wiara zmienia wszystko w życiu człowieka. Chodzi o to, by nie wstydzić się wyrażania tego, jak my patrzymy na świat, jak my rozumiemy różne rzeczy. Różnica powinna być dostrzegalna także dla tych, którzy nie podzielają naszej wiary. Papież zachęca, żeby się tego nie bać. Jest to związane z koniecznością i potrzebą prowadzenia misji *ad gentes*. W encyklice *Evangelii Gaudium* papież Franciszek mówi wprost, że Kościół znajduje się w stanie permanentnej misji. Misja nie jest czymś dodanym, to jest permanentne zadanie. Stale, od początku, od kiedy Jezus ustanowił Kościół, do końca świata. W dzisiejszym świecie katolicy stają wobec pokusy upodobnienia się do świata. Gdy patrzymy na świat zachodni, to zauważamy, że nowe wzorce kulturowe są wytwarzane głównie poza Kościołem. Kiedyś w świecie zachodnim cała kultura była wytwarzana w Kościele, a Kościół instytucjonalny był mecenasem, płacił, dbał, by powstawały dzieła kultury. Dzisiaj już się z tego wycofał. Nie słyszałem, by jakiś episkopat np. sfinansował wielką produkcję filmową za kilka milionów dolarów. Tymczasem te wytwarzane poza Kościołem wzorce często są albo obojętne wobec wiary, albo wobec niej wrogie. Spójrzmy na muzykę, której słuchają nasi uczniowie. Świat, który jest przedstawiany w tych tekstach, nie jest światem chrześcijańskim. Jeśli idziemy do kina, rzadko trafiamy na film, który wyraża chrześcijańską wizję świata czy człowieka. Są oczywiście filmy chrześcijańskie, ale to głównie produkcja protestancka ze Stanów Zjednoczonych, bo tam znajdują się na to pieniądze.

Papież Franciszek pisze, że trzeba być bardzo ostrożnym przy przejmowaniu tych wzorców. W szkole, także katolickiej, niezmiernie ważne jest pytanie o lektury. Pamiętam jeszcze swoje lekcje historii, to były lata 70. XX wieku. Nauczycielka uczyła nas z podręcznika, ale co jakiś czas się zatrzymywała i mówiła: „O to zapytajcie rodziców". Potem przewracaliśmy kolejne strony, był wykład, a ona znowu mówiła: „O to zapytajcie rodziców". Wszyscy mieliśmy świadomość, że do tego podręcznika trzeba podchodzić z pewną ostrożnością. Później, gdy prowadziłem duszpasterstwo akademickie, spotkałem się ze wspomnieniem o ojcu, który w latach komunizmu pisał swoim córkom usprawiedliwienie, że nie przeczytały zadanej lektury, bo on im zakazał. To niezwykle istotna część formacji młodych ludzi. Trzeba patrzeć, w jaką kulturę oni wchodzą. Nie jesteśmy w stanie ich przed nią obronić, wyłączyć im Internetu czy zabronić czytania innych książek niż te, które sami im poleciliśmy. W związku z tym trzeba ich uczyć, jak odbierać to, co przychodzi z „innego" świata, a przy okazji jest bardzo kuszące. Estetycznie może to mieć nawet dużą wartość, ale estetyka i etyka to nie to samo.

Bycie jedynie odbiorcą kultury powoduje m.in., że chrześcijanie mają kompleks niższości: „W następstwie tego wielu pracujących w duszpasterstwie, chociaż się modli, to jednak pogłębia w sobie pewien rodzaj kompleksu niższości, prowadzący ich do relatywizowania lub ukrywania swojej chrześcijańskiej tożsamości i przekonań – pisze papież Franciszek - Tworzy się wtedy błędne koło, ponieważ w ten sposób nie są zadowoleni z tego, kim są i z tego, co robią, nie utożsamiają się z misją ewangelizacyjną, a to osłabia zaangażowanie. Kończy się to tym, że tłumią radość z misji w pewnego rodzaju obsesji, by być jak wszyscy inni i mieć to, co mają inni". Myślę, że jest to istotna uwaga osób, które są odpowiedzialne za formację młodych ludzi. Jeśli my mamy kompleks niższości, jeśli my wstydzimy się tego, kim jesteśmy, jeśli my

nie jesteśmy zadowoleni z tego, co robimy, i jeśli my chcielibyśmy po prostu być tacy sami jak inni i mieć to samo co inni, to czego nauczymy młodszych?

Opowiem historię, która dla mnie jest ważna. Któregoś razu do mojego biura w Brukseli przyjechał biskup z Etiopii. Wjeżdżał na górę windą, a ja stałem przed jej drzwiami, żeby go przywitać. Byłem zaskoczony, bo kiedy drzwi się otworzyły, z windy najpierw wysunęła się ręka trzymająca krzyż, a dopiero chwilę później wyszedł biskup. Ich zwyczaj jest taki, że nie tylko biskup, ale każdy ksiądz od rana do wieczora nosi krzyż w ręku i się z nim nie rozstaje. W zlaicyzowanym środowisku brukselskim uświadomiło mi to, że mam do czynienia z człowiekiem, dla którego ważne jest, żeby każdy widział z daleka, że on jest chrześcijaninem. Zupełnie inaczej niż w mieście, w którym mieszkałem, i gdzie każdy ksiądz starał się, żeby na ulicy nikt nie zgadł, że on jest księdzem. Odwrotna mentalność. Papież Franciszek ostrzega, że jeśli będziemy się wstydzili tego, kim jesteśmy, jeżeli będziemy chcieli być po prostu tacy sami jak inni, to nic z naszej misji nie będzie. Bo ta misja mówi: jesteśmy inni. Święty Paweł w Liście do Hebrajczyków przypomina: „Nie bierzcie wzoru z tego świata". Po łacinie sformułowanie to brzmi: *nolite conformari*, czyli nie przyjmujcie formy tego świata, bo waszą formą jest Jezus Chrystus. Macie być inni. Dotyczy to także stanu posiadania. My chcemy posiadać to co inni: myślimy o zarobkach, o mieszkaniu, standardzie naszego życia, jakimi jeździmy samochodami, gdzie możemy jechać na wakacje. Chcemy mieć to wszystko, co mają inni. Tylko czego wtedy uczymy dzieci?

Spójrzmy na szkołę katolicką od strony formacyjnej. Co w takiej szkole jest sukcesem wychowawczym? Czy to, że absolwent szkoły katolickiej, a potem katolickiego uniwersytetu będzie równie dobrym fachowcem jak inni i będzie zarabiał tyle samo albo więcej i będzie go stać na lepszy samochód? Czy na tym polega

sukces szkoły katolickiej? Jeśli naszą ambicją będzie, by być jak inni i mieć to co inni, to naszych uczniów czy studentów będziemy uczyli tego, żeby upodobnili się do świata. Warto sobie postawić pytanie o to, w jakich kategoriach oceniamy nasz sukces, do czego Kościołowi i nam osobiście potrzebna jest szkoła katolicka. Pokusa upodobnienia się do otoczenia jest głęboko wpisana w naturę człowieka. W Księdze Izajasza czytamy: „Mówicie: zawarliśmy przymierze ze Śmiercią, i z Szeolem zrobiliśmy układ. […] bo z kłamstwa uczyniliśmy sobie schronisko i skryliśmy się pod fałszem. […] Ale grad zmiecie schronisko kłamstwa, a wody zaleją kryjówkę. Wasze przymierze ze Śmiercią zostanie zerwane, i nie ostoi się wasz układ z Szeolem" (Iz 28,15-16). Izraelici, będąc w niewoli, stali wobec pokusy szukania kompromisu ze światem. Izajasz mówi: zobaczycie, że nic się nie ostanie z waszego kompromisu, sami doświadczycie tego, że jest on nic nie warty.

Jedną z istotnych pokus jest przekonanie, że świat jest płynny, że wszystko się zmienia. Mam przyjaciółkę, która ma teraz mniej więcej 80 lat. Studiowała na KUL-u polonistykę i tak dobrze studiowała, że potem dostała wilczy bilet i nie mogła nigdzie znaleźć pracy. Pierwsza praca, którą znalazła, była w poprawczaku. I tak szła przez całe życie. Pamiętam jej oburzenie, kiedy w latach 90. ktoś publicznie powiedział, że wszyscy kiedyś musieli podpisywać układy z władzą komunistyczną. Ona mówiła: nie wszyscy, nikt nie musiał, każda osoba robiła to na własną odpowiedzialność.

Przekonanie, że wszystko się zmienia, że wszystko jest płynne i że w związku z tym nie ma żadnych punktów stałych, jest niesamowicie destrukcyjne dla naszego życia i naszej formacji. Trzeba pamiętać, że określenie „płynna rzeczywistość" jest pomysłem Zygmunta Baumana, który w latach 50. był oficerem politycznym w Ludowym Wojsku Polskim. Nigdy nie był chrześcijańskim myślicielem. Ewangelia mówi, że chrześcijanin buduje dom

na skale – na tym, co jest stałe, a kamieniem węgielnym jest sam Jezus. Choćby zerwały się wichry i deszcze, dom się nie zachwieje, bo jest mocno utwierdzony. Myślę, że dla nas bardzo ważna jest świadomość, że jest coś, co trwa, i tego trzeba się trzymać, i temu trzeba być wiernym. Tego powinniśmy uczyć także dzieci, młodzież – że są w życiu rzeczy, których się nie robi, i że są prawdy, które są prawdziwe zawsze, i że jest wiara, która się nie zmienia. Święty Paweł ostrzegał: gdyby nawet przyszedł jakiś anioł z nieba i głosił wam inną Ewangelię, to innej Ewangelii nie ma. Nie wszystko jest płynne.

W 2017 roku kolegium redakcyjne Słownika Oksfordzkiego ogłosiło, że najważniejszym słowem roku została wybrana *postprawda*. W tym przypadku nie chodzi o kłamstwo, tylko o to, że prawda o faktach nie jest istotna. Najważniejsza jest skuteczność. Człowiek mówi po to, żeby coś osiągnąć, żeby spowodować, że ten drugi w jakiś sposób zadziała. Czasem nawet jako teologowie, stajemy wobec pokusy uprawiania teologii zbudowanej na *postprawdzie*, takiej *postteologii*. Chcemy wywołać jakieś efekty w świecie zewnętrznym zapominając o tym, co zapisane jest w Ewangelii.

Kiedy wydaje się nam, że ten świat zmienia się szczególnie szybko, warto sobie przypomnieć regułę św. Benedykta. W momencie kryzysu cywilizacji, stworzył on klasztory jako miejsca stałe, miejsca, w którym miano przechować wiarę i kulturę. Kiedyś przecież to całe barbarzyństwo przeminie – przekonywał – wtedy będzie można wyjść z tym wszystkim do innych, ale pod warunkiem, że wiernie się zachowa to, co najcenniejsze, że się tego nie straci. Myślę, że nie tylko zakony, ale także katolickie szkoły i uniwersytety mają być takimi miejscami, gdzie wiernie się przechowuje misterium Kościoła i wiernie się tego uczy.

Temat mojego wystąpienia brzmi: Szkoła katolicka jako miejsce formacji i ewangelizacji. Co w tej nazwie oznacza ten przymiotnik „katolicka"? Co zmienia to określenie? Napisałem kiedyś

tekst pt. *Uniwersytet z przymiotnikiem*, poświęcony katolickiemu uniwersytetowi. Katolickość można postrzegać na kilka różnych sposobów. Pierwszy podkreśla aspekt instytucjonalny. Tworzymy katolickie instytucje, bo mamy nadzieję, że w ich sposób funkcjonowania będzie wpisana wiara. Bardzo istotne jest to, jak ta katolickość jest rozumiana i jak została ona ujęta w szkolnych statutach. W krajach zachodnich coraz częściej dochodzi do procesów przeciwko instytucjom katolickim. Zarzuca się im, że robiły coś, co nie było neutralne. Jeśli nieneutralność w konkretnej sprawie nie była zapisana w statucie, to katolicka instytucja taki proces przegrywała. Oznacza to bowiem, że nie było żadnego prawnego powodu, żeby szkoła czy inna instytucja tak się zachowywała. Jeżeli to jest zapisane w statucie, to można powiedzieć: postępowaliśmy zgodnie z naszymi wewnętrznymi normami. Warto zwracać uwagę na to, by opis tożsamości katolickiej instytucji, szkoły katolickiej, także w dokumentach prawnych był dobrze zrobiony. To może mieć znaczenie, jeśli nie dziś, to na pewno w przyszłości.

Niezwykle istotne jest, aby osoby zatrudnione w szkole katolickiej, i to na różnych stanowiskach, wypełniały jej misję jako instytucji katolickiej. Ogromnie ważny jest stosunek tych osób do wiary katolickiej. Odwiedziłem kiedyś znaną katolicką uczelnię Georgetown University. Powiedziano mi, że gdy proporcje między pracownikami i studentami katolickimi i niekatolickimi zostały zachwiane, jezuicka uczelnia stała się instytucją całkowicie świecką. Watykan założył wówczas w tym samym mieście drugi katolicki uniwersytet *University of America*. Uczestniczyłem także w konsultacjach w Unii Europejskiej, w których padały propozycje, by dyrektorów szkół wyznaniowych pozbawić możliwości pytania o wyznanie kandydatów do szkoły, konkretnie chodziło o szkoły anglikańskie w Anglii. Wyraźnie chodziło tam o to, żeby dyrektorzy szkół wyznaniowych stracili kontrolę nad swoją instytucją.

Kiedyś rozmawiałem z kard. Antoniosem Naguibem z Aleksandrii w Egipcie. Opowiadał mi, jak funkcjonują szkoły katolickie w świecie muzułmańskim, czyli w zupełnie innym kontekście kulturowym. Otóż w Egipcie szkolnictwo publiczne stoi na tak niskim poziomie, że po sześciu latach szkoły dzieci nie umieją czytać ani pisać, a szkoły prywatne są bardzo drogie. Szkoły katolickie wypełniają tę lukę, bo są tanie i dobrze uczą. Większość uczących się tam dzieci to są muzułmanie. Ale to nie przeszkadza ich dyrektorom. Celem nie jest to, żeby w trakcie szkoły dziecko z rodziny muzułmańskiej przeszło na chrześcijaństwo, co nie oznacza oczywiście, że uczniowie są pozbawieni chrześcijańskiej formacji. Sam fakt, że wielu wykształconych muzułmanów przeszło edukację w placówkach katolickich wpływa na relacje między muzułmanami i chrześcijanami. Wreszcie katolickość wpisana jest w pewną formację intelektualną szkoły. W języku angielskim istnieje zwrot *catholic education*, który znaczy tyle, co „szerokie horyzonty". Katolicki to znaczy uniwersalny. Kształtować ludzi po katolicku to znaczy takich o szerokich horyzontach.

Coraz częściej uświadamiamy sobie, że zmiany w edukacji w Europie prowadzą do tego, żeby uczniów uczyć jak najmniej. Uniwersytety zamieniają się w wyższe szkoły zawodowe. Nawet w seminariach redukuje się filozofię, łacinę czy nawet teologię, by więcej czasu pozostało na szkolenie umiejętności praktycznych. W związku z tym absolwent jest coraz lepiej przygotowywany do komunikacji z ludźmi, ale coraz mniej ma im do powiedzenia. Studenci chętnie chodzą na zajęcia, podczas których zdobywają coś, co im się przyda w pracy, a mniej chętnie na te, gdzie uczy się ich myśleć. Szkoła katolicka to szkoła, która formuje człowieka, a nie tylko wyposaża go w pewne kompetencje. Uczymy ludzi myśleć. To będzie miało znaczenie w przyszłości, nawet jeśli się nie przełoży bezpośrednio na ich pensje.

Szkoła katolicka to także uczenie jedności wiary i wiedzy. Nawet w duszpasterstwie akademickim spotykam się z tym, że poziom rozwoju intelektualnego w zakresie świeckiej wiedzy, którą ktoś studiuje, i poziom jego wiedzy religijnej zupełnie ze sobą nie korespondują. W związku z tym człowiek doświadcza wewnętrznego rozdarcia. Miałem kiedyś spotkanie na prestiżowym, wyznaniowym uniwersytecie. Podjąłem rozmowę z profesorami na tematy profesjonalne, nauk o polityce, i z podziwem słuchałem tego, co mieli do powiedzenia. A potem przypadkowo zeszliśmy na religię. Rozmawiałem z tymi samymi ludźmi, ale ich wiedza w tym zakresie była na dramatycznie niskim poziomie. Jeśli wiara i wiedza nie będą na podobnym poziomie, to kiedyś to wszystko musi pęknąć. Nie możemy odpuścić formacji intelektualnej.

Wreszcie warto postawić pytanie o formację duchową. Nie chodzi tylko o to, by nasi adepci byli ludźmi, którzy mają dobrze rozwinięty umysł. Wśród naukowców spotkałem wielu ludzi, którzy mają świetnie rozwinięty intelekt, a niekoniecznie są głęboko wierzący. To nie jest to samo. Trafiłem kiedyś na wypowiedź znanego profesora, rozgoryczonego faktem, że ktoś napisał nieuczciwą recenzję jego książki. „Myślałem, że profesorowie to ludzie, którzy szukają prawdy, znają prawdę i nigdy nie kłamią" - powiedział. Okazuje się jednak, że ten ostatni element nie zawsze idzie w parze z poprzednimi. Potrzebna jest formacja zarówno nauczycieli, kadry kierowniczej, pracowników administracji, jak i uczniów. W jednej z warszawskich szkół prywatnych, zapewniającej dość liberalną formację, na stanowisku woźnego zatrudnił się pewien bardzo wierzący człowiek. Specjalnie wybrał tę właśnie szkołę. Uczył uczniów w szatni grać w szachy, a przy okazji ich formował. Wykonywał ważną pracę, nie zajmując żadnej istotnej pozycji w tej placówce. Osobiście pracowałem kiedyś w zespole szkół zawodowych, była tam dość trudna męska młodzież. Po kilku latach musiałem odejść z tej szkoły. Szukałem następcy

i znalazłem młodą kobietę, absolwentkę teologii i resocjalizacji. Poszukiwała pracy z trudną młodzieżą. Zatrudniono ją w tej szkole. Po dwóch tygodniach dzwonię, żeby się dowiedzieć, jak jej idzie. Ona mówi: „Jestem bardzo rozczarowana, bo miała być trudna młodzież, a jej nie ma". Okazało się, że ta młoda kobieta w sobotę umawiała się z chłopakami na strzelnicę. Było tam tylko sześć karabinów, dlatego klasę podzieliła na szóstki. Do każdej szóstki zapraszała kolegę z „Sokoła". Chłopaki czekali na karabiny, a przy okazji mieli katechizację, o czym nawet nie wiedzieli. Uwielbiali chodzić na strzelnicę i bardzo szanowali swoją katechetkę.

Trzeba pamiętać o każdej osobie, która pracuje w szkole i która do tego budynku przychodzi. Każda z nich ma znaczenie, także gdy chodzi o przekazywanie wiary. Każda jakoś tworzy tożsamość szkoły. Formacja młodzieży to wprowadzanie ich w modlitwę i sakramenty, ale ostatecznie w osobistą relację z Panem Jezusem. Jak rekrutujecie nauczycieli do szkoły, czy nawet woźną, warto o tym pomyśleć. Człowiek, który ma osobistą relację z Panem Jezusem, nie musi o tym mówić. On bez słów tym promienieje.

Kolejny aspekt to katolickość jako wspólnota, relacja między ludźmi, a ostatecznie zwyczajna sprawiedliwość. Rozmawiałem z kimś, kto głęboko przeżywał relację ze spotkania z przedstawicielem katolickiej instytucji. Mówił, że nigdy nikt go tak źle nie potraktował. Bywa, że czasem uczniowie czy pracownicy wychodzą z katolickich instytucji z poczuciem krzywdy. Wszystko się może zdarzyć, nie jesteśmy aniołami, więc może być i tak, że skrzywdzimy człowieka. Nie może to być nasze ostatnie słowo. Nie możemy tego człowieka zostawić z poczuciem krzywdy. Księga Mądrości mówi, że „człowiek sprawiedliwy jest dobry dla ludzi" (12,19). To znaczy, że nasz kontakt z Bogiem – tak jest tam rozumiana sprawiedliwość – rzutuje na to, co jest „ludzkością" w odniesieniu do drugiego człowieka. Ważne, aby w szkole

tworzyć wspólnotę ludzi dobrych dla siebie nawzajem, żeby dawać świadectwo takiej wspólnoty wobec uczniów, żeby ich w to wciągać. Oni się uczą wtedy, jak traktować drugiego człowieka. W naszym języku ważne jest słowo „braterstwo". Ale w jaki sposób ma się go nauczyć jedynak? Nie jest to problem, gdy w klasie mamy jednego, drugiego czy trzeciego jedynaka, bo oni się wszystkiego od siebie nawzajem nauczą, ale jeżeli klasa składa się wyłącznie z jedynaków, jeśli nikt nie wynosi z domu doświadczenia naturalnego braterstwa, czyli tego, jak się traktuje brata czy siostrę, a przez to innych ludzi. Myślę, że ten element wspólnotowości, tworzenia wspólnoty w wierze, wspólnoty ludzi, którzy idą razem do nieba, z troską o to, aby nikogo tam nie zabrakło, jest bardzo ważny w katolickiej instytucji.

Ks. dr Wojciech Węgrzyniak

Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię

Wielki Post to czas nawracania się.

Znaleźć swój czyn, który trzeba zmienić, zastanowić się nad swoim myśleniem, bo może ono nie jest właściwe.

*

Wielki Post to czas wiary.

Nie ma rzeczy bardziej potrzebnej na świecie niż wiara. Zdrowie wszyscy stracimy, życie wszyscy stracimy, pieniądze zostawimy dzieciom, natomiast wiara nas zaprowadzi do nieba, muszę zadbać o swoją wiarę.

*

Wielki Post to czas kuszenia.

Trzeba mieć takie głębokie przekonanie, że skoro Bóg jest moim Ojcem, a ja jestem Jego dzieckiem, to nie pozwoli mi przejść takiej próby, z jaką nie dam sobie rady. Nie bójmy się. Życie jest próbą. Wielki Post jest po to, by być jeszcze bardziej człowiekiem.

*

Czas Wielkiego Postu to czas słuchania.

Nie chodzi o to, żeby robić listy rzeczy zakazanych, tylko żeby zrozumieć, że tak to funkcjonuje. Że to, że jesteś wierzący albo jesteś niewierzący, to jest konsekwencja w dużej mierze tego, czego słuchasz i co czytasz.

*

Czas Wielkiego Postu to czas modlitwy.

Ważne jest, żeby coś zmienić z modlitwą, bo naprawdę problemem naszym w głównej mierze jest brak przyłączenia się do Tego, który jest źródłem naszej siły i mocy, czyli do Boga. A to jest przecież modlitwa.

*

Wielki Post to czas Chrystusa.

My się przygotowujemy do męki, śmierci i zmartwychwstania. Przygotowujemy się do najważniejszego wydarzenia, do tego, że Bóg wkroczył tak w historię świata, że w swoim Synu odkupił świat i chce z nas uczynić ludzi wolnych i zbawionych. Musimy więc koncentrować się na Tym, kto jest najważniejszy.

Spróbujmy coś zrobić, żeby Chrystus był na pierwszym miejscu, żeby zrozumieć, że to jest tak naprawdę dla Chrystusa, że tylko w Nim spokój znajdzie moja dusza, że tak naprawdę nie ma większej miłości.

Ks. dr Wojciech Węgrzyniak

Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię

Spróbuję podzielić się dziesięcioma myślami związanymi z Wielkim Postem. Nie wszystko jest dla każdego, czy nie wszystko jest dla nas. Ważne, żeby wychwycić chociaż jedną, drugą myśl, która może w nas zostać.

1. Wielki Post to czas nawracania się

Usłyszymy w Środę Popielcową słowo: „Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię". W Piśmie Świętym jest napięcie, dopełnienie się nawracania starotestamentalnego i nowotestamentalnego, albo, inaczej mówiąc, nawrócenia, które możemy wyczytać w języku hebrajskim w słowie *szuw* – nawróć się i w słowie greckim *metanoite* – nawracajcie się. Otóż język hebrajski prawie tysiąc razy w Biblii, w Starym Testamencie, woła o nawrócenie się. Jak używa słowa *szuw* – nawracajcie się, to ma na myśli przede wszystkim zmianę kroków, zmianę kierunku drogi. Każdy z nas w życiu gdzieś idzie. Każda decyzja, każdy czyn, to jest konkretny krok. Stary Testament mówi: „Twoje życie zależy od twoich czynów". Ktoś jest alkoholikiem nie dlatego, że tak wyszło, tylko to jest konsekwencja pewnych czynów. Ktoś jest dyrektorem, to nie znaczy, że tak wyszło, to jest konsekwencja pewnych czynów. Poszłaś do przedszkola i nie uciekłaś, zdałeś maturę, a przecież mogłeś jej nie zdać, zostałeś nauczycielem, to jest konsekwencja pewnych czynów. To, że ja znam język angielski, to jest

konsekwencja pewnych czynów. Nie da się tego po prostu zrobić „tak ot". Nawracanie więc to nic innego jak zauważenie: „O, gdzie ja jadę? Gdzie ja właściwie idę w życiu?". Przecież jak pójdę tą drogą konsekwentnie, którą idę, to zmarnuję sobie życie. Stracę żonę, stracę męża, stracę dzieci, stracę Pana Boga. Przestanę wierzyć. Widzę, że moja droga jest zła. Muszę się nawrócić. Muszę się nawrócić z moich czynów. Oczywiście to nawracanie się jest ciągłe. Na czym ono polega? Trzeba zmienić czyny. Co z tego, że masz taki światopogląd? Ja mogę mieć wspaniały światopogląd, że chiński jest ważnym językiem, ale jeśli się go nie zacznę uczyć, nigdy go nie będę umiał. Natomiast Nowy Testament używa słowa *metanoia.* Pierwsze zdanie Jezusa: „Nawracajcie się (*metanoite*) i wierzcie w Ewangelię" zwraca uwagę nie tyle na czyny, co na myślenie. *Metanoite* może znaczyć tyle co „zmieńcie myślenie". To się oczywiście nie kłóci ze starotestamentalną zmianą czynów, tylko zwraca uwagę na to, skąd się biorą nasze uczynki. One biorą się z naszego myślenia. Dlaczego grzeszę? Dlaczego wybieram złą drogę? Bo myślę w sposób przedziwny. Myślę w sposób zły. Myślę w sposób krótkowzroczny: „E tam, pogrzeszę sobie, co mi zaszkodzi?". Śmierć nie wiadomo kiedy przyjdzie. Wieczność nie wiadomo kiedy będzie. Sąd Ostateczny to już w ogóle... W tym momencie najważniejsza jest dla mnie przyjemność, nie myślę całościowo. Zmień myślenie! Jeżeli ty popełniasz grzechy, jeżeli ty w życiu idziesz złą drogą, to najprawdopodobniej problem jest w myśleniu. Jest jakaś dysfunkcja myślenia, która sprawia, że myślisz w tak dziwny sposób, że po prostu nie da się tego zrozumieć. Na przykład bardzo dużo ludzi nie chce dziś wychodzić za mąż czy się żenić, bo nie mają pieniędzy, i muszą zarabiać rok czy dwa. I tak my słuchamy, patrzymy i mówimy: „Ludzie, przecież nasi rodzice to się spotykali miesiąc czy dwa. Tak naprawdę załatwić wszystkie formalności kościelne to jest miesiąc roboty. A że nie mam pieniędzy, no przecież na weselu się dostaje kopertę.

Wziąć kredyt na dwa tygodnie, potem oddać". Natomiast jest takie jakieś myślenie bardzo mocno zakorzenione, że ja muszę mieć odpowiedniego fotografa, muszę mieć odpowiednią suknię, muszę mieć to czy tamto, dlatego jestem w stanie nawet grzeszyć. Jestem w stanie nawet łamać przykazania Boże. Najważniejsze, żeby mieć tyle pieniędzy, żeby za te 40 czy 50 tysięcy zrobić wesele. Ale to jest kwestia myślenia tego – można powiedzieć – pokolenia. Myśmy nie mieli takich problemów dwadzieścia czy trzydzieści lat temu.

To jest więc pierwsze pytanie na Wielki Post: „Czy ja w moim życiu mam problem z czynami?". Bo może być tak jak w dzisiejszej Ewangelii, że tak naprawdę ja jestem super dobrym człowiekiem, zachowuję przykazania Boże, czczę ojca i matkę, nie zabijam, nie kradnę, nie cudzołożę, nie mówię fałszywego świadectwa, bo nikt mnie nie prosi o świadectwo. Generalnie jestem człowiekiem, który nie robi wielu złych rzeczy, ale Pan Jezus mówi: „Jednego ci brakuje". Może masz taki jeden czyn, jeden grzech, który trzeba zmienić, bo on cię zniszczy. Można mieć całe ciało zdrowe, ale wystarczy, że serce choruje i człowiek umrze. Możesz być bardzo w porządku dyrektorem, nauczycielem, mężem, ale jest taki jeden grzech, który rozwala ciebie, twoje życie czy twoje relacje. Może chodzi o jakiś czyn. Może problem polega na tym, że myślenie jest złe, tzn. wmawiasz sobie, że wszyscy tak robią, że tak powinno być, że nie da się inaczej, że Pan Jezus przesadza z tymi przykazaniami. Może problem jest gdzieś w myśleniu? To jest więc takie pierwsze hasło: znaleźć swój czyn, który trzeba zmienić, ewentualnie zastanowić się nad swoim myśleniem, bo może ono nie jest właściwe.

2. Wielki Post to czas wiary

„Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię". Nie ma na świecie ludzi niewierzących. To trzeba sobie absolutnie jasno powiedzieć: każdy człowiek w coś wierzy. Każdy. Albo wierzysz po prostu mamie, tacie, albo wierzysz Panu Bogu, albo wierzysz Kościołowi, albo wierzysz swoim przyjemnościom, albo swojemu sumieniu, albo gazecie, albo książce. Każdy komuś wierzy. Absolutnie. Nie ma człowieka, który byłby niewierzącym. Wiara nam bardzo ułatwia życie. Wszyscy wierzymy, że naszymi rodzicami są ci, którzy się za nich podają. Ale kto to sprawdzał? Odkąd się urodziłem ten pan był w moim domu i ta pani była w moim domu. Dawali mi jeść, kazali mówić do siebie „mamo", „tato". Ale ja nie robiłem testów. Jestem szczęśliwym człowiekiem, który może sprawdzić, czy mama, tata to byli faktycznie mama, tata. Ale co ma powiedzieć taki Kochanowski? Przecież do stu lat temu nie szło w ogóle ustalić, kto jest rodzicem. Generalnie rzecz biorąc, my wszyscy wierzymy, że nasi rodzice są naszymi rodzicami, i dzięki tej wierze możemy żyć.

Wielu rzeczy naprawdę nie sprawdzamy. Wszyscy usiedliście na krzesłach. Kto sprawdził, czy one zostały skontrolowane? Kto sprawdził, czy miały odpowiedni certyfikat? Kto sprawdził, czy są wyprodukowane zgodnie z prawem? Kto sprawdził, czy jest na nich data ważności? A przede wszystkim kto sprawdził, czy jego waga jest kompatybilna z możliwością tego krzesła? Nie, uwierzyliśmy i żeśmy się nie zawiedli. W każdym razie codziennie wierzymy i wiara naprawdę nam pomaga żyć. Pewne rzeczy da się sprawdzić. Tak samo w świecie Pana Boga, też da się sprawdzić.

Czas Wielkiego Postu to jest czas, kiedy ja muszę sobie odpowiedzieć na pytanie: „Komu właściwie wierzę?". My nie jesteśmy ludźmi, którzy są przeciwko nauce. My nie jesteśmy ludźmi, którzy są mało wartościowi. My nie jesteśmy ludźmi, którzy nie

myślą. My jesteśmy ludźmi, którzy mówią: „Ja wolę w życiu wierzyć Bogu, bo ludzie mogą okłamać, nawet najlepsi mogą zdradzić". Jeremiasz mówi: „Przeklęty mąż, który pokłada ufność w człowieku, błogosławiony mąż, który pokłada ufność w Panu". Ja chcę wierzyć w Boga. Ja chcę wierzyć w Jezusa Chrystusa. On jest od Boga. On najlepiej zna człowieka. On mnie kocha i Jemu zależy na moim dobru. Ja Mu wierzę, że jest mądrzejszy ode mnie. W ciągu roku zarabiamy pieniądze, w ciągu roku staramy się, żeby dzieci były wychowane. Wielki Post to jest czas, kiedy ja w sposób zintensyfikowany myślę o tym, co jest z moją wiarą. Może jestem bogatszy niż pięć lat temu, ale czy jestem bardziej wierzący? Nie ma rzeczy bardziej potrzebnej na świecie niż wiara. Zdrowie wszyscy stracimy, życie wszyscy stracimy, pieniądze wszyscy zostawimy dzieciom, natomiast wiara nas zaprowadzi do nieba. Wiarą jesteśmy zbawieni. Trzeba uświadomić sobie jasno, że nie ma pilniejszej rzeczy w moim życiu niż wiara. Muszę zadbać o moją wiarę. Wielki Post to jest czas, kiedy ja troszczę się po prostu o moją wiarę.

3. Wielki Post to czas kuszenia

„Wtedy duch wyprowadził Jezusa na pustynię, aby był kuszony przez diabła. A gdy przepościł czterdzieści dni i nocy odczuł w końcu głód". „Żeby być kuszonym przez diabła". Czas Wielkiego Postu to też jest czas zrozumienia, po co na świecie jest próba, po co jest kuszenie. Zarówno w języku hebrajskim, jak i greckim w Biblii to samo słowo używane jest na określenie słowa „pokusa" i „próba". Kusić, jak i wystawiać na próbę. Pierwszy, który to robi, to jest Pan Bóg. W rozdziale 22. Księgi Rodzaju czytamy: „Po tych wydarzeniach Bóg wystawił Abrahama na próbę". Zdanie to można przetłumaczyć inaczej: „Bóg skusił Abrahama". My to bardzo ładnie w języku polskim rozróżniamy – kiedy Pan Bóg albo

człowiek wystawia na próbę, to wystawia na próbę, a kiedy diabeł wystawia na próbę, to kusi. Dlaczego? Bo diabłu zależy na tym, byśmy przegrali, a Pan Bóg wystawia na próbę po to, żeby nas wynieść na wyższy poziom. Po co jest próba śpiewu? No po to, żeby lepiej śpiewać w niedzielę. Po co jest próba mostu? Po to, żeby po moście można było jeździć. Po co jest próba jakiejś substancji? Po to, żeby z tego było lekarstwo. Tak samo jak gospodyni, gospodarz czy kucharka przed obiadem próbuje, żeby było lepsze. My jesteśmy jedynym stworzeniem na tym świecie, które może być lepsze. Kamień jest taki, jaki jest. Żaba też rechotać lepiej nie będzie. Ptaszki będą śpiewać wtedy, kiedy mają okres godowy, w innym czasie śpiewać nie będą. Natomiast człowiek jest istotą, która zawsze może być na wyższym poziomie, ale musi przejść próbę. Taką próbą dla Jezusa jest kuszenie na pustyni. Taką próbą jest Getsemani. Taką próbą jest dla nas pokusa do grzechu. Taką próbą są bardzo ciężkie doświadczenia życiowe. Warto więc uwierzyć w to, co mówi św. Paweł w Liście do Koryntian (10,13), że Bóg nigdy nie wystawia człowieka na większą próbę niż człowiek jest w stanie przeżyć. Nigdy, nigdy! A zsyłając próbę czy pokusę, jednocześnie pokazuje sposób wyjścia z niej. W imieniu wiary, w imieniu Ewangelii możemy powiedzieć, dlaczego została zamordowana Helena Kmieć. Dlatego, że ona była przygotowana już na taką próbę, mogła ją przejść pozytywnie. Głęboko wierzę, opierając się na Piśmie Świętym, ale też na wierze w to, że Bóg naprawdę rządzi tym światem, że Bóg chroni nas jak dzieci. Jeśli nas wystawia na próbę, to tylko dlatego, że wierzy, że my tę próbę jesteśmy w stanie przejść. Jeżeli nie przechodzimy tej próby, to mamy spowiedź, nawrócenie, pokutę, żal za grzechy. Jest to normalne, że czasem próby się nie przechodzi. Tak jak się jeździ na nartach, to jest normalne, że czasem się zjedzie, a czasem się zaliczy upadek. Człowiek ma wtedy wstać i jechać dalej, nie zniechęcać się do stoku. Natomiast my musimy głęboko wierzyć, że

próba jest potrzebna w moim życiu, żebym bardziej był człowiekiem takim, do jakiego poziomu człowieczeństwa zostałem powołany. Nie musimy bać się prób. Nie musimy bać się pokus. Nie myślmy takimi kategoriami: „O, Panie Boże, co się stanie w moim życiu, jak będzie taka choroba? A co to się stanie, jak nie będę miała pracy?". Nie ma co myśleć naprzód. My się czasem martwimy, myślimy na przyszłość, a potem człowiek nagle umiera i jest zaskoczony. Nie trzeba przemyśliwać za bardzo. Natomiast trzeba mieć takie głębokie przekonanie, że skoro Bóg jest moim Ojcem, a ja jestem Jego dzieckiem, to nie pozwoli mi przejść takiej próby, z jaką ja nie dam sobie rady. Nie bójmy się. Życie jest próbą. Czas Wielkiego Postu pokazuje, jak walczyć z grzechami, chociaż jesteśmy słabi. On jest po to, by być jeszcze bardziej człowiekiem.

4. Wielki Post to czas postu

Fastenzeit powiedzą Niemcy, my mówimy Wielki Post, Włosi mówią *Quaresima*. Bardzo jest to piękne, że to jest czas postu. Dodatkowo jeszcze liturgia mówi mocno: to jest czas Wielkiego Postu. I to jest chyba rzecz, którą musimy przepracować. „Na Syjonie dmijcie w róg, zarządźcie święty post" – usłyszymy w Środę Popielcową. Ale czy naprawdę wierzymy w to, co powiedział Jezus, że ten rodzaj złych duchów wyrzuca się modlitwą i postem? Cały rok organizujecie konferencje, spotkania, jeździcie na szkolenia, czytacie. A czas Wielkiego Postu jest po to, żeby pościć za uczniów, pościć za siebie. Wielki Post nie „mały post". My chyba troszkę zapomnieliśmy o tym, że są takie złe duchy, które wyrzuca się tylko modlitwą i postem. Nie mogli uczniowie uzdrowić epileptyka, pytają się Jezusa: dlaczego my nie mogliśmy wyrzucić tego złego ducha? A Jezus mówi: bo niektóre duchy wyrzuca się tylko modlitwą i postem. I tu jest sprawa do przemyślenia. Ktoś powie: „Proszę księdza, ja nie mogę pościć, bo jak poszczę, to od

razu mi się ręce trzęsą, albo słabnę, przewracam się, denerwuję". Post niekoniecznie musi być od jedzenia. Owszem, post od jedzenia to bardzo dobra i bardzo biblijna sprawa. Ale można zrobić sobie post od komputera, od Facebooka, chodzi o pewien rodzaj wyrzeczenia. Chrystus zbawił świat nie w Kanie Galilejskiej i nie rozmnażając chleb, ale Chrystus odkupił świat wtedy, kiedy nic nie robił, tylko cierpiał, kiedy umierał na krzyżu, gdy nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą. Chrystus przez całkowite ogołocenie się z siebie, w pełni dał siebie innym. My naprawdę jesteśmy ludźmi, którzy dają siebie innym, którzy robią różne akcje. W Wielkim Poście chodzi o taki rodzaj wyrzeczenia, kiedy ja nie robię nic – można powiedzieć – dla innych, tylko uśmiercam samego siebie, czy wchodzę w tę przestrzeń postu, która jest trudna. Ale może trzeba za tego ucznia po prostu popościć? Może trzeba za siebie popościć? Czas postu...

5. Wielki Post to czas pojednania z ludźmi

Księga Izajasza, 58. rozdział: „Czyż nie jest raczej ten post, który wybieram: rozerwać kajdany zła, rozwiązać więzy niewoli, wypuścić wolno uciśnionych i wszelkie jarzmo połamać?". Rozdział 1. Księgi Izajasza jest jeszcze mocniejszy. Izajasz mówi: Choćbyście mnożyli modlitwy, choćbyście wznosili ręce w moją stronę, to sobie oczy zamknę i uszy zatkam, bo mam już dość waszych modlitw i waszych spotkań, zebrań kultycznych, religijnych czy liturgicznych, byśmy dziś powiedzieli. Mam już dość. Dlaczego? Bo ręce wasze są pełne krwi. Jeżeli ty szkodzisz drugiemu człowiekowi, to nie ma co udawać, że pościsz. Nie ma co udawać, że jesteś chrześcijaninem. Nie ma co udawać, że ty się modlisz. Chodzi o pojednanie z drugim człowiekiem. Wiadomo, że się kłócimy. Wiadomo, że z niektórymi mamy na pieńku. Ale może trzeba za niego pościć. Może trzeba za niego się modlić. A trzeba na

pewno wszystko zrobić, żeby Wielki Post był czasem pojednania z człowiekiem. Może źle myślę, ale czasem mi się wydaje, że my za dużo dajemy rozgrzeszeń w konfesjonale. Tak z perspektywy lat myślę, że nie powinniśmy rozgrzeszać. Jak ludzie przychodzą, to powinniśmy mówić: „Popatrz, co powiedział Pan Jezus: jeśli słyszysz w swoim sercu, że Twój brat ma przeciw tobie, idź i pojednaj się najpierw z Twoim bratem, a potem przyjdź dar swój ofiaruj". Ściągałaś na sprawdzianie? Ściągałaś na kolokwium? Nie dostaniesz rozgrzeszenia. Idź do nauczyciela, przyznaj się, że to było kłamstwo, a potem przyjdziesz, to ci dam rozgrzeszenie. Ty masz stypendium naukowe, chociaż cyganiłaś czy cyganiłeś, a ja ci daję rozgrzeszenie. Przychodzisz, że kogoś okradłeś. I co my zazwyczaj robimy? Postaraj się oddać. No jak to wygląda? On się cieszy, że ukradł, nie oddał, chodzi do Komunii, tamten ktoś się denerwuje, że nie ma. Obmowa, to jest dopiero kosmos. Nagadałem na kogoś, ten ktoś z tego powodu cierpi. Ktoś przeze mnie płacze. A ja idę do spowiedzi. Dobrze, że żałujesz, ale powinno być: idź, najpierw się pojednaj, a potem rozgrzeszenie, bo tak to jest taka trochę fikcja. Oczywiście, my wierzymy ludziom i nie ma dobrej spowiedzi bez zadośćuczynienia. Absolutnie to jest warunek dobrej spowiedzi. Natomiast fakt faktem, że czasem wydaje mi się, że za mały nacisk kładziemy na to, co robią rodzice. Mi się bardzo podoba, jak moja siostra, która ma czterech chłopaków, mówi: „Proszę się pojednać ze sobą. Jak się nie pogodzicie, nie będzie komputera". Oni buczą niezadowoleni, płaczą, no ale muszą się pogodzić. Nie ma czegoś takiego, że mama mówi: „No trudno, dobiłeś go, normalne, takie jest prawo fizyki, jesteś silniejszy. Jak widzisz, że twój brat jest silniejszy, to uciekaj, a nie mów mamie, że cię bije. Ucz się życia". Jest nacisk na pojednanie w tych naszych relacjach międzyludzkich. Naprawdę, jeżeli będziemy pracować w szkole czy w parafii, czy we wspólnocie z ludźmi, z którymi jesteśmy pojednani, to będzie całkiem inaczej. Nieraz człowiek się

umęczy, wysili, a tak naprawdę tym, co gryzie nas, naszą wspólnotę, jest brak pojednania.

6. Wielki Post to czas popiołu

Kościół daje nam popiół. Już od niepamiętnych czasów w egipskiej krainie, tak samo w pustynnej Arabii, czy wyspiarskiej Grecji posypywano głowy popiołem. Był to znak żalu i bólu z powodu moich osobistych grzechów. W Kościele obrzęd ten obecny jest od VII wieku. Na dobre został wprowadzony przez papieża Urbana w XI wieku. Jak w Środę Popielcową czy w niedzielę potem będziemy przyjmować popiół, to on bardzo przypomina o pierwszej karcie Pisma Świętego, na której czytamy, że Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia. My tłumaczymy: „ulepił człowieka z prochu ziemi", ale gdyby tłumaczyć tak bardzo dosłownie, to można by powiedzieć: „Pan Bóg ulepił człowieka *afar,* tzn. «prochem ziemi», jako proch ziemi". O tym mówi Księga Rodzaju (3,19): „Prochem jesteś i w proch się obrócisz". Nie tylko jesteś ulepiony z prochu, ale jesteś prochem. Dużo pokoju serca daje w życiu pokora. Pokora, że jesteśmy prochami. Czym się różnimy od naszych babć i dziadków, którzy są już w trumnie? Niektórzy są już prochem, niektórzy jeszcze kościami. Czym się różnimy? Tylko czasem. Tak naprawdę szkoda, że nie ma takiej aplikacji, która by ci pokazała, jak będziesz wyglądać za dwadzieścia lat. Jaki z ciebie proch zostanie. Trzeba sobie po prostu uświadomić: to jest kwestia czasu. Choćbyśmy nie wiem jak się wykremowali, choćbyśmy cokolwiek zrobili, to i tak skończymy jako proch. Nie mówię tego po to, żeby się teraz zdołować, żeby nie wiadomo jak się zdenerwować, ale żeby mieć świadomość pokory, że jesteśmy wielcy w oczach Boga, że jesteśmy powołani do wieczności. Musimy pamiętać o tym, że nie przeżyjemy dłużej świata, że tak naprawdę jesteśmy na pewien

czas. Świat został nam dany. Moje bycie księdzem, twoje bycie nauczycielem, dyrektorem, jest na pewien czas. Wykorzystajmy to dobrze. Bądźmy pokorni wobec śmierci. Człowiek zapomina o tym, że umrze, że będzie sąd, że będzie życie po śmierci. Zachowuje się tak, że jest to niezrozumiałe. Kiedyś żartowałem z takiego księdza proboszcza na emeryturze, że ja się dziwię starszym księżom, bo oni powinni mówić dobrze o młodszych księżach przynajmniej z dwóch powodów: po pierwsze, ze strachu przed śmiercią. Starszy kapłan powinien traktować młodszego dobrze, bo jest większe prawdopodobieństwo, że starszy szybciej umrze niż młodszy. Po drugie, z lęku przed historią. Mówię: „Proszę księdza, a wie ksiądz, jak o księdzu będzie pisała historia? Tak jak my napiszemy, młodzi. I wy tego nie poprawicie". Także ze strachu przed tym, jak mnie opiszą, powinienem dobrze traktować dzieci, bardzo dobrze traktować moich uczniów. Nie ma znaczenia, że ty jesteś mądrzejszy, ty jesteś wspaniały, bo to oni cię opiszą. Oczywiście, ty ich opiszesz też, tylko, że prędzej my zejdziemy z tego świata. I to oni kiedyś wyciągną wszystkie teczki i nieteczki.

7. Wielki Post to czas wyznawania grzechów

„Komu odpuścicie grzechy, są im odpuszczone; komu zatrzymacie, będą im zatrzymane". Myślę, że każdy z was się spowiada, a jak się nie spowiada, to warto to zrobić. Pamiętajmy o tym obowiązku Kościoła, żeby przynajmniej raz w roku się spowiadać. Tak naprawdę na poziomie duchowości należy zwrócić uwagę na to, by uczyć siebie i innych ludzi, żeby się nie bali przyznawać do błędu. Nie wiem, jakie wy macie doświadczenia ze szkoły, ja – muszę się przyznać – mam smutne nawet z seminarium. Bardzo ciężko jest wymusić od kleryków, żeby się przyznali np. do ściągania. Przyłapuję gościa na ściąganiu. Stoję z tyłu. Ewidentnie patrzy się, odpisuje i znów patrzy się i odpisuje.

– Proszę oddać kartkę.

– Dlaczego? – o już widzę ton gimnazjalisty.

– Dlaczego?

– Ksiądz ściągał.

– Nie ściągałem.

– Czy w ostatniej minucie ksiądz patrzył się w tę stronę?

– Nie, nie patrzyłem się.

– Dam ci bardzo dobry, tylko przyznaj się – mówię.

– Do czego mam się przyznać?

– Dam ci bardzo dobry na koniec roku. Naprawdę, tylko proszę cię...

– Nie! Co mi ksiądz wmawia?

Po zajęciach zostaliśmy sam na sam, mówię: „Gościu, nikomu tego nie powiem, jak na spowiedzi, jak mi się przyznasz. Ale powiedz prawdę, bo ja wyjdę stąd mega zdołowany". To on mnie jeszcze ochrzanił. I ja sobie myślę, co takiego jest w człowieku, że człowiek po prostu nie rozumie, że problemem nie są grzechy, tylko problemem jest zatajenie grzechu. W tym szpitalu, jakim jest Kościół, nie ma chorób śmiertelnych. Z każdego grzechu Pan Bóg może cię wyleczyć. Z każdego grzechu Pan Bóg może cię uzdrowić. Chociaż całe życie byś się łotrzył, to masz szansę na zbawienie. Tam, gdzie chodzi o duszę, nie ma sytuacji, żeby Pan Bóg cię nie mógł wyzwolić. Naprawdę nie ma. Jedyną sytuacją, która zabrania Panu Bogu mnie uzdrowić, jest ta, kiedy ja nie chcę być uzdrowiony. Jak Pan Bóg mnie pyta, czy ja mam chore serce, to ja Mu odpowiadam: „Nie, nie serce to nie, no skądże". Nie bójmy się przyznawać. W 2006 roku bardzo osobiście przeżyłem wydanie książki *Księża wobec bezpieki.* Jednym z jej bohaterów był mój proboszcz. Najbardziej zabolało mnie to, że chyba tylko jeden czy dwóch księży się przyznało. Oczywiście teraz powiecie: „Proszę księdza, to nieprawda, bo to sfałszowane". Może sfałszowane. Ale jeśli niesfałszowane, albo jeżeli w niektórych przypadkach

to prawda, to jest to jakiś dramat człowieka, księdza zwłaszcza, chrześcijanina. Człowieka, który nie potrafi przyznać się do grzechu. Jakby nie rozumie, że Pan Bóg i tak zna moje grzechy, i tak w niebie wszystko wiadomo. No co mi się stanie? Jest w nas taka dziecięca upartość, że boimy się przyznać. Boimy się, że jak się przyznamy, to dostaniemy. Kiedyś jechałem na rowerze, była tam górka i chciałem sobie zrobić slalom między kupkami żwiru. I tak zrobiłem, że wyleciałem przez kierownicę i twarz sobie rozwaliłem. Nie poszedłem wtedy do domu, bo się bałem, co moi rodzice powiedzą. No bo co ja im powiem? Że co się stało? Rok później jak sobie złamałem nogę, to też nie powiedziałem, że ćwiczyliśmy karate, tylko, że się pośliznąłem. Bo człowiek bał się, że reakcja będzie taka, że jeszcze za to dostanę. Nie winię oczywiście moich rodziców, bo uważam, że wychowanie stresowe może czasem bardziej pomóc niż bezstresowe. Dochodzimy do takiej paradoksalnej sytuacji, że gdybym ja popełnił jakiś straszny grzech, to ja ksiądz nie powiem nic biskupowi ani proboszczowi. Nie powiem, bo się boję, że on źle zareaguje. No bośmy jakoś nauczyli ludzi, że najlepiej się nie przyznawać. Nie! Kościół jest szpitalem. Powinniśmy stworzyć takie warunki, by ten uczeń wiedział, że opłaca mu się bardziej przyznać do grzechu, że ten mąż wie, że opłaca mu się przyznać do grzechu, że żona wie, że opłaca się przyznać do grzechu, bo zyskuje wtedy miłość, miłosierdzie. Chodzi mi o to, by nie forsować myślenia, że opłaca się kombinować, że opłaca się kłamać. Zwłaszcza przed Bogiem. Już nie mówię o grzechach społecznych. Nie ma grzechu, którego Pan Bóg nie może odpuścić. Tylko trzeba powiedzieć ten grzech Bogu, bo dziełem diabła, złego ducha jest to, żeby nam wmówić: „Na pewno ci nie odpuści, na pewno cię ochrzani, na pewno ci powie: jak śmiesz? Ty dyrektor i taki grzech popełniłeś?". Zły duch ma takie przeróżne myśli... Uwierzmy więc w dwie prawdy. Po pierwsze, że Pan Bóg naprawdę nas kocha i wszystkie grzechy nam odpuszcza, a po drugie – że

księża, którzy nas spowiadają, naprawdę się nami nie przejmują. Aż tak bardzo was nie kochamy. Może przesadziłem.

8. Czas Wielkiego Postu to czas słuchania

„Nawróćcie się. Nawróćcie się, niech każdy z was ochrzci się. W wielu też innych słowach ratujcie się z tego przewrotnego pokolenia. Ci więc, którzy przyjęli Jego naukę, zostali ochrzczeni i przyłączyło się owego dnia około trzech tysięcy dusz". Fenomen homiletyczny. Wielu z nas powiedziało trzy tysiące kazań i nikt się nie nawrócił. Gość powiedział jedno kazanie – trzy tysiące się nawróciło. Nawet Jezus nie miał takiej mocy. Mnie ciągle zaskakuje, jaki Jezus był nieefektywny z punktu widzenia liczb. Miał dwunastu apostołów. Przy Wniebowstąpieniu czytamy w listach, że było przy Nim około pięćset osób. W Wieczerniku było sto dwadzieścia osób. To naprawdę nie jest dużo mieć taką wspólnotę. A pod krzyżem to już w ogóle była klęska ilościowa. Bo kto tam został? Maryja, no ale mama zawsze jest. Św. Jan, ale on był umiłowanym uczniem. Miłość potrafi wytrzymać krzyż. Jedyny problem: skąd się tam wzięła Maria, żona Kleofasa, ciotka Pana Jezusa. No ale ciotki takie są. Nie wiadomo dlaczego przyjadą w tym momencie, w tej godzinie. To jest fenomenalne z punktu widzenia tylu cudów, działania katechetycznego, nauczycielskiego... Przecież On był nauczycielem i nie zebrał tylu ludzi, ilu potrafił zebrać Piotr w ciągu jednego kazania. Dlaczego? Bo widać już owoce męki, śmierci, zmartwychwstania Chrystusa. Bo działa Duch Święty i potrafi przyprowadzić niesamowitą rzeszę ludzi. Ale nie to jest istotne. Skąd się to wzięło? Wzięło się to z nauczania Piotra. Ten Piotr, który boi się powiedzieć, że jest uczniem Jezusa, nie boi się teraz powiedzieć, żeby oni się ratowali z tego pokolenia. Wiara rodzi się ze słuchania. Czas Wielkiego Postu to też jest czas, kiedy ja więcej powinienem słuchać tego, co rodzi

moją wiarę. Wiadomo, że mamy różne zajęcia, ale po to są rekolekcje, po to są konferencje, po to są niektóre postanowienia, żeby słuchać, bo wiara rodzi się ze słuchania, naprawdę ze słuchania. Jeszcze piętnaście lat temu w Polsce byłoby nie do pomyślenia, żeby pary homoseksualne adoptowały dzieci. Dzisiaj już się o tym dyskutuje. Osiemnaście lat temu to się w ogóle o homoseksualistach nie dyskutowało. A my słuchamy, słuchamy. No przecież są dobrzy, krzywdy nie robią. Zawsze to lepiej wychowywać niż w rodzinie alkoholika. No patrzcie, to jest przykład dobrego. O, ten nawet Oscara dostanie. Bo był taki. Człowiek słucha, słucha i w pewnym momencie mówi: „E, może mają rację". Kiedyś mówiło się, że Jezus jest jedynym Panem i Zbawicielem, że „Ja Jestem Drogą, Prawdą i Życiem". A dzisiaj słyszymy, że są różne drogi zbawienia, są różne religie, to, co można zrobić w Portugalii, nie można zrobić w Japonii.

Pamiętajmy, że nie tylko Pan Bóg mówi słowo, diabeł też swoje słowo mówi. Nie tylko mamy ludzi, którzy wierzą w Chrystusa, mamy też ludzi, którzy wierzą w złego. I teraz chodzi o to, żebym ja tak słuchał, żeby się rodziła moja wiara. Żebym ja naprawdę słuchał tego, co rodzi moją wiarę, a nie co ją niszczy. Przecież tak naprawdę wszystko można rozwalić. Czy nie można rozwalić małżeństwa? Czy nie można rozwalić kapłaństwa? Można, naprawdę można. To jest naprawdę ważna rzecz: kogo ja słucham, żebym zdecydował się na słuchanie tego, co rodzi moją wiarę.

Jeszcze w pierwszych latach kapłaństwa, jak byłem na Ruczaju, przyszła pani i mówi, że od dwudziestu lat ma problemy z wiarą, bo przeczytała jedną książkę taką anty, anty. Powiem wam szczerze, wtedy dopiero zrozumiałem indeks ksiąg zakazanych. Zawsze się z tego śmiałem: „A co to średniowiecze, każdy ma prawo czytać wszystko". O nie, nie, nie. Dlaczego my dzieciom zabraniamy? Bo nie każdy jest na tyle dorosły, żeby to przetrzymał. Naprawdę. Nie każdy ma taką psychikę. Przecież nie od razu

wozimy małe dzieci do Oświęcimia, żeby pokazać im muzeum. Nie każdy ma taką psychikę. Być może masz taką psychikę, że stracisz wiarę, jak zobaczysz to, czy posłuchasz tego. Nie chodzi o to, żeby teraz robić listy rzeczy zakazanych, tylko żeby rozumieć, że tak to funkcjonuje. Że to, że jesteś wierzący albo jesteś niewierzący, to jest konsekwencja w dużej mierze tego, czego słuchasz i co czytasz.

9. Czas Wielkiego Postu to czas modlitwy

„Zarządźcie Święty Post, zwołajcie uroczyste zgromadzenie, zbierzcie starców, wszystkich mieszkańców ziemi do Domu Pana Boga waszego. I wołajcie do Pana". Tekst hebrajski używa słowa *kara,* które oznacza tyle co „czytać". Ale na początku to słowo oznacza „wołać". Wołać, czyli sprawiać moim głosem, że ten, który jest daleko, będzie bliżej. Aśka! Piotrek! Ewa! Co wtedy oni robią? Odwracają się i są bliżej. Jak czytam, to sprawiam, że te wydarzenia, które są daleko, są bliżej. Ale jak modlę się, czyli wołam, to tak jakbym sprawiał, że Pan Bóg, który jest, jest jeszcze bliżej przez moje wołanie. Logika tekstu Joela jest przepiękna, mówi tak w 3. rozdziale: „Każdy, kto wezwie imienia Pańskiego", czyli każdy kto zawoła, kto będzie wołał Imienia Pańskiego, będzie zbawiony. Czyli tak naprawdę jeśli jesteśmy zniewoleni, jeśli w nas jest grzech, to potrzebujemy wolności. Ale co jest tego warunkiem? Modlitwa. Ja muszę wołać. Ja chcę wołać, bo chcę być zbawiony. Logika jest przedziwna, bo Joel tak kończy: „Bo na górze Syjon i w Jeruzalem będzie wybawienie, jak przepowiedział Pan, i wśród ocalałych będą ci, których wezwał Pan". Bo Joel mówi tak: „Pan cały czas cię wzywa". Imiesłów czasu teraźniejszego czynny oznacza, że Pan cały czas cię wzywa. Wojtek! Wojtek! Wojtek! Pan nie zaczął, nie przestanie, Pan Bóg cały czas do nas woła, czy to w sumieniu, czy w liturgii, czy przez innych. Bóg do nas woła, bo

my jesteśmy zagubieni. Chodzi jak ten pasterz za tą owcą, albo jak matka w lesie za dzieckiem i woła: „Wojtek! Gdzie jesteś?". Kiedy zostaniesz zbawiony? Wtedy, kiedy wezwiesz Pana, czyli powiesz: „Tu jestem! Boże, Boże, chwytaj mnie". Modlitwa to jest właśnie taka przestrzeń, kiedy ja po prostu wołam do Pana Boga, bo wiem, że Go potrzebuję. Wierząc gorąco w to, że On woła też do mnie, my w tym wołaniu się odnajdujemy i jesteśmy coraz bardziej zbawiani. Może byłem w szóstej klasie szkoły podstawowej, kiedy zwoziliśmy siano spod domu, więc wydawało się, że skoro nie jest daleko do domu, to można na wóz dołożyć więcej. Jak już była ta ostatnia kupka, kazali mi trzymać lejce, żeby koń gwałtownie nie ruszył; więc po tej stronie, po której się nakładało i po której ja stałem, było troszeczkę więcej. Jak nałożyliśmy ostatnią kupkę, koń ruszył, wóz się przewrócił na mnie. Rodzice nie wiedzieli, czy na mnie przewróciła się metalowa konstrukcja, która mnie zgniotła, czy tylko siano, które mnie przydusiło. Ja nie byłem przywalony przez tę metalową konstrukcję, tylko przez siano, ale byłem przyduszony. Słyszałem z daleka słowa: „Wojtek! Wojtek!". I przyznam, że chyba wtedy pierwszy raz doświadczyłem tego, że tata mnie kocha. Znaczy, że nigdy tak nie wołał, że jemu zależy na mnie, żebym ja po prostu żył. Dla mnie jako dziecka to było fenomenalne odkrycie. Nie byłem zbulwersowany tym wydarzeniem, byłem ucieszony tym, że moi rodzice bardzo mnie kochają, bo wołają za mną. Ja, niestety, wołać nie mogłem, wołać się nie dało. Czasem jest taka sytuacja, że człowiekowi jest po prostu bardzo trudno się modlić. Kiedy jesteś przyduszony tymi problemami, wejdź do kościoła. Nic nie mów, ale siedź jak ja pod tym sianem, może cię Pan Bóg wyciągnie. Po prostu siedź w takiej przestrzeni, która jest blisko Pana Boga, daj Mu się porwać. Nie mów, że nudzi mi się adoracja. Generalnie zachęcam do tego, żeby skorzystać z Wielkiego Postu jako czasu modlitwy. Może trzeba znaleźć jakąś nową formę. Może „Nowenna Pompejańska", może

po prostu „Tajemnica Szczęścia", może Gorzkie Żale, może Droga Krzyżowa. A może całkiem coś innego? Może zmienić godzinę, bo zawsze na tej modlitwie śpisz. To nie modlić się rano i wieczorem, tylko: „Panie Boże, w Wielkim Poście nie modlę się rano i wieczorem tylko przed południem i popołudniu". Ważne, żeby coś zmienić z modlitwą, bo naprawdę problemem naszym w głównej mierze jest brak przyłączenia się do tego, który jest źródłem naszej siły i mocy, czyli do Boga. A to jest przecież modlitwa.

10. Wielki Post to czas Chrystusa

Co to znaczy czas Chrystusa? My się przygotowujemy do męki, śmierci i zmartwychwstania. Przygotowujemy się do najważniejszego wydarzenia, do tego, że Bóg wkroczył tak w historię świata, że w swoim Synu odkupił świat i chce z nas uczynić ludzi wolnych i zbawionych. Musimy więc mimo wszystko koncentrować się na tym, kto jest najważniejszy. Wiadomo, że mamy swoich przyjaciół, mamy rodzinę. Wiadomo, że zajmujemy się swoimi rodzicami, dziećmi, szkołą, ale spróbujmy chociaż w jakimś elemencie emocjonalno-psychologicznym czy decyzyjnym sprawić, żeby Chrystus był na pierwszym miejscu, cokolwiek zrobić, żeby zrozumieć, że to jest tak naprawdę dla Chrystusa, że tylko w Nim spokój znajdzie moja dusza, że nie znajdziemy odpoczynku poza nim, że tak naprawdę nie ma większej miłości. Może księża czy może siostry pamiętają, że jak poszli do zakonu, to był taki moment, że Pan Bóg się w nich zakochał. Ja bym w życiu nie został księdzem, gdybym nie doświadczył miłości bardziej niż doświadczyłem miłości dziewczyny. W życiu! No jaki sens jest zostać księdzem, skoro dziewczyny są lepsze? To nie ma sensu. Tak samo bycie siostrą zakonną. Przecież żadna nie poszła do klasztoru, bo nie miała co robić, bo przecież, by jej nie przyjęli. To jest doświadczenie Miłości Boga, która jest ponad miłość człowieka. Chodzi

o to, żeby uwierzyć, że Jezus naprawdę jest, żyje i działa. Dotyka cię taką miłością, która sprawia, że się zupełnie inaczej żyje. Nie można być chrześcijaninem bez tego doświadczenia miłości. Może trzeba się modlić: „Panie Boże, proszę, żebym ja doświadczyła miłości, bo mam wrażenie, że całe życie ode mnie wymagasz, ale nie mam wrażenia, że mnie kochasz". Może trzeba kłócić się z Panem Bogiem, albo żądać cokolwiek od Niego. Pan Jezus musi być bardziej w centrum. Nie chcę wchodzić bardzo w szczegóły, bo jesteście inteligentni, inaczej nie wybrano by was na dyrektorów. Spróbujcie więc znaleźć taki sposób na to, co zrobić, by Chrystus był bardziej w centrum. Myślę o tej pani, babci, jak u nas mówią. Ona ma dziewięćdziesiąt kilka lat i jest sparaliżowana. Leży na tym łóżku, przychodzę z Komunią do chorych podczas rekolekcji i po udzieleniu Komunii, jako że to był ostatni dom, chciałem jakoś zagadać. Jakoś tak nie umiałem zagadać, chociaż przypominała mi moją babcię. Mówię: „Babciu, wy to chyba strasznie cierpicie?". A ona tak spokojnie mówi: „Proszę księdza, jo to mało cierpię". W pewnym momencie podnosi palec, pokazuje na krzyż, który był naprzeciwko jej łóżka, i mówi tak: „Ale ten Bidok, ten to się dopiero wycierpiał".

[tekst spisany z nagrania]

Spis treści

Wprowadzenie 5

Wykłady i konferencje z XXVIII Forum Szkół Katolickich

Bp Andrzej Czaja
Idźcie i głoście. Realizacja nakazu misyjnego Chrystusa dziś 7

Abp Grzegorz Ryś
Maryja uczennica Pana 21

Ks. dr Tomasz Jaklewicz
Czego możemy uczyć się od Benedykta XVI
jako nauczyciele szkoły katolickiej 33

Ks. dr Wojciech Węgrzyniak
Genialność Maryi 49

Prof. dr hab. Krzysztof Ożóg
Jak odczytywać działanie Boże w dziejach Polski 61

Ks. dr Marek Studenski
O co chodzi w nauce religii
– katechizacja w szkole katolickiej 85

Wykłady i konferencje dla dyrektorów

Ks. Abp Marek Jędraszewski
Antropologia Kard. Karola Wojtyły jako przesłanie
i zadanie zwłaszcza dla szkół katolickich (21.08.2017) 101

Ks. prof. dr hab. Piotr Mazurkiewicz
Szkoła katolicka jako miejsce ewangelizacji
we współczesnej Europie (16.11.2017) 119

Ks. dr Wojciech Węgrzyniak
Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię.
Konferencja wprowadzająca w Wielki Post (27.02.2017) 135